Bronisław Mamoń, Jest taki teatr, Tygodnik Powszechny nr 1, 4 stycznia 1987, s. 6

GNIEWA MACHEJA

**LAJĄCEGO NA PUSTYNI**

**nój wysiłek**
**m wołaniem —**
**c i gardła,**
**imnastyką,**
**eniem — nie uciszę**
**nieludzkiego**
**skomlenia**
**ych męczarnię**
**ny pomnożę zgiełk?**

**ODZIE BEZ ZMIAN**
**KA O SŁODKIM ŻYCIU**

**odkie życie w Europie!**
**grafią, chińskie jadłodajnie,**
**ce i formuła jeden.**
**ndta, nawet książki Lema.**
**Monaco. Tylko nas tam nie ma.**

**SZTAMBUCHOWE**

**o przeszłości,**
**tęsknocie.**
**zne spiski,**
**erotyczne,**
**e żałuj miłości.**

**sztuk i rzemiosł,**
**przeróżnych.**
**itych rzeczy,**
**b nic i tylko**
**pokojnie czekaj.**

**ony świata,**
**jego nie licz.**
**two badaj,**
**nie dostanie**
**za niską.**

**wiata, smaki,**
**odcienie**
**ą wybrednością.**
**nieraz uwieść,**
**dy nimi władać.**

**anicznie wierny.**
**wszystko tracić,**
**ominać.**
**w beznadziei.**
**zyskać wszystko.**

się starzeje, wycofał się ze studia filmowego. Stał się człowiekiem interesu lokując swe pieniądze w różne dochodowe przedsięwzięcia. Dzielił swe życie między USA, Anglię, Irlandię. Miał swoje domy w Beverley Hills, Palm Beach, Las Vegas, Nowym Jorku i Londynie. Umiejętnie zarządzał swą ogromną fortuną. ■ Rysunki Tadeusza Brzozowskiego pokazywane były (w listopadzie i grudniu 86) w Muzeum Okręgowym w Radomiu. Wystawa objęła ok. 300 prac z pięćdziesięcioletniego blisko dorobku artysty. Mieczysław Szewczuk we wstępie do katalogu pyta, kim są bohaterowie prac Tadeusza Brzozowskiego i odpowiada: „Należą najczęściej do minionego świata i różnych sfer społecznych, są anachroniczni — jak wszystko w tej twórczości — w jakiś sposób teatralni. Jest tu »wielki świat«: Prinz, Diuk, Graf, Regent, Excelencja — i obok nich jest służba: kamerdyner, lokaj, stelmach, parobek, windziarz. Są wojskowi: Lansjer, Sztabsmajor, kornet; są artyści, również ci jarmarczni: Primadonna, Baleryna i skoromochy. Poza tym postacie dość nieokreślone, a właściwie masa różnych »indywiduów«: Fagas, Farmazon, Ramol, Pryk i Famfatal; są nawet stręczyciele: Rajfur, Kupler. Pojawiają się zdecydowanie »czarne charaktery«: arcyszelma, psubrat i arcyłotr. Na rysunkach z ostatnich lat występuje jeszcze inna grupa postaci: banita, zaprzeniec, renegat, klakier. Ci przywołują jednak aktualne sytuacje społeczne i problemy etyczne". „Słuchając artysty, czytając jego wypowiedzi spisane przez dziennikarzy — pisze Szewczuk — podziwiam zawsze umiejętność wypowiadania jednocześnie słów wzniosłych i żartów, kpin, wykonania — jak sam mówi — gestów celebrujących i błazeńskich. Mieczysław Porębski wyróżni w malarstwie Brzozowskiego dwie dopełniające się warstwy znaczeniowe: eschatologiczną, wskazującą pytania ostateczne i sytuacje graniczne egzystencji — oraz ludyczną, zaspokajającą potrzebę oczyszczenia, karnawałowej profanacji rytuału. Obecność tych dwóch warstw stwarza obraz egzystencji o zdumiewającej sile i pełni. Porównując jednak malarstwo i rysunek, monumentalne obrazy działające kolorem i skromny, bardziej prywatny zapis rysunkowy, w rysunkach bardziej wyrazisty, częściej obecny wydaje mi się nie gest celebrujący artysty, ale jego gest błazeński, żart i drwina".

**BM**

*wiecił ich umysły"*

*mądrość? A tyle razy o zdrowie, o to,*
*, o ustrzeżenia ciebie i twoich bliskich*
*wydaje, że może ci nie dostawać zdro-*
*ci ci nie brak.*

**KS. M. M.**

# JEST TAKI TEATR

**BRONISŁAW MAMOŃ**

Jest taki teatr, który w niczym nie przypomina ciężkich i biurokratycznych instytucji, z jakimi zwykle mamy do czynienia. Nie ma w nim oddzielnych szufladek, sztywnych podziałów na kompetencje, rozwiniętej do absurdu administracji. Cały zespół liczy zaledwie kilkanaście osób. I praktycznie wszyscy wszystko robią w zależności od potrzeby danej chwili. Nie ma pracowni krawieckiej, szewskiej, stolarskiej, fryzjerów ani woźnych, bileterek i szatniarek. Kiedy trzeba uszyć kostiumy do nowego spektaklu wszyscy pomagają w zdobyciu odpowiednich materiałów i zrobieniu z nich, co trzeba: aktorzy, ich rodziny, znajomi i przyjaciele i rozrastająca się z każdym dniem miejscowa grupa sympatyków teatru, która zaczyna już być dumna, że ma to, czego nie miała, a mieć powinna.

Teatr ten powstał dwa lata temu. Cicho, bez wielkiego rozgłosu w massmediach. Zaczął pracować od początku tak, jakby tu był od lat, zawsze. Stworzył go Andrzej Dziuk, który w 1984 r. przybył z Krakowa do Zakopanego z garstką swoich przyjaciół, absolwentów krakowskiej PWST. Było ich na początku dziewięciu i postanowili udowodnić sobie i innym, że stać ich na robienie teatru. Bez dotacji państwowych, bez odpowiedniego budynku, bez mieszkań dla aktorów. Ktoś rozsądny mógłby to uznać za szaleństwo. Ale tylko szaleni mogą w tej rzeczywistości jeszcze coś zdziałać. Poruszyć ją i zmienić. W rzeczywistości, w której nikomu nic się nie chce, bo albo to, co się robi nie ma perspektyw i nie warto się trudzić, albo nie ma z kim tego robić, a w pojedynkę się przegrywa.

W ciągu dwu lat dali osiem premier, więcej niż niejeden renomowany w Polsce teatr, pracujący w warunkach, jeśli nie komfortu, to stabilizacji, mający wszystko, co potrzeba lub przynajmniej to, co niezbędne. Początek był nieobiecujący. Nie mieli sali, gdzie mogliby przygotować przedstawienie. Zgodzili się na egzystencję koczowników, choć pewnie nie bez wahań? Mogli przecież wybrać któryś z istniejących teatrów i wieść w nim życie spokojne, bez szarpaniny i ryzyka. A jednak wybrali to, co niepewne wiedzeni instynktem intuicji, pragnieniem budowania wspólnoty, rodziny teatralnej. Nie zespołu roboczego, ale rodziny. Zespół mogą tworzyć ludzie przypadkowi, nie powiązani żadną ideą czy programem. Rodzinę tworzy wspólna wola chcenia i zespolone działanie. Nie wiem, jakich użyli argumentów, aby przekonać Urząd Miasta i Gminy Tatrzańskiej o celowości powołania teatru w tej „letniej" i „zimowej" stolicy Polski? Ale musiały to być argumenty o dużej sile perswazji, że uległ im nawet Urząd, z natury nieskory do podejmowania decyzji obciążających jego budżet. Kiedy mieli to już poza sobą, przekazano im salę widowiskową i kilka sąsiadujących z nią pomieszczeń w profilaktycznym Domu Zdrowia przy ul. Chramcówki 15.

Pierwszym przedstawieniem, które przygotowali byli „Pragmatyści". Wybór patrona, któremu dedykowali swą nazwę: „Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza" zobowiązywał ich poniekąd do takiego początku. Po „Pragmatystach" był jeszcze jeden Witkacy „Autoparodia" — „niesmaczny góralski-ceperski skecz" — jak nazwał go autor scenariusza i reżyser Andrzej Dziuk — pozszywany z różnych tekstów: „Negatywu szkicu", „Romansu schizofrenika", „Redemptoarów" i wierszy. Witkacy — okolicznościowy, zrobiony na setną rocznicę urodzin pisarza, ale bez bombastycznego zadęcia, zrywający radykalnie z konwencją nudnego i jałowego jubileatyzmu, który się tak rozpanoszył w obyczaju PRL-u. „Był to fajerwerk czystego humoru" — mówi mi ktoś, kto to oglądał. Humoru, który zjednoczył Zakopiańczyków z urodzenia i wyboru w jedną widownię: widownię ludzi rozbawionych, umiejących się śmiać z siebie, z własnych przywar i pojmujących, że teatr to nie tylko powaga życia, ale także zabawa, gra, radość improwizacji.

Po dwu Witkacych — w sezonie letnim 1985 była „Dziura" — spektakl zmontowany z utworów Słonimskiego i Tuwima — lekki, dowcipny, nie pozbawiony jednak głębszych sensów. W grudniu 85 wystawiono „Życie jest snem" Calderona w reżyserii i scenografii Andrzeja Dziuka. Ci, którzy je oglądali zapewniają mnie, że nie było gorsze od znakomitego przedstawienia Jerzego Jarockiego w Starym Teatrze. raczej żywsze, choć może nie miało tak błyskotliwych kreacji aktorskich, jak spektakl krakowski. W styczniu 86 odbyła się premiera „Benefisu" — liryczna ewokacja wielkich ról Ireny Solskiej, odtworzona na podstawie pamiętnika aktorki i korespondencji. Po „Benefisie", w jednym roku trzy ambitne inscenizacje: „Historia" Gombrowicza, „Dr Faustus" Marlowe'a i „Wielki Teatr Świata" Calderona — wspaniała literatura dramatyczna, ważne problemy egzystencjalne, moralne, metafizyczne. Nie zajmuję się bliżej dwoma pierwszymi, bo ich nie widziałem, ograniczam się więc do opisu tej ostatniej — która pozostawiła we mnie niezatarte wrażenie.

„Wielki Teatr Świata" *) należy do gatunku *auto sacramental*, wywodzącego się z tradycji teatru średniowiecznego. W XVII wieku, w epoce baroku przeżywał on szczyt rozwoju, zwłaszcza w Hiszpanii. Calderon określał ten gatunek pojęciem „wierszowane kazanie". Istotnym jego składnikiem był element dydaktyczny. „Odstąp od złego. Czyń dobro". — jak znakomicie to pokazał Andrzej Dziuk w swojej inscenizacji Calderona sprowadzając ten cytat z „Psalmu 34" do refrenu semantycznego całego przedstawienia. Autorzy *autos* proponowali religijną wizję rzeczywistości, dokładniej: katolicki pogląd na świat i od tego poglądu ściśle uzależniony model życia: życia etycznego. I do tej wizji i do tego modelu chcieli widza przekonać.

Patrząc na „Wielki Teatr Świata" Calderona, już po jego polskiej prapremierze, trzeba powiedzieć, że wprowadzenie tego utworu do repertuaru młodej sceny zakopiańskiej wiązało się z niejakim ryzykiem. Przedsięwzięcie mogło się zakończyć wielką klapą. Widz wychowany na teatrze werystycznym czy naturalistycznym — a ten typ widowiska jest u nas wciąż dominujący — mógł ten spektakl odrzucić, zbuntować się przeciwko niemu lub pozostać wobec niego bezradny, nie znajdując do niego właściwego klucza. Andrzej Dziuk — reżyser przedstawienia, ryzyko to podjął świadomie, mając do dyspozycji świetny przekład Leszka Białego. Udało mu się udowodnić na pewno jedno, że konwencja teatru misteryjnego i moralitetowego odpowiednio odświeżona, może być nośna artystycznie i dziś, pobudzając widownię do refleksji nie tyle nad tym, co się rozgrywa na scenie, ile nad tym, co się dzieje w środku widza, w nas. W jakimś dziwnym nastroju słuchamy tej alegorycznej przypowieści o życiu i śmierci, mądrości i głupocie, cnocie i występku, pysze i roztropności, nadziei i rozpaczy, egzystencji uwięzionej całkowicie w biologii i ponad nią się wznoszącej, wolnej w wolności czynienia dobra — jakbyśmy wszystko to na nowo odkrywali. Jest u Calderona porządek moralny, środowisko metafizyczne wartości, za którym tęsknimy świadomie czy nieświadomie przekarmieni tekstami, które ten ład w nas naruszyły lub całkowicie go zburzyły, wmawiając nam, że jesteśmy tylko igraszką konieczności historycznych, ślepych sił kosmosu i mrocznych instynktów w nas zamieszkałych. Reżyser „Wielkiego Teatru Świata" na scenie zakopiańskiej proponuje nam coś bardzo niezwykłego: lekcję trzeźwości w spojrzeniu na człowieka. Lekcję przez przywołanie zasad, norm światopoglądów i wiar utraconych. Zabieg to bardzo oczyszczający i prostujący nas moralnie.

To wszystko, co tu notuję wiąże się zapewne z bardzo subiektywnym odbiorem tego przedstawienia. Dukt myśli dla kogoś drugiego, może być całkiem inny. I można się spierać, który jest uzasadniony, a który nie. Teatr odbieramy nie tylko przez to, co w nim znajdujemy, ale także i przez to, co z siebie w niego wnosimy.

Nie do zakwestionowania jest jedno: uroda teatralna tego widowiska, osiągnięta przez przywołanie konwencji teatru misteryjnego. Znakomity pomysł inscenizacyjny, by rozegrać główny trzon przedstawienia na wozach, które zgrupowane są wzdłuż ściany w jednym ciągu. Kostiumy i dekoracje projektu Tadeusza Brzozowskiego, bardzo wysmakowane pod względem kolorystycznym, z dyskretnie postawionym akcentem na groteskę. Po krótkim prologu, który rozgrywa się pośród widzów (scena znajduje się w środku widowni). Wjeżdża na salę pięć czarnych bud, szczelnie osłoniętych. Po chwili te małe prostokątne pudełka pokazują swoje wnętrza. Każde posiada inną tonację kolorystyczną: jest szarość, złoto, purpura, róż, zieleń. Każdy z tych kolorów ma własną wartość symboliczną. Jest plastycznym skrótem w opisie ogólnej kondycji człowieka: kondycji śmiertelnej i przypadkowej. Fabuła spektaklu składa się z luźnych epizodów. Osoby, obrazy, efekty sceniczne traktowane są tu równorzędnie. Postaci zamknięte w ciasnej przestrzeni osobno odgrywają swoje role. Po kolei lub równocześnie, na ile to w teatrze jest możliwe. Wszystkie elementy przestrzeni scenicznej oraz działań aktorskich widoczne są dla publiczności. Bardzo mocno przez reżysera wyeksponowany został symultaniczny charakter widowiska. Rytm przepływu pojedynczych monologów, ruch, gest i mimika aktorów prowadzone są przez muzykę, która łączy i rozdziela obrazy sceniczne, wkracza w tekst. Tworzy nastrój. W spektaklu wykorzystano fragmenty „Uwag rzeczy ostatecznych..." księdza Baki, wybornie korespondujących z eschatologiczną nutą tekstu Calderona. Fragmenty te są śpiewane na tle akompaniamentu muzycznego.

Bardzo ładna jest końcowa sekwencja przedstawienia, kiedy aktorzy, którzy odegrali swoje role, schodzą ze sceny. Świat w kostiumie kuglarza pozbawia ich kolorowych szmatek i teatralnych rekwizytów. W resztkach szarych trykotów, zrównani w swojej nagości, jakby jedna rodzina człowieczeństwo, stają przerażeni u drzwi teatru, które są także drzwiami śmierci. Ta podwójność: konkretna i metaforyczna przewija się przez cały ciąg przedstawienia.

Aktorstwo jest na miarę możliwości i pracy młodego zespołu. Skrupulatny recenzent mógłby trochę pogrymasić, ale nie chcę być skrupulatnym recenzentem. Cieszy mnie to, co się udaje, a nie to, co nie wychodzi. Podobała mi się Marta Szmigielska jako Roztropność, obdarzona dużym talentem wokalnym, Krzysztof Najbor jako Bogacz — groteskowy w swej żarłoczności życia, Piotr Sambor w roli Króla — bujający się na koniku wystruganym z drzewa, skopiowanym z jarmarcznej karuzeli, w słomianej koronie i ze słomianym berłem, królewskość bez majestatu, jakby wyszydzona. (Ileż tu olśniewających pomysłów scenografa w doborze rekwizytów i kostiumu!) Karina Krzywicka jako Piękno, Piotr Dąbrowski jako Biedak, Andrzej Dziuk jak Autor, Krzysztof Łakomik jako Świat, Dorota Ficoń jako Prawo Łaski.

Tadeusz Brzozowski, którego spotykam w kuluarach teatru mówi z przejęciem, że tworzy się tu coś bardzo ważnego, pięknego, na naszych oczach spełnia się sen Witkacego o teatrze z prawdziwego zdarzenia w Zakopanem. Ten zespół się rozwija, idzie naprzód, każde następne przedstawienie jest lepsze, ciekawsze, artystycznie celniejsze od poprzedniego. Duszą i mózgiem tej wspólnoty teatralnej jest Andrzej Dziuk, który łączy w jednej osobie uprawnienia dyrektora, kierownika artystycznego, pierwszego reżysera, scenografa, aktora, autora tekstów. Człowiek pełen pomysłów, fantazji a przy tym ogromnie pracowity. Marzy mu się, aby „Wielki Teatr Świata" zagrać w plenerze, w naturalnych dekoracjach pejzażu tatrzańskiego. Przyciasna sala teatralna jakby przydusiła jego możliwości inscenizacyjne. Brzozowski mówi, że w Dziuku spotkały się inteligencja, wiedza i pasja. Pochłonięty całkowicie pracą w teatrze, który stał się jego domem, rodziną, najautentyczniejszą formą egzystencji, dzięki której urzeczywistnia się najpełniej.

Myliłby się więc Jan Kott, który ćwierć wieku temu pisał w „Przeglądzie Kulturalnym": „Ta śmieszna »letnia« czy »zimowa« stolica Polski miała i może jeszcze ma dziwną siłę przyciągającą wariatów i sprzyjającą wszelkiemu szaleństwu. Na swój sposób rozkłada niemal każdego, kto tu częściej zagląda, a już wszystkich, którzy tam osiedlili się na stałe. Rozkłada ale i intensyfikuje. Stwarza pozory rzeczywistego życia. Każdy tu przeżył swój dramat albo farsę mniejszą lub większą". Intensyfikuje, ale nie rozkłada — wymownym przykładem Andrzej Dziuk i jego prężny młody zespół.

**BRONISŁAW MAMOŃ**

*) Pedro Calderon de la Barca: „Wielki Teatr Świata". Przekład: Leszek Biały. Inscenizacja i reżyseria: Andrzej Dziuk. Scenografia: Tadeusz Brzozowski. Muzyka: Jerzy Chruściński. Prapremiera polska. Grudzień 1986 r. Teatr im. St. I. Witkiewicza w Zakopanem.

T. Ławecki Teatr-chwilowka, Sztandar, 4 VII 1987, str. 1-15

**Kryształowe drzwi, łączące trzy amfiladowo zaprojektowane sale w słynnym niegdyś zakładzie doktora Chramca, polerują aktorzy. Do amfilady przylega sala widowiskowa.**

# TEATR

TOMASZ ŁAWECKI

Zanim Teatr im.Witkacego znalazł tu stałą przystań, sale amfiladowe pełniły rolę pomieszczeń recepcyjnych. Sala widowiskowa najczęściej stała pusta. Okres świetności, kiedy u Chramca koncertował Karol Szymanowski, gdy publiczność gromkimi brawami witała tuzy polskiej sceny z Ludwikiem Solskim i Juliuszem Osterwą na czele, wydawał się odległy i nierzeczywisty. Zionęło nudą. Przyszłość zdawała się nie wróżyć niczego dobrego.

Tymczasem garstka młodych zapaleńców, świeżo upieczonych absolwentów krakowskiej PWST, wita gości przed spektaklem słynnym „dobry wieczór", Częstuje widzów herbatą. Zaprasza do środka. Są już w kostiumach, a jeszcze rozmawiają jakby prywatnie.

## To, co nie udawało się przez 40 powojennych lat w zakopiańskim teatrze, teraz stało się faktem.

Doktor Andrzej Chramiec zapewne pogratulowałby zespołowi metamorfozy w sanatorium. Tak, jak zrobił to Tadeusz Brzozowski, jeden z tych twórców zakopiańskich, którym młody zespół zaimponował ambicją, zapałem, a przede wszystkim programem artystycznym. *Moją wielką miłością jest Teatr im. Witkiewicza* – czytam słowa własnoręcznie napisane przez Profesora w 1987 roku. – *Oby trwał jak najdłużej! Oby był coraz doskonalszy!*

Kartkę zawierającą słowa dedykowane teatrowi przez nieżyjącego już dziś artystę, przechowuje pani **Iwona Romanówna** jak cenną pamiątkę rodzinną. Charakterystyczną postać i twarz Tadeusza Brzozowskiego, zapamiętaną z okładki „Sztuki", rozpoznaję teraz w filmie poświęconym teatrowi, zrealizowanym przez telewizję krakowską. Film zarejestrowany na kasecie video oglądam w prywatnym mieszkaniu sympatyków teatru. Dziś w Zakopanem jest ich wielu.

Jeszcze niedawno do tej grupy należała Iwona Romanówna, autorka pracy magisterskiej o zakopiańskim Teatrze im Witkacego. Zastanawia się głośno, jak to się stało, że któregoś dnia przestała być tylko widzem, sympatykiem grupy pod wezwaniem autora „Wariata i zakonnicy", a stała się pełnoprawnym członkiem zespołu? Zajmuje się wydawaniem programów. Jeśli trzeba – także ich drukiem.

Zespół teatru nie ma sztywnych, jednoznacznie sprecyzowanych zadań. Podczas remontu teatru, który właśnie dobiega końca, aktorzy pomagają w sprzątaniu, myciu okien. Od początku zresztą wszystko było inaczej niż na zawodowej scenie. Aktorzy sami, bez pomocy ekipy technicznej, zmieniali dekorację, sami sprzedawali bilety – do dziś pełnią dyżury w kasie. Sami sprzątali teatr, witali widzów, parzyli i podawali im herbatę. Któryś z rozmówców powiedział, że jest to teatr totalny. Te wszystkie określenia, mniej lub bardziej trafione, dla widzów nie mają żadnego znaczenia. Ważne, że jest sympatycznie. Gdy na zewnątrz szczypie mróz albo hula wiatr, tu można wypić coś gorącego.

## Liczy się bezpośredni kontakt z widzem

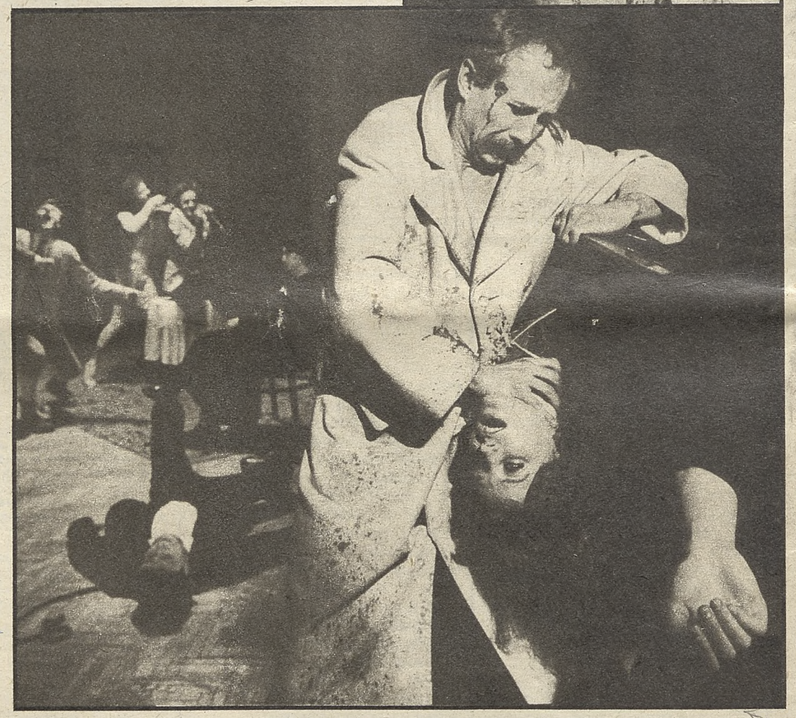
Spojrzenie w oczy. Przywrócenie wzajemnego zaufania, którego może brakować w teatrze zinstytucjonalizowanym. Podanie ręki. Uśmiech. Ale bez poklepywania po ramieniu. Nie ma stresującej improwizacji z wywoływaniem widza na scenę albo do odpowiedzi. Z przeganianiem dookoła budynku, albo – z czym spotkałem się podczas spektaklu na dziedzińcu Pałacu pod Baranami w Krakowie – zamierzonej, wstępnej selekcji gości, mającej niekoniecznie przyjemny wydźwięk. Nic z tych rzeczy w Zakopanem. Widzowie sami wybierają odpowiednią dla siebie „rolę". Chcą – częstują się herbatą. Nie – skromie siadają na poduszeczkach, własnoręcznie uszytych przez zespół.

– Powinni czuć się jak podczas party – mówi Iwona Romanówna. – W Zakopanem do dziś są żywe tradycje spotkań towarzyskich, tak modnych w okresie międzywojennym. Podczas przyjęcia gospodarze znali 15 osób, ale witali wszystkich do końca.

– Mamy swoją publiczność – mówi aktor **Krzysztof Najbor.** – Zakopiańczycy bardzo często przysyłają do nas swoich gości, znajomych. Ale najlepszą publiczność stanowią ludzie, którzy chodzą po górach. Przychodzą z okolicznych schronisk. Ciągną z Doliny Pięciu Stawów, z Murowańca. Często przyjeżdżają na nartach. Z plecakami, w kombinezonach, grubych swetrach. Każdy jest u nas mile widziany. Nawet gdy jest bardzo ciasno, staramy się wpuszczać wszystkich. Teatr ma pełnić rolę podobną do schroniska.



*Zespół.Teatru im. St.I. Witkiewicza w Zakopanem*
*Fot. Stanisław Momot*



*Scena ze spektaklu „Witkacy-Autoparodia", który stał się wizytówką Teatru im. Witkacego. Reż. Andrzej Dziuk.*
*Fot. Wojciech Plewiński*

– Po trzech latach pracy – podkreśla z zadowoleniem – zyskaliśmy sobie widzów i sympatyków. – Nie mamy łatwego repertuaru. Skoro jednak przychodzą, to widocznie repertuar im odpowiada.

Przypomnijmy, że teatr nie bez powodu wybrał sobie za patrona Witkacego. Propozycja artystyczna, z którą przyjechał do Zakopanego, o czym mówi kierownik i reżyser zespołu **Andrzej Dziuk,** z czego dumni są aktorzy – wiązała się właśnie ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem. Byli to „Pragmatyści" i „Witkacy – Autoparodia".

Latem 1984 roku dwójka reżyserów, kierownik muzyczny i dziewiątka aktorów zjechała do Zakopanego. Zamieszkali u górali w Małem Cichem. Zagrali w Zakopanem dziesięć spektakli. Była to jednocześnie próba własnych możliwości i sondaż zakopiańskiej publiczności. Przyjdą na spektakl, spodoba im się sztuka Witkacego w ich wykonaniu?

24 lutego 1985 roku – w setną rocznicę urodzin Witkacego – wystawili w sali widowiskowej byłego Zakładu Wodolecznictwa dra Chramca „niesmaczny góralsko-ceperski skecz Witkacy – Autoparodia" w reżyserii Andrzeja Dziuka.

Taki był początek Teatru im. Witkacego. Zaznaczmy – początek stałej działalności artystycznej w mieście pod Giewontem. Gdyż pokonanie szeregu trudności natury formalnej, ekonomicznej itp. miało dopiero nastąpić.

– Co kilka lat w krakowskiej PWST rodził się pomysł utworzenia teatru zawodowego w Zakopanem – mówi Iwona Romanówna. – Ale wszyscy zaczynali od rozmów o mieszkaniach, sali. Tymczasem Andrzej Dziuk, który wcześniej był reżyserem Teatru Starego w Krakowie, przygotował wraz z zespołem program artystyczny.

## Nie było mowy o mieszkaniach, nie było żądań finansowych.

Zamieszkali w mocno podniszczonym hoteliku „Warszawianka", wystarali się o wynajęcie sali w sanatorium dra Chramca... Rozpoczęła się batalia o widzów. Nie było gaż, żyli z widowni. Niejeden spośród spędzających urlop w Zakopanem pamięta poprzebieranych aktorów, sprzedających bilety do teatru na Krupówkach, gdzieś w okolicach „Morskiego Oka"!

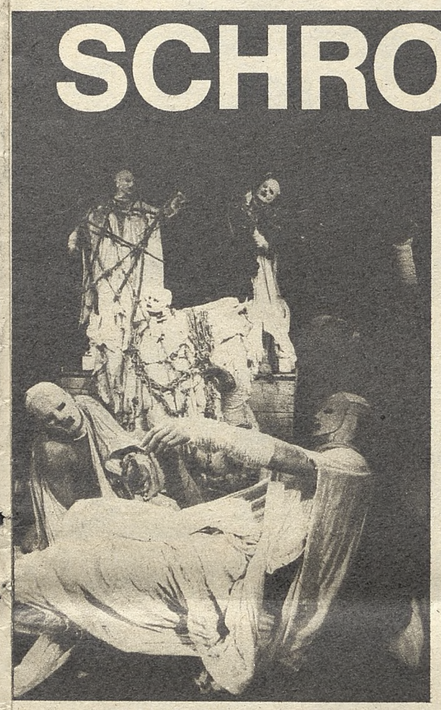




# SCHRONISKO

Zapewne jeszcze wówczas niewiele osób przypuszczało, że z tej mąki będzie chleb. Pożar, który 29 lipca tego roku wybuchł na ostatnim piętrze „Warszawianki", pozbawił część zespołu dachu nad głową. Przez kilka dni koczowali w sali teatru i kilkunastoosobowych pokojach Domu Turysty.

– Właściwie trudno powiedzieć, dlaczego tak wiele osób próbowało w Zakopanem utworzyć teatr zawodowy – mówi prezes Towarzystwa Miłośników Teatru im. Heleny Modrzejewskiej, **Bronisław Stefanik,** architekt z zawodu. – Jest w Polsce wiele większych miast od Zakopanego, które nie mają takich ambicji.



*„Np. Edyp", przedstawienie oparte na motywach „Króla Edypa" Sofoklesa, pokazane na ubiegłorocznych XVIII Spotkaniach Teatralnych w Warszawie*
*Fot. Stanisław Momot*

Zadecydowała o tym tradycja. Głośne inscenizacje w skali „Morskiego Oka", na której grali: Solski, Adwentowicz, Bończa, gdzie Witkacy stworzył swój Teatr Formistyczny, wystawiając między innymi „Wariata i zakonnicę", zrodziły prawdziwą legendę teatru zakopiańskiego.

Mój rozmówca związał się z amatorskim teatrem zakopiańskim od 1953 roku, gdy zamieszkał w zimowej stolicy Polski. Aż do początków lat siedemdziesiątych grali w sali „Morskiego Oka". Mieli okres świetności, kiedy z teatrem współpracowali między innymi: Roman Brandstaetter, Tadeusz Staich, gdy reżyserowali sztuki zawodowi reżyserzy. Mieli wówczas ambicję przekształcić swój teatr w zawodowy. Zdawać eksternistycznie egzaminy. Byli blisko, a jednak nie udało się. Mieli zaproszenie na występy do Francji. Ktoś nie wydał zezwolenia. Później odebrano im scenę.

– Kiedy powstał Teatr im. Witkacego, przyszło im do głowy zaproponować zespołowi współpracę. Wahali się, bronili, nie mając pewności, czy nie zostaną przypadkiem potraktowani jak amatorzy. W końcu zgodzili się. Utworzyliśmy im konto przy naszym Towarzystwie. Wspólnie pojechaliśmy do ówczesnego wicepremiera Gertycha z prośbą o pomoc. Dostaliśmy dotację. Następnie udało się zdobyć etaty dla aktorów. Wreszcie, na wniosek Urzędu Miasta, zostały zakupione dwa domki, w których zamieszkają.

Bronisław Stefanik wraz z synem, również architektem, sporządzili

## projekt przebudowy zrujnowanej sali „Morskiego Oka".

Projekt zyskał aprobatę konserwatora zabytków. Tymczasem konserwator się zmienił, a o odzyskaniu sali widowiskowej „Morskiego Oka" nadal cicho.

Ta sprawa, mająca posmak skandalu, spędza sen z oczu miłośników teatru w Zakopanem. I nie tylko. Wielokrotnie powracała na łamach prasy. Kiedy wszystkim z rezygnacją opadły ręce, na początku grudnia ub. r. w „Dzienniku" TV ustyszałem komunikat o (przejściowym, jak się okazało) cofnięciu rekomendacji partyjnej dyrektorowi PT „Tatry". Właśnie za opieszałość w remontowaniu „Morskiego Oka". Czy wreszcie coś się w tej sprawie ruszy? Czy teatr powróci na Krupówki?

Kierownik artystyczny Teatru Witkacego Andrzej Dziuk przyznaje, że „Morskie Oko", to wymarzone miejsce dla teatru. I ma nadzieję, że kiedyś odzyska ono dawną rangę.

Tymczasem jednak tablica umieszczona obok stacji PKP ogłasza wszystkim: Teatr im. Witkacego, Chramcówki 15. Ten adres dobrze znają zakopiańczycy. Ale przyjezdnych strzałki oraz powiększone fotografie Witkacego prowadzą pod sam teatr. Nie bez przyczyny, gdyż w dużym parku dra Chramca można się nawet zgubić. „Ma to swój smak, że czasem błądzą po parku zwłaszcza wieczorem" – pamiętam słowa Krzysztofa Najbora. „Do nas się trzeba wybrać" – dodaje ktoś z zespołu. „Ale to są dobrzy widzowie – konkluduje aktor. – Sami kupują bilety. Przychodzą dobrowolnie, nie są organizowani, jak to bywa w niektórych teatrach".

O sprawach materialnych mówili i mówią niechętnie. Część zespołu nadal mieszka w kwaterach – słyszę w odpowiedzi. Inni przenieśli się do zakupionego dla nich domku. Przyznają, że są jak jedna wielka rodzina. Razem studiowali, potem zakładali teatr.

– Dwie sprawy pozwalają mi na stare lata zachować optymizm – mówi **Maria Haczewska,** pediatra z zawodu. – Moralny wstrząs, który miał miejsce na początku lat osiemdziesiątych i ten teatr. Młodzi ludzie nastawieni są teraz na konsumpcję. A oni – nie! I to mi imponuje. Tak jak moje pokolenie, zaczynające pracę w trudnych latach pięćdziesiątych,

## są pełni zapału.

Są perfekcjonistami, pracują po nocach. Wciąż poszukują. Zmieniają swoje spektakle. Zgodzili się na cygańskie życie, poszli na całego.

Dr Haczewska, „Haczesia" jak mówią o niej w zespole, leczy od początku zapaleńców z Teatru Witkacego. A także ich dzieci. „Być, to wcale nie znaczy mieć" – oto jej życiowa dewiza. Opowiada o swoich podróżach po świecie. Była kilkakrotnie w Afryce, w Azji, w Meksyku. Ostanio wróciła z grupą trekkingową z Nepalu. Do zespołu zbliżyła ją podobna postawa życiowa. A poznali się przez przypadek. Ona i reżyser Andrzej Dziuk zostali chrzestnymi dziecka wspólnych przyjaciół.

Idę przez dawny park sanatoryjny doktora Chramca na kolejne spotkanie z zespołem. Na przechodniów z powiększonych fotografii spogląda Witkacy. Myślę o ubiegłorocznych, XVIII Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, podczas których zespół zakopiański spotkał się z gorącym przyjęciem widowni i krytyków. Po finałowym spektaklu „Cabaret Voltaire", publiczność zawróciła od szatni. Oklaskami przywołała aktorów ponownie na scenę. Za interesujący, utrzymany w tonacji pastiszu i parodii spektakl „Witkacy-Autoparodia" zespół otrzymał nagrodę im. Konrada Swinarskiego.

## Jesteśmy ledwie u podnóża gór

– dwuletni okres pracy teatru podsumował Andrzej Dziuk w wypowiedzi dla programu telewizyjnego. – Przed nami długa wyprawa. Wśród przyjaciół Teatru mamy wielu taterników. Używając ich terminologii mogę powiedzieć, że założyliśmy dopiero bazę pierwszą. Przed nami baza druga i trzecia. Ten szczyt, do którego zmierzamy, mamy jeszcze we mgle.

Teraz zbliżają się już cztery lata pracy zespołu. Mój rozmówca, Andrzej Dziuk, wspomina o czternastu premierach, o wpływach z kasy, które prawie równoważą dotacje. Podczas gdy w niektórych teatrach sięgają 10 proc. Ale tak naprawdę zaangażowany jest bardzo w trwający właśnie remont. Dziesiątki spraw – do których odrywany jest bez przerwy – utrudniają rozmowę.

Już na schodach, gdy żegnam się z teatrem, słyszę zaproszenie na spektakl. I, podobnie jak większość osób, odchodzę z przekonaniem, że wrócę tu na pewno.

# Śmietnik Europy

Niemal tego samego dnia, kiedy na łamach całej polskiej prasy ukazała się szokująca informacja o likwidacji huty pod Wrocławiem o nazwie „Siechnica", gazety wydrukowały wzmiankę o projekcie urządzenia stoczni złomowej w rejonie Szczecina. Paradoks polega na tym, że wiadomość pierwszą gazety opublikowały na czołówkach dużą czcionką, podczas gdy korespondencja ze Szczecina została schowana na dalszych stronach między wiadomościami o sezonowej zwyżce cen jaj i zaginieniu psa rasy spaniel.

Pogarszający się stan środowiska przyrodniczego Zatoki Gdańskiej i Zalewu Wiślanego, a właściwie już całego naszego wybrzeża bałtyckiego, nie jest dla nikogo tajemnicą. To wybrzeże i nadbałtyckie plaże z roku na rok kurczą się. Zamykane są kąpieliska, a plaże – zamiast kolorowych parasoli i wiklinowych koszy – pełne są napisów: kąpiel wzbroniona! Jest ich najwięcej w rejonie Gdańska i Szczecina.

I te właśnie miasta brane są obecnie pod uwagę, jako miejsce lokalizacji stoczni złomowej. Za wyborem Szczecina przemawia perspektywa utworzenia w rejonie ujścia Odry strefy wolnocłowej, a nawet specjalnej strefy ekonomicznej. Bliskość portów europejskich stwarza możliwość szybszego doprowadzenia starych statków przeznaczonych na złom. Z kolei Gdańsk też nie jest złym miejscem dla urządzenia stoczni złomowej – argumentują jej zwolennicy. Likwidacja stoczni gdańskiej im. Lenina stwarza możliwość wykorzystania istniejących urządzeń, pomieszczeń i basenów portowych, właśnie przez stocznię złomową.

Jest interes do zrobienia! Trzeba tylko się spieszyć, żeby inni nas nie wyprzedzili. Będą dolary i kolorowy złom dla huty „Katowice". Może pół miliona ton rocznie, może trochę mniej? Szansa dla hutnictwa, dla polskich armatorów i w ogóle dla całego kraju!

Bzdura! Złomowy interes wcale nie jest tak intratny, skoro wycofały się z niego prawie wszystkie kraje europejskie, z wyjątkiem Włoch i Jugosławii, może również Hiszpanii, która jednak powoli też wycofuje się rakiem. Powód właściwie jest jeden: ochrona środowiska przyrodniczego. Brudne plaże i zatrute wody przybrzeżne nie są jedynie polską specjalnością. W produkcji zanieczyszczeń mają swój udział również stocznie złomowe statków, odprowadzające do wód morskich znaczne ilości smarów, olejów i innych szkodliwych substancji.

Morze Bałtyckie i bez stoczni pełne jest tych nieczystości. Nie bez powodu specjaliści nazywają je najbrudniejszym morzem świata. Ogromnym wysiłkiem, głównie finansowym, próbujemy ten stan zmienić. Podjęliśmy takie zobowiązanie, ratyfikując w roku 1979 „Konwencję o ochronie środowiska morskiego obszaru Morza Bałtyckiego". W pasie nadmorskim budujemy oczyszczalnie ścieków, chronimy zasoby przyrody żywej – i tak już bardzo zdewastowanej i zagrożonej w swoim istnieniu.

Urządzenie stoczni złomowej przekreśli sens tych działań. Będzie sprzeczne z proekologiczną polityką nowego rządu, deklarowaną tak głośno i tak powszechnie.

Nie chcę Państwa martwić, ale podobnie absurdalnych pomysłów, jakim jest urządzenie stoczni złomowej na polskim wybrzeżu Bałtyku, pojawiło się ostatnimi czasy znacznie więcej. Ich autorów łączy wspólna troska o dźwignięcie gospodarki z dna. Na tym filmie większość z nas już była i zna epilog. Może tym razem scenariusze są odmienne od tych z lat 70-tych, ale finał podobny. Polska stała się jednym z najbardziej zanieczyszczonych krajów Europy, pod wieloma względami stan środowiska przyrodniczego i warunki naszej egzystencji są wręcz najgorsze.

Ale, na Boga, to jeszcze nie powód, by na to wszystko machnąć ręką i godzić się na import odpadów. Ledwo udało się zablokować decyzję urządzenia składowiska odpadów z elektrowni jądrowych w betonowych, poniemieckich bunkrach w okolicy Międzyrzecza, kiedy znowu pojawiły się pomysły wykorzystania wyrobisk kopalnianych do magazynowania odpadów przemysłowych importowanych z krajów uprzemysłowionych. Mówi się głośno o wyrobiskach kopalni odkrywkowych w rejonie Bełchatowa i Konina. Oczywiście, w każdym wypadku szermuje się argumentami ekonomicznymi, jakimiś mitycznymi zarobkami i zyskami.

O stratach ekologicznych ani słowa. I o tym, że mamy ogromną szansę stać się śmietnikiem Europy. Mam nadzieję, że z niej nie skorzystamy.

**MAREK CHMIELEWSKI**

Andrzej R. Szymański, Bezdomni w willowym pejzażu. Kurier Polski nr 38, 25 lutego 1987, s. 8



Kurierem od Bałtyku do Tatr

## Zakopiańczycy kochają sztukę — pieniądze bardziej

# Bezdomni w willowym pejzażu

**Pracują razem pięć lat, z tego dwa ostatnie w Zakopanem. Mowa o zespole szeroko znanego już w kraju Teatru im. Witkacego. 24 lutego mija druga rocznica ich działalności pod Giewontem. W tym czasie zyskali sobie olbrzymie zastępy przyjaciół, ale i wielu wrogów (tych ostatnich w samym mieście).**

I nie bez kozery reżyser i kierownik artystyczny w jednej osobie **Andrzej Dziuk** powiedział ostatnio: **„chcę podziękować naszym wrogom, bez których ten teatr nie byłby takim, jakim jest".**

A jakim jest...? Wymieńmy tylko tytuły spektakli wystawionych dotychczas, mając nadzieję, że będzie to najlepszy komentarz: **„Autoparodia"** Witkacego, **„Dziura"** według tekstów Antoniego Słonimskiego i Juliusza Tuwima, **„Życie jest snem"** Pedro Calderone'a, **„Historia"** Witolda Gombrowicza, **„Dr Faustus"** Christophera Marlowe'a, **„Wielki teatr świata"** Pedro Calderone'a i **„Cabaret Voltaire"**, seans dadaistyczno-surrealistyczny. To na razie, bo w przygotowaniu jest adaptacja **„Gracza"** według Fiodora Dostojewskiego oraz **„Matka"** Witkacego.

**W ciągu dwuletniego pobytu w Zakopanem zespół zagrał ponad 300 spektakli, które obejrzało ok. 57 tys widzów. Niewielka salka przy Chramcówkach, mieszcząca się w Profilaktycznym Domu Zdrowia, z ledwością może pomieścić wszystkich chętnych. Niemal zawsze — to już reguła — na spektakle są nadkomplety. Nawet taksówkarze dokładnie wiedzą gdzie jest teatr i bez wahania podwożą miłośników Melpomeny tam, gdzie trzeba. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pewne „ale".**

Teatr do dziś — mimo że przez wszystkich zaakceptowany, w tym i przez czynniki oficjalne — **jest właściwie przez cały czas teatrem bezdomnym. I to dosłownie. Bo oprócz sceny, trzeba gdzieś mieszkać. A z tym największy problem. Od dwóch lat aktorzy i niewielki personel techniczny tułają się po hotelach, prywatnych kwaterach, płacąc za noclegi bajońskie sumy.**

Niekiedy dochodzi do dramatycznych sytuacji, których nie potrafiłby chyba wyreżyserować tak zdolni reżyserzy jak **Andrzej Dziuk** czy **Julia Wernio**, którzy już niejedną sztukę dla teatru przygotowali.

**Mieszkali niegdyś w hotelu „Warszawianka", którego część spłonęła. Pozostali tam, ale w warunkach uragających wszystkiemu. Bez sanitariatów, łazienek itp. Kiedy przenieśli się do „Morskiego Oka", wydawało się, że to koniec ich kłopotów. Tymczasem tuż przed świętami kazano im opuścić hotel, gdyż trzeba było ich pokoje oddać jakiejś grupie jugosłowiańskiej. I znowu przeprowadzka, w najtrudniejszym zresztą okresie, bo załatwienie kwater w okresie świątecznym jest w stolicy Tatr niemal niemożliwe. Parę dni koczowali na scenie.**

— Nie chcemy uprawiać slalomu pomiędzy przepisami administracyjnymi — mówi Andrzej Dziuk. — **Chcemy, aby wynajęto nam pokoje (nie mieszkania) choćby na pół roku. Nie chcemy tego przecież za darmo, za wszystko płacimy — fakt, że w złotówkach.**

Była koncepcja, żeby udostępnić im 10-11 pokoi w budynku Profilaktycznego Domu Zdrowia, gdzie zresztą znajduje się scena, gdzie spędzają większość czasu ale...

— **Wszystko było już dopięte, nawet na szczeblach centralnych** — mówi naczelnik Zakopanego **Robert Kłak** — **ale zadziałały widać jakieś siły „nieczyste" które storpedowały te plany. Chcemy mieć teatr w mieście, ale na początku powiedzieliśmy że mieszkań nie jesteśmy im w stanie zagwarantować.**

Skąd mamy wziąć mieszkanie dla aktorów, skoro brakuje ich dla 140 nauczycieli, kilkudziesięciu lekarzy, milicjantów i w ogóle setek osób znajdujących się naprawdę w katastrofalnych warunkach. Możliwości nasze są właściwie zerowe.

Jak potoczą się dalej losy teatralnej grupy z Zakopanego? Miejmy nadzieję, że wspólne działania władz centralnych, które się w tę sprawę zaangażowały, wojewódzkich które też deklarują pomoc, miejskich, poparcie społeczeństwa — przyniosą rezultaty i teatr któregoś dnia stanie na nogi. Oczywiście, w sprawach mieszkaniowych, bo jeśli chodzi o artystyczne to... zresztą najlepiej zobaczyć samemu przy najbliższej okazji. Jeszcze tylko jedna rada. Najlepiej wcześniej zarezerwować bilety. Bo przed spektaklem jest to praktycznie niemożliwe.

**ANDRZEJ R. SZYMAŃSKI**



Tak po zimowych sztormach wygląda przystań rybacka w Unieściu (woj. koszalińskie). Potężne betonowe ławy — oparcie dla lin przy wyciąganiu łodzi — podmyte przez wodę runęły ze skarpy na plażę. **Przy zabezpieczaniu podmytego brzegu przed całkowitym zniszczeniem**

OLSZTYŃSKIE

## W sklepach ogrodniczych interes kwitnie

W sklepach ogrodniczych województwa olsztyńskiego (jest ich 8) od pewnego czasu coraz dłuższe kolejki. To właściciele pracowniczych ogródków działkowych i działek przydomowych ustawiają się po nasiona warzyw i kwiatów. Nauczeni doświadczeniem mówią: „lepiej kupić wszystko zimą, zamiast wiosną stać w jeszcze dłuższych kolejkach.

**Wzięcie ma więc cebula-dymka, nasiona buraczków, marchwi, pietruszki, sałaty i innych roślin. Są też nasiona kwiatów, w większym wyborze niż w latach poprzednich. Sprzedano już nasiona ogórków gruntowych, ale w planie są dostawy nasion plennej grupy ogórków. Sklepy otrzymają także fasolkę szparagową.**

Niewielkie jest jeszcze zainteresowanie nawozami mineralnymi i środkami ochrony roślin. Ale i na to przyjdzie czas.

(rog)

## Szczecińskie żurawie dla Czechosłowaków

Fabryka Maszyn Budowlanych „Famabud" w Szczecinie jest znanym i cenionym w kraju i za granicą producentem różnego typu żurawi. Eksportowane są m. in. do ZSRR i CSRS. W br. rozpocznie się eksport do Czechosłowacji nowego, największego typu żurawia ZB 120/200, przystosowanego do rozmaitych technologii budownictwa i posiadającego wiele nowoczesnych rozwiązań konstrukcyjnych.

Pierwsze dwa takie żurawie trafią do CSRS w 3 kwartale br. Przewiduje się, że docelowy eksport tych urządzeń do naszych południowych sąsiadów wyniesie kilkadziesiąt sztuk rocznie.

(cj)

Wystarczy pomyśleć

# Zaoszczędzono węgiel i zdrowie pracowników

**Przy produkcji cegieł i pustaków jedną z ważniejszych operacji jest suszenie gotowych wyrobów. W tradycyjnym układzie opala się mazutem powietrze, które poddane zawirowaniom odbiera ciepło.**

Przy stosowaniu opalania węglowego dodatkowym problemem jest popiół. Gwałtowne podmuchy powietrza powodują duże zapylenie. Do wychwytywania drobin popiołu nie wystarczają ani urządzenia odpylające, ani nawet zestawy cyklonów.

W jednym z zakładów podległych Krakowskiemu Przedsiębiorstwu Ceramiki Budowlanej grupa recjonalizatorów od dawna prowadziła badania nad znalezieniem oszczędnego rozwiązania pozwalającego uchronić pracowników przed pylicą. Zamiast jednej dużej dmuchawy zastosowano kilkanaście elementarnych strumieni o przepływie 7 m powietrza na sekundę

Andrzej R. Szymański, Teatr bez dachu nad głową. Fakty, 18. Kwietnia 1987.

Teatr

ANDRZEJ R. SZYMAŃSKI

# TEATR bez dachu nad głową

**Czy jeżeli teatr — w skład którego wchodzi raptem 9 aktorów, 2 reżyserów oraz 6 pracowników do „wszystkiego": techniczno-muzyczno-administracyjnych — wystawia na przestrzeni dwóch lat 7 ambitnych premier, to dużo to czy mało? Czy ponad 300 spektakli w tym samym czasie, przy blisko sześćdziesięciotysięcznej widowni — co przy maleńkiej salce regularnie oznacza nadkomplety — można nazwać sukcesem artystycznym? Czy wreszcie organizowanie wszelkiego rodzaju imprez towarzyszących — wystaw, koncertów, posiadów — także nie należałoby zapisać na konto plusów zespołu?**

Retoryczne to, oczywiście, pytania, a poza tym zakopiański Teatr im. Witkacego — bo o nim właśnie mowa — jest już na tyle znany w kraju, iż tego typu „anonse" reklamowe są mu zupełnie niepotrzebne. Zdobycie w roku ubiegłym Nagrody Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego jest zresztą najlepszym potwierdzeniem klasy młodej trupy spod Giewontu. Zdawałoby się, że — mając taki teatr w mieście — mieszkańcy jak i władze powinni aktorów na rękach nosić, starać się stworzyć jak najlepsze warunki, dogadzać we wszystkim... Tymczasem — tak to wygląda, gdy się lepiej przyjrzeć — dla niektórych jest ten teatr wręcz solą w oku, przeszkadza, denerwuje i w sumie nie za bardzo jest chciany, gdyż same z nim tylko kłopoty. Dlaczego?

— Byłbym niesprawiedliwy — mówi Andrzej Dziuk, reżyser i kierownik artystyczny — gdybym powiedział, że wszyscy traktują nas niechętnie. Skoro ludzie przychodzą do teatru, załatwiają bilety przez jakieś znajomości, szukając „dojść", to chyba znaczy, że jesteśmy potrzebni w tym mieście.

Naczelnik Zakopanego Robert Kłak ciągle podkreśla, że popiera teatr. Podobnie wypowiadają się i inni notable zakopiańscy, a i władze wojewódzkie (a nawet ostatnio centralne) też są „za". W czym więc problem? Dlaczego teatr, a coraz częściej mówi się o tym głośno i niemal oficjalnie, jest w stolicy Tatr dzieckiem niezbyt chcianym? — I tak to właśnie wygląda — komentuje z goryczą Andrzej Dziuk. — Niby wokół słyszymy werbalne deklaracje o poparciu i uznaniu, niby wszyscy przez cały czas nas poklepują dodając otuchy, ale na tym się, niestety, przeważnie kończy.

A sprawa jest prosta: aktorzy od ponad dwóch lat nie mają mieszkań! Nawet nie tyle mieszkań, bo takich wygórowanych żądań nigdy



*Fot.: T. Kośmider*

nie stawiali, ile stałego jakiegoś kąta, zwykłych pokoi hotelowych, aby było gdzie po pracy wypocząć, przespać się, jak należy.

— Od samego początku postawiłem sprawę jasno — mówi naczelnik. — Mieszkań dla aktorów nie będziemy w stanie zagwarantować. Sytuacja lokalowa w mieście jest taka, że gdybym nagle — chociaż to nierealne — dał aktorom mieszkania, ludzie, stali mieszkańcy, od lat oczekujący na kawałek własnego kąta, którym sufity się niekiedy walą na głowy, zjedliby mnie chyba.

— Nie żądamy przecież wiele — tłumaczy kierownik artystyczny teatru. Całkowicie urządzałyby nas jednoosobowe pokoje hotelowe, ale na dłuższy czas, żebyśmy nie musieli się co chwilę przeprowadzać.

Gdy przyjechali do Zakopanego, tułali się po kwaterach prywatnych, hotelach, pensjonatach. Wreszcie ulitowali się nad nimi dyrektorzy Tatrzańskiego Przedsiębiorstwa Turystycznego „Tatry" wynajmując im pokoje w hotelu „Warszawianka", starym, przeznaczonym do remontu (choć bardziej by się nadawał do wyburzenia) budynku. Sielanka nie trwała jednak długo. Którejś nocy w „Warszawiance" wybuchł pożar, który jakoś ugaszono, ale pokoje zostały całkowicie zdewastowane, zalane wodą, kompletnie nie nadawały się do użytku, choćby nawet ze względu na bezpieczeństwo. Aktorzy musieli się wyprowadzić.

Część znalazła noclegi w PTTK-owskim „Domu Turysty", reszta sypiała na scenie teatralnej przy ul. Chramcówki. Ale szczęśliwców, którzy liczyli na dłuższe koczowanie w „Domu Turysty", po dwóch czy trzech dniach usunięto z hotelu. Trzeba przyznać, że i tym razem dyrektorzy TPT „Tatry" bardzo ładnie się zachowali. Zarządzili natychmiastowe doprowadzenie do jakiego takiego stanu 3 pokoi w spalonej częściowo „Warszawiance" i po kilku dniach tułaczki aktorzy mogli z powrotem się tam przenieść. Fakt, że warunki w hotelu nie były najlepsze, ale przynajmniej mieli zapewniony dach nad głową.

W gestii Tatr znajduje się również hotel „Morskie Oko". Pod koniec 1986 roku trupa teatralna przeniosła się tamże i myślano, że nareszcie kłopoty się skończyły. Tymczasem tuż przed świętami Bożego Narodzenia zarządzono aktorom eksmisję...

— Byłem praktycznie sam — opowiada Andrzej Dziuk. — Wszyscy akurat powyjeżdżali do rodzin, pozostawiając rzeczy w pokojach. Nie wiedziałem, co robić, za co się brać w pierwszej kolejności. A na przeprowadzkę — ale dokąd? — miałem raptem parę godzin czasu! Nasze pokoje, za które płaciliśmy jak normalni goście hotelowi, więc nikt nam nie robił jakiejś łaski, oddano jakiejś grupie z Jugosławii.

— To oczywiście nieporozumienie — tłumaczy dyrektor naczelny TPT „Tatry" Ryszard Sikora. — Aktorzy zwrócili się do nas z prośbą o możliwość przeprowadzenia się z „Warszawianki" do „Morskiego Oka" a my zgodziliśmy się, ale pod jednym warunkiem. Wyznaczyliśmy termin: możecie mieszkać tam do 22 grudnia, gdyż potem miejsca będą zajęte! W końcu jesteśmy przedsiębiorstwem państwowym i obowiązują nas jakieś reguły gry, nie możemy robić z instytucji prywatnego folwarku. Miejsca w hotelach, których w Zakopanem ciągle jest za mało, są rezerwowane z góry, na długo przed przyjazdem. Aktorzy doskonale o tym wiedzieli, że będą się musieli wyprowadzić. Ułatwiliśmy im zresztą przeprowadzkę, dostarczając samochód do przewiezienia rzeczy, pomagając w ich przeniesieniu. Wydaje mi się, że więcej nie mogliśmy zrobić. Trochę nas krzywdzi p. Andrzej Dziuk, stawiając sprawę w ten sposób. Czyżby zapomniał, że w najtrudniejszym okresie, kiedy pies z kulawą nogą im nie pomógł, właśnie my wyciągnęliśmy do nich rękę? Pomijam już sprawę, że w „Warszawiance", w „Morskim Oku" zresztą też, prowadzili praktycznie w pokojach prawdziwe gospodarstwa domowe, z praniem, gotowaniem, odwiedzinami rodzin itp. Na to też przymykaliśmy oczy.

Sala teatralna mieści się w Profilaktycznym Domu Zdrowia przy ul. Chramówki. Ma, podobnie jak sala przy hotelu „Morskie Oko", swoją bogatą historię; w jednej i w drugiej występowali najznakomitsi w owych czasach, na przełomie wieków i na początku stulecia, aktorzy, muzycy. Budynek od kilku lat etapami poddawany jest remontowi generalnemu. Czy nie najprostszym wyjściem byłoby ulokowanie bezdomnych aktorów właśnie tam?

— To nie takie proste — wyjaśnia dyrektorka obiektu Irena Starowicz. — Mamy obecnie 150 miejsc, które znajdują się w dyspozycji Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, ale nadzór nad nimi sprawują związki zawodowe. Na dodatek (żeby było weselej — przyp. aut.) budynek jest własnością skarbu państwa, ale nieruchomość — Polskiego Czerwonego Krzyża! Być może przy oddawaniu

(DOKOŃCZENIE NA STR. 13)

# TEATR...

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 12)

do użytku nowej części budynku sprawa — chodzi, jak mi wiadomo, o kilkanaście pokoi — będzie rozważana ale... musi nastąpić porozumienie w tej materii pomiędzy naszym ministerstwem a Ministerstwem Kultury i Sztuki.

No i masz, babo, placek! Chciałoby się zapytać: kto właściwie rządzi pod Giewontem?

— Na pewno nie naczelnik — mówi pierwszy gazda Zakopanego Robert Kłak. — Sugerowano nam: dajcie aktorom niszczejącą od ładnych kilku lat „Szopenówkę" przy ul. Jagiellońskiej! A w jaki sposób mamy im ten budynek dać, skoro nie jest naszą własnością? Mówiono nam: kupcie dla nich jakiś domek, nawet nie nowy, stary, ale nadający się do remontu! Jak mamy to zrobić, pytam, skoro miasto nie posiada prawa pierwokupu? Gdybyśmy nawet znaleźli pieniądze na ten cel, nie wytrzymalibyśmy „licytacji" z bogatymi przedsiębiorstwami, które kupują tu wille za olbrzymie pieniądze. Ceny dochodzą nawet do 100 mln złotych za domek!

A więc sytuacja patowa! W dalszym ciągu poklepywanie, deklaracje o poparciu, ale — gdy przychodzi co do czego — wszyscy zasłaniają się przepisami, brakiem możliwości podjęcia decyzji. Jak długo to jeszcze potrwa? Jak długo młodzi aktorzy wytrzymają te wszystkie trudy i niewygody? Gdy się jest młodym, wiele oczywiście można wytrzymać i znieść, ale są jakieś granice. Czy któregoś dnia się nie zniechęcą, nie spakują i nie pojadą gdzie indziej, gdzie na pewno przyjęliby ich z otwartymi rękami?

— Nigdzie nie wyjadą i nigdzie ich od razu nie przyjmą — dochodzą mnie „rzeczowe" argumenty — Frekwencja w teatrach spada i wszystko wskazuje na to, że będzie się likwidować prowincjonalne teatry, a nie popierać zakładanie nowych.

O frekwencję, przynajmniej jak na razie, zakopiańscy aktorzy nie muszą się obawiać, o czym już zresztą była mowa. Czy Teatr im. Witkacego można natomiast nazwać prowincjonalnym, skoro przez stolicę Tatr rocznie przewija się ok. 3—4 mln turystów i wczasowiczów? Mam spore wątpliwości. I chyba nie tylko ja.

Podczas przedstawienia „Historii" Witolda Gombrowicza jeden z aktorów wypowiada następującą kwestię: „Jesteśmy bezdomni! Któż nas weźmie...?" Trzeba przyznać, dość adekwatne to słowa w stosunku do sytuacji młodego zespołu teatralnego. Faktycznie, któż ich weźmie...? „Warszawianka", w której obecnie koczują, idzie w najbliższym czasie do remontu. Chęci dopomożenia nie zadeklarował na razie nikt, choć sprawa trafiła ponoć nawet do gabinetu jednego z życzliwie ustosunkowanych do teatru wicepremierów. W Zakopanem każdy zasłania się niemożnością i przepisami. Co dalej?

„Tak, tak, kotki — powiedział Witkacy w „Uśmiechu kretyna" — nie jest u nas dobrze i jeśli szybko nie zaczniemy odklajstrowywać wszystkich zaklajstrowanych naszych słabizn, grozi nam kompletne spsienie". Casus zakopiańskiego teatru jest najlepszym dowodem, że w tym mieście źle się dzieje. Nie wiem, może potrzebna jest jakaś specjalna uchwała rządowa, może prawnie uregulowane rozszerzenie kompetencji naczelnika, który faktycznie niewiele może zdziałać, a może potrząśnięcie tym „kurortem"? Trochę już na tym odcinku się robi, ale zaszłości są tak wielkie, a ludzie przyzwyczajeni do pewnych „układów", „układzików" że trzeba naprawdę sporo i czasu, i energii, aby to wszystko zmienić, przewietrzyć, „odklajstrować" w końcu, jak powiedział Witkacy. Ci, którzy pragną zmian, spore nadzieje wiążą z osobą nowego I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR, Marka Kozioła, Aktorzy także.

I znów pytanie: co dalej z teatrem? No cóż! Aktorzy pracują pod kierownictwem reżyserki Julii Wernio przygotowali obecnie adaptację „Gracza" Fiodora Dostojewskiego (premiera odbyła się w Międzynarodowy Dzień Teatru, 27 marca). W planach jest także „Matka" Witkacego, może któraś ze sztuk Sławomira Mrożka. Ambitne pozycje, a mimo to akceptowane przez widzów.

— Teatr nasz — mówi Andrzej Dziuk, a brzmi to jak deklaracja programowa — chce być teatrem artystycznym, chce ocalić racje teatru jako sztuki. Chce coś znaczyć, chce służyć drugiemu — żywemu, myślącemu, czującemu, przerażonemu — człowiekowi.

A znakomity, światowej sławy malarz Tadeusz Brzozowski, od początku nie tylko wielbiciel, ale i współpracownik teatru (czyż nie wiele teatrów w Polsce chciałoby mieć takiego współpracownika?), dodaje:

— Moją wielką miłością jest Teatr im. St. I. Witkiewicza. Oby trwał jak najdłużej! Oby był coraz doskonalszy! Życzę teatrowi który kocham dużo dużo Dobrej Roboty!

**ANDRZEJ R. SZYMAŃSKI**

Andrzej R. Szymański, Teatr bez dachu nad głową, „Fakty" Bydgoszcz 1987 nr 16 s. 12-13

Artykuł o Teatrze Witkiewicza, zdj. z „Faktów"

ROMUALD BOKUN (WSPÓŁPRACA ANDRZEJ SZYMAŃSKI), URODZINOWY TORT Z GORZKIMI MIGDAŁAMI, „KURIER POLSKI" NR 66, KWIECIEŃ 1987

S. 5



# URODZINOWY TORT Z GORZKIMI MIGDAŁAMI

*„Zakopane upada, ale po latach dopiero ocenią przyszli socjologowie, istotę i wielkość tego upadku. Na razie będzie rosła ta przeklęta dziura; będą teatry, będą tingle, będą kasyna. Ale wewnątrz, w samym pępku Zakopanego zachodzą zmiany straszliwe, które z czasem głębokim echem rozlegną się po obszarach całego kraju i wywołają spóźnioną rozpacz.*

*Zakopiańczykom (prawdziwym) poświęcone."*
*WITKACY*

**JESTEM za utrzymaniem teatru w mieście, ale jednocześnie za dotrzymaniem zobowiązań i naszych, i władz wojewódzkich, a także centralnych, które deklarowały pomoc. Mówiło się przecież o pokojach w Profilaktycznym Domu Zdrowia. Wszyscy byli za, ale gdy przyszło do podejmowania konkretnych decyzji, nabrali wody w usta. W Zakopanem zawsze tak jest — jak trzeba podjąć trudną decyzję, to każdy woli stać z boku i spokojnie czekać na to, co się wydarzy. Gdy jest natomiast dobrze, wszyscy „podczepiają" się do płynącego statku i krzyczą: „Płyniemy razem w świetlaną przyszłość".**

**ROBERT KŁAK** — naczelnik miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej, mimo że wrócił do pracy tuż po urlopie, robi wrażenie człowieka zmęczonego. **W mieście jak w tyglu — ani dnia spokoju. Tysiące turystów i jeszcze więcej problemów.**

**— Bezdomni aktorzy? Znam tę sprawę bardzo dobrze, ale ja sam nie mogę wiele zdziałać** — stwierdza z rezygnacją. — **Owszem, wiele razy zwracali się do mnie o pomoc. Ludzie przyjezdni, z zewnątrz, nie mogą tego zrozumieć, że władza naczelnika w Zakopanem jest bardzo ograniczona.**

— Dziwi się pan dlaczego? — czytam w moich myślach. — Żeby poznać przyczyny, trzeba tu parę lat pomieszkać. A właściwie, to ja już na samym początku, gdy pierwszy raz rozmawiałem z Dziukiem, powiedziałem wyraźnie — teatr w mieście jest potrzebny. **Pomożemy wam w miarę naszych możliwości. I pomagamy. Daliśmy pieniądze na remont sali na Chramcówkach, płacimy też rocznie 2 miliony PDZ-om za wynajęcie sali na potrzeby teatru. Są to w skali miasta naprawdę duże pieniądze. Ale w kwestii mieszkaniowej sami niewiele możemy zrobić. Setki osób w Zakopanem czeka na mieszkania, i na dobrą sprawę trzeba by niektórych natychmiast przekwaterować. Ale gdzie? W mieście jak na razie nie ma budownictwa komunalnego.**

## NA CHRAMCÓWKACH POD PIĘTNASTYM

Przed wejściem do budynku dawnego sanatorium doktora Chramca stoi spora grupa młodych ludzi. Ubrani normalnie jak na tę porę roku w grube, puchowe kurtki, ocieplane spodnie i zimowe buty. Niektórzy dźwigają plecaki i narty. Co jakiś czas ktoś z biletem w ręce przeciska się przez tłum w kierunku drzwi. Pozostali patrzą z zazdrością. Mimo że dziewiętnasta minęła, nie rezygnują. Wiedzą, że w Teatrze Witkacego spektakle rzadko rozpoczynają się punktualnie. Gospodarze nie mają w zwyczaju pozostawiać gości na zewnątrz, chyba że w środku zabraknie miejsca nawet na podłodze. Każdy centymetr powierzchni jest wykorzystany. Herbatą i ciastkami są częstowani wszyscy bez wyjątku — ci z biletami i ci bez.

Nie ma tu też wyraźnego podziału na scenę i widownię, aktorów i widzów. Spektakle rozgrywają się wśród ludzi i z ich udziałem. A po zakończeniu nikt nie biegnie do szatni. Ludzie pozostają na swoich miejscach, jakby żałowali, że misterium, w którym uczestniczyli, już się kończy. Aktorzy zdejmują zwe sceniczne maski i wtapiają się w tłum. Rozmawiają z gośćmi, żegnają wychodzących, zapraszają na kolejny spektakl.

Reżyser i kierownik artystyczny — **ANDRZEJ DZIUK**, mimo bardzo późnej pory, chętnie przystał na propozycję rozmowy. O teatrze może mówić bez końca i o każdej porze. Nie krył jednak zaskoczenia, gdy od razu zapytałem o mieszkania.

**— Nie chcę żadnych nadzwyczajnych interwencji** — zastrzegł się na wstępie. — **Nie wierzę, że jakiekolwiek działania z zewnątrz mogą coś zmienić. Te sprawy dotyczą Zakopanego i muszą być załatwione tu, w samym mieście.**

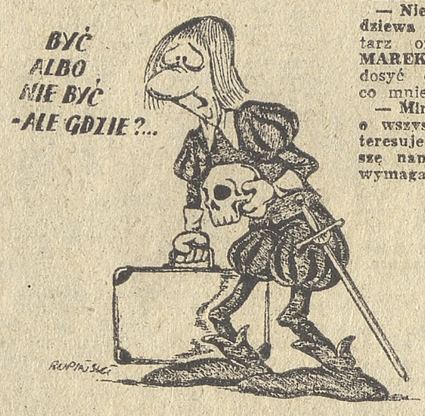
**— Nie przewróciło nam się w głowach, jak niektórym sądzą. Od początku nie stawialiśmy żadnych żądań, tylko wzięliśmy się do roboty. I pokazaliśmy na co nas stać. Ale żeby pracować, to musimy jeszcze mieć gdzie mieszkać. A prawda jest taka, że w mieście, w którym co rok prawie dwa miliony ludzi spędza urlopy, mając gdzie mieszkać, dwadzieścia kilka osób z naszego zespołu nie może wynająć pokoi chociażby na rok. Płacimy jak inni, i co dwa tygodnie przenosimy się z miejsca na miejsce.**

Widząc moje zdziwienie, i uprzedzając nie zadane jeszcze pytanie — dlaczego? — mój rozmówca zacytował Witkacego: **„Istnieje bowiem zakopiański wymiar psychiczny, tak niedostępny dla duchowego cepra, jak niedostępny jest wymiar sióstmy dla istoty w sześciu tylko wymiarach żyjącej".**

## TYLKO TU

O zespole myśleli już studiując w krakowskiej szkole teatralnej. Wspólnie robili pierwsze szkolne spektakle. Andrzej Dziuk — polonista, filozof i reżyser — od początku postawił sprawę jasno. Wiedział, że bierze najlepszych. Ale żeby stworzyć z nich dobry, profesjonalny zespół, musiał ich zarazić bakcylem pracy. Inni nazywali to po prostu harówką. Nie wszyscy wytrzymali to tempo. Ale ci, co pozostali, podjęli tę decyzję świadomie. Świadomie też zdecydowali się na Zakopane, choć mieli kilka innych propozycji.

Kto wie, może gdyby zgodzili się pójść np. do Wałbrzycha, ich dzisiejsze niemożliwe do przeskoczenia problemy zupełnie by nie istniały, a im byłoby znacznie łatwiej? W Wałbrzychu obiecano im przecież prawdziwy teatr z dużą sceną i zapleczem. Mieliby niezłe pieniądze, a nie te comiesięczne umowy-zlecenia opiewające na sumę 15 tys. złotych na osobę. Jak inni mieliby ubezpieczalnię i bezpłatne leczenie. No i mieliby mieszkania, a nie te ciągłe przeprowadzki i wyżebrane niemal pokoje dla małżeństw z dziećmi w remontowanym po pożarze hotelu „Warszawianka" z sanitariatem na korytarzu. Pokoje, za które płacą horendalne pieniądze, i są wdzięczni właścicielowi — Tatrzańskiemu Przedsiębiorstwu Turystycznemu „Tatry", że nie wyrzuca ich na ulicę.




Nie musieliby też spać na scenie, gdy tuż przed Wigilią kazano im wyprowadzić się z „Morskiego Oka", bo trzeba było natychmiast zwolnić miejsca dewizowej grupie jugosłowiańskiej. Wreszcie mieliby pieczątki w dowodach, stwierdzające, że... uczciwie pracują.

Ale Dziuk jest konsekwentny i uparty. Wie, że ten teatr może funkcjonować jedynie w Zakopanem, w mieście szczególnym i natchnionym osobą dla nich najbliższą — Stanisława Witkiewicza. Wie także, że może liczyć na pomoc i poparcie przyjaciół.

## OPIEKUŃCZE SKRZYDŁA

**BRONISŁAW STEFANIK** — architekt, absolwent Akademii Sztuk Pięknych i Politechniki Krakowskiej osiedlił się w Zakopanem ponad 30 lat temu. Poznał tutejszych ludzi i układy tu panujące bardzo dobrze, nie tylko pracując jako architekt miejski, **ale również z racji piastowania wielu funkcji społecznych. Również problemy teatru zna lepiej od innych. Przecież to za jego sprawą Towarzystwo Miłośników Teatru, któremu prezesuje nieprzerwanie od 1980 roku, przyjęło grupę Dziuka pod własne skrzydła, gdy nie mieli żadnego statusu i nie wiedziano właściwie co z nimi zrobić. Zdecydowano się wówczas na utworzenie autonomicznej sekcji towarzystwa. Dzięki temu aktorzy zyskali m. in. opiekę i pomoc administracyjną, fundusze na honoraria, dopłaty do wyżywienia i noclegów. Również dzięki osobistej, biorącej swój początek jeszcze w okresie wojennym, znajomości prezesa Stefanika z osobą piastującą obecnie w stolicy wysoki urząd, wiele spraw pozornie niemożliwych udało się załatwić.**

Oczywiście problemy teatru i bezdomnych aktorów mocno leżą mu na sercu. Tak samo mocno, jak chociażby sprawa doprowadzonego już dziś do kompletnej ruiny „Morskiego Oka", gdzie do 1976 roku miał swoją siedzibę ich amatorski teatr, któremu przewodził. Właściwie teatr ten pozostał do dziś, tyle że od kilku lat za sprawą „dobrych opiekunów" jest również bezdomny.

## WAŻNE I WAŻNIEJSZE

Stefanik jako architekt i urbanista nie może pogodzić się z chorymi, jak twierdzi, planami przebudowy „Morskiego Oka". Jakiś bliżej nie określony argentyński inwestor, dobudowa nowych pięter zupełnie nie pasująca do niskiej zabudowy Krupówek, ponad 200 miejsc noclegowych, parkingi dla samochodów, dewizowi goście, dziwki i cinkciarze — nie tak powinna według niego wyglądać nowoczesność i kultura w centrum Zakopanego. Nie taka jest też tradycja „Morskiego Oka".

Sam wspólnie z synem, również architektem, opracował projekt modernizacji hotelu. Powinno to być przyszłe centrum kultury Zakopanego. Jego projekt przewiduje rozbudowę istniejącej sceny, odbudowę rozebranych przed laty stylowych werand, odtworzenie zaplecza scenicznego oraz dobudowę nowego skrzydła, gdzie znalazłoby się miejsce na bibliotekę, sale dydaktyczne dla młodzieży, salę disco i kawiarnię. A odnowione pokoje służyłyby właśnie miejscowym i przyjezdnym aktorom.

Projekt, który jesienią ubiegłego roku gratisowo przekazał miastu, utknął gdzieś w szufladach urzędniczych. A czas nagli. Któregoś dnia nieokiełznana górska przyroda sama może rozwiązać ten problem...

**— Wracając do mieszkań** — kontynuuje swój wywód Stefanik — **to jakby dobrze poszukać na pewno znalazłby się budynek, który można by wykupić dla teatru. Chociażby „Skibowianka" lub niszczejąca od kilkunastu już lat „Szopenówka" Ten stojący niemal w centrum miasta wielki, niezamieszkany dom pilnie potrzebuje gospodarza i remontu. Inaczej on też się rozsypie.**

## PARTIA CZY ADMINISTRACJA?

O obiecanych pokojach w PDZ-cie dowiedziałem się od sekretarza PZPR.

**— Niech pan za wiele się nie spodziewa po tej rozmowie** — sekretarz organizacji miejskiej PZPR **MAREK KOZIOŁ**. przywitał mnie dosyć chłodno, dowiedziawszy się co mnie do niego sprowadza.

**— Minęły już czasy, kiedy partia o wszystkim decydowała. Jeżeli interesuje pana moje zdanie, to proszę napisać tak: Wiele jest spraw wymagających w naszym mieście uporządkowania Np kultura i rozrywka zatrzymała się w Zakopanem na poziomie lat 60. To, co dziś oferuje się turystom i wczasowiczom, jest w wielu przypadkach żenujące. Mieszkam obok teatru i wiem, co się tam robi i kto tam przychodzi. Uważam, że właśnie ten teatr jest jedynym zwiastunem nowoczesnej kultury w mieście. I dlatego twierdzę, że sprawę mieszkań dla aktorów należy jak najprędzej załatwić. Ale powtarzam raz jeszcze — należy to do administracji. Ja natomiast ludzi za to odpowiedzialnych będę rozliczał partyjnie.**

Po tym bardzo oficjalnym wstępie przyszedł czas na luźniejszą rozmowę. Z niej właśnie dowiedziałem się o proponowanych pokojach w PDZ-cie, interwencji z Warszawy oraz o tym, że sprawa została z nie wyjaśnionych przyczyn przystopowana.

Dyrektor Profilaktycznego Domu Zdrowia **IRENA STAROWICZ** — mimo pozornego spokoju, nie potrafiła opanować zdenerwowania, gdy zapytałem ją, co sądzi o propozycji udostępnienia kilku pokoi dla aktorów.

**— Wszystkim się wydaje** — zaczęła swój wywód — **że budynek jest ogromny i możemy tu kwaterować wszystkich, którzy stosując różne formy nacisków starają się uszczknąć nam kilka pokoi. A takich kontrahentów mamy coraz więcej. Np. PCK — właściciel tego terenu. Zgadza się przekazać nam plac pod warunkiem udostępnienia pokoi. W kolejce do naszych pomieszczeń ustawił się też miejscowy ZOZ, stacja epidemiologiczna oraz biblioteka lekarska. Czy będąc pod taką presją mogę stworzyć precedens i dać mieszkania aktorom?**

## ZROZUMIEĆ ZAKOPANE

Czy ceper może zrozumieć Zakopane i jego rodowitych mieszkańców? Powtarzane coraz częściej pytanie — dlaczego? — pozostawało nadal bez odpowiedzi. Raz jeszcze postanowiłem szukać jej w gabinecie naczelnika Kłaka.

**— Co sądzi Pan o koncepcji przeznaczenia hotelu „Morskie Oko" na cele kultury?** — zapytałem.

**— Zakopane posiada raptem niewiele ponad 2 tys. miejsc hotelowych i jeszcze mamy się ich wyzbywać?**

**— Ale przecież koncepcja nie zakłada całkowitej likwidacji hotelu. Dwa piętra mają pozostać do dyspozycji aktorów i gości.**

**— „Morskie Oko" to sprawa Tatrzańskiego Przedsiębiorstwa Turystycznego „Tatry", dla którego organem założycielskim jest wojewoda nowosądecki. A więc sprawa przyszłości hotelu — jest w gestii wojewody. Miasto niewiele ma tu do powiedzenia.**

Kończąc rozmowę z naczelnikiem Kłakiem zadałem mu jeszcze jedno pytanie.

**— Niedawno teatr obchodził drugą rocznicę swojego istnienia. Czy z okazji tego jubileuszu miasto przygotowało aktorom jakiś prezent?**

**— U nas ciągle fetuje się jakieś rocznice i jubileusze. Gdyby to jeszcze była jakaś okrągła rocznica, np. pięcio- czy dziesięciolecie to rozumiem, ale dwa lata to chyba trochę za mało, aby już rozdawać prezenty. Tym bardziej że nie ma z czego** — zakończył rozmowę naczelnik.

Może i racja tylko że mieszkając na scenie lub kątem u znajomych i śpiąc z walizką pod głową, trudno będzie aktorom doczekać bardziej znaczącego jubileuszu. Na ten prawdziwy, zawodowy teatr Zakopane czekało ponad 100 lat. To jest dopiero jubileusz.

## EPILOG

W przeddzień drugich urodzin w teatrze zorganizowano uroczystą konferencję prasową, na którą oprócz dziennikarzy i przyjaciół zaproszono ojców miasta. Punktualnie o wyznaczonej porze zjawili się dziennikarze, nawet zagraniczni (ci ostatni przybyli bez zaproszenia). Nie zawiedli też przyjaciele. Z władz Zakopanego nie pojawił się nikt.

**ROMUALD BOKUN**
**współpraca**
**ANDRZEJ SZYMAŃSKI**

# Z UKOCHANEJ ZIEMI

## SPOD KSIĘGARSKIEJ LADY

## ŻMUDŹ

*ŻMUDŹ. Co to takiego? Gdzie to jest? Czy to na Ukrainie? A może w Infiantach? A może to kraina wymyślona przez poetów, jak Arkadia czy Atlantyda? Nie. Żmudź jest w sensie historycznym i geograficznym krainą jak najbardziej realną, choć — przyznaję — bliską z wielu względów owym krainom mitycznym. Jest krainą mitom przyjazną, jak homerowa Grecja, lub gnącą w labiryncie przeszłości Kreta.*

*Nazwa Żmudzi pojawia się w ruskich kronikach XIII i XIV wieku jako „ziemla Zomojtskaja", której łacińskim odpowiednikiem był termin Samogitia, lub terra Samogitiae. Niektórzy kronikarze mówią o „Żomojtskom kniażestwie" czy nawet „wielikom kniażestwie Żomojtskom". W tym też brzmieniu spotykamy nazwę Żmudzi w Metryce Litewskiej i w pismach wychodzących z kancelarii wielkoksiążęcej Litwy, używającej języka ruskiego aż do połowy wieku XVI. Wtedy dopiero przyjmuje się polski termin „ziemia żmudzka, żmujdzka albo żmudzka" na przemian z „Xięstwem Żmudzkim". Pisownia nazwy była długo, podobnie jak i innych litewskich nazw i nazwisk — chwiejna. W tytulaturze królewskiej Żmudź zajmowała miejsce niepoślednie, zaraz po Mazowszu: Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae. Volhyniae, Podoliae, Smolenskiae, Czerninhoviae etcaetera. etcaetera.. Starosta żmudzki był równy rangą wojewodom, zasiadał w Senacie Rzeczypospolitej pomiędzy kasztelanem trockim a wojewodą smoleńskim, miał podległych sobie urzędników zwanych ciwunami, i tak naprawdę to pełnił władzę książęcą na Żmudzi, co tak drażniło ambitną i skrzętną królowę Bonę.*

*A jak przebiegały granice Żmudzi? Odsyłamy Państwa do niedawno wydanej przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu źródłowej i bardzo cennej pracy Grzegorza Błaszczyka pt „ŻMUDŹ W WIEKU XVII i XVIII — ZALUDNIENIE I STRUKTUR SPOŁECZNA". Kapitalnym wręcz załącznikiem tej rozprawy jest opracowana przez autora mapa Żmudzi, ilustrująca jej podział administracyjny w dwóch ostatnich stuleciach Rzeczypospolitej Obojga Narodów Tam też oznaczone zostały precyzyjnie granice Żmudzi, którą dopiero Sejm Wielki przekształcił w województwo żmudzkie. Przyjęło się z grubsza uważać, iż granice te wyznaczają: Bałtyk od zachodu, Niemen od południa, zaś Niewiaża od wschodu. Tu możecie przekonać się, iż granice te bardziej były skomplikowane, nie pokrywały się z podziałem na diecezje, ulegały co jakiś czas korektom i przesunięciom — zwłaszcza na północnym wschodzie i za Niemnem. Tu możecie umocnić się w podejrzeniach, iż Wodokty Billewiczów, gdzie stary Żmudzin obracał kamienne żarna — kilkaset bryczko „Padłaś!". leżały nieco na wschód od Niewiaży. a więc nie na Żmudzi; natomiast okolice szlachty laudańskiej — tak, jako że Lauda — malusieńka rzeczka, dziś prawie całkowicie wyschnięta — wpada do Niewiaży od zachodu.*

*Grzegorz Błaszczyk tropi z talentem Sherlocka Holmesa wszelkie, bardzo zresztą skąpe dane demograficzne zawarte w źródłach historycznych, by precyzyjnie ustalić stan zaludnienia Żmudzi w XVII i XVIII wieku Przy okazji zapoznajemy się z „Taryffą kurzących się dymów w Xięstwie Żmudzkim" z tych stuleci, a więc imiennym wykazem podatników opłacających „podymne" ostatni z podatków, który szlachta — bardzo niechętnie płaciła od domu czyli od rodzinnego ogniska Dymy dzieliły się na: wieczyste (szlacheckie i poddańskie) królewskie i kościelne. Zachowały się dla Żmudzi „taryffy" z lat 1690—1790, z podziałem na 28 żmudzkich powiatów. Jest to bezcenna kopalnia faktów historycznych; z których historycy mogą czerpać dane do swych przemyśleń, ustaleń i hipotez.*

*Ale mnie osobiście (dla wyjaśnienia dodam, że rodzina mego ojca wywodzi się z powiatu beržańskiego, który miał wyjątkowe szczęście, bo zaciłowały się aż 4 „taryffy" jego dotyczące) Żmudź kojarzy się przede wszystkim z zapachem. Cóż to za zapach? Ano zapach starego, drewnianego domostwa. w którym „czas dawny skrył się w zegarach, szafach i skrzyniach" zapach maciejki pod oknem, zapach rozowego, koloru żmudzkiej ziemi, chleba, zapach świrna, odryny, kumietyni, wozowni i stajni, zapach białego kurzu na wyboistym trakcie między Szawlami i Kielmami, który jak biały woal snuł się za pomykającą żwawo bryczką, zapach leśnego jeziora Vieżeteris, w którym pławiło się konie. Dla mnie Żmudź to kraina wiecznego lata, wiecznych wakacji i wiecznego dzieciństwa. Powiecie, że taka Żmudź nie istniała i nie istnieje. Owszem — istniała w moim sercu i istnieje w mojej pamięci. Jest to owa Żmudź mityczna — moja Arkadia i moja Atlantyda.*

**LEON JANOWICZ**

*PS. Pragnę podziękować za list pani Julii Matuszczakowej z Wrocławia, która mi zakomunikowała ciekawe dane do biografii Mieczysława Gryżewskiego. Warto skomunikować się z Instytutem Badań Literackich w Warszawie.*

# OD CZUBKA GŁOWY

SZUM i gwar, towarzyszące międzynarodowym targom konfekcji w Paryżu, jeszcze na dobre nie umilkły, gdy projektanci, wróciwszy w domowe pielesze, czym prędzej wzięli się za pędzle i ołówki, by utrwalić i przerobić na użytek swoich klientów to, co ujrzeli w stolicy światowej mody. W oryginale nazywa się to 53. Międzynarodowy Salon Pret a Porter, czyli konfekcji damskiej i salon „mody butikowej" (w przekładzie bardzo dowolnym). Chodzi więc o to, co się będzie po prostu nosić, a nie tylko oglądać na pokazach albo na damach z wielkiego świata. I niech nikogo nie dziwi, że były to modele na jesień — zimę 87/88.




Wszystkim świętym od mody potrzeba trochę czasu, by zaprojektować stosowne modele, fabrykom — by zdążyły je uszyć. Tak zresztą z reguły bywa, że pewne zwiastuny przyszłosezonowej mody są już w noszeniu, a panie umiejące trzymać igłę w ręku czy zamawiające coś na miarę mogą od zaraz wykorzystać to, co pokazano nad Sekwaną. Wiadomo, że droga do sukcesu w świecie damskich fatałaszków szansa, że cię zauważą choćby i będziesz mieć coś do powiedzenia w tej sprawie - wiedzie via Paryż. Toteż zjeżdżają tu projektanci i dyktatorzy mody, właściciele firm, salonów i domów handlowych z całego świata Jedni kupują, inni prezentują swe dzieła a wśród tych ostatnich tak naprawdę liczą się od pewnego czasu najpierw Francuzi i Japończycy, potem Włosi i dopiero później cała reszta. W tegorocznych targach wzięli udział producenci z kilkunastu krajów, też prezentujący swoje propozycje — najwięcej z Wielkiej Brytanii dalej — z Belgii i RFN, byli Austriacy i Włosi, Grecy i Hiszpanie zaznaczyły swą obecność Indie, Finlandia Korea Płd., Hongkong Peru, Szwajcaria i wiele innych. W sumie 1500 francuskich i zagranicznych (jak to się tam skrupulatnie zaznacza) projektantów, a pokazy odbywały się na żywo, z wideo, z doradcami i bez, i w ogóle było tego co niemiara, non stop przez dni 5.



Takl komplet, tak noszony, to szyk, elegancja, dobry smak. Przyszłej jesieni albo i tej wiosny.



Okrycie na przynajmniej trzy pory roku, uwzględniające realia dnia codziennego, dla każdej właściwie sylwetki



Ta suknia kojarzy się każdemu z najnowszą modą, tyle że nie każdej sylwetce przystoi



Moda i wygoda — na zimne dni jak znalazł

Można było obejrzeć, zamówić bądź podpatrzeć rzeczy gotowe do noszenia przez ulicę i od wielkiego dzwonu, suknie ślubne i wakacyjne trykoty i bawełniany świat. coś dla awangardy i spokojniejszych gustów, dla tych co ubierają się w domach towarowych i w butikach, dla osób bardzo młodych, pań w każdym wieku, na każdą okazję, pogodę i styl życia. Także dodatki, biżuterię, kosmetyki i makijaże, nakrycia głowy i buciki — słowem wszystko dla pań od stóp do głów.

Nieprzypadkowo wybieramy dla naszych Czytelniczek modele rysowane. Na nich najlepiej widać modne linie, zmiany stylu i konstrukcji odzieży, wszelkie długości, szerokości i wcięcia. I przypominamy, że wszystko to jest oczywiście bardzo przerysowane właśnie po to, by było dobrze widoczne; co się w modzie zmienia i w którym miejscu. Resztę prosimy obejrzeć i wybrać coś dla siebie. Na już albo na przyszły sezon.

**AGNIESZKA DZIEMBAJ**

# PO KONIUSZEK PIĘTY



Czy w takiej sukni ślubnej panna młoda ochoczo powie: tak?



Model świeży, spontaniczny — powiedzieli o tym projekcie fachowcy. Na bardziej uroczyste okazje doskonały.



DOŚĆ SZARPANIA ZACINAJĄCYCH SIĘ ZASŁON I FIRANEK!!!

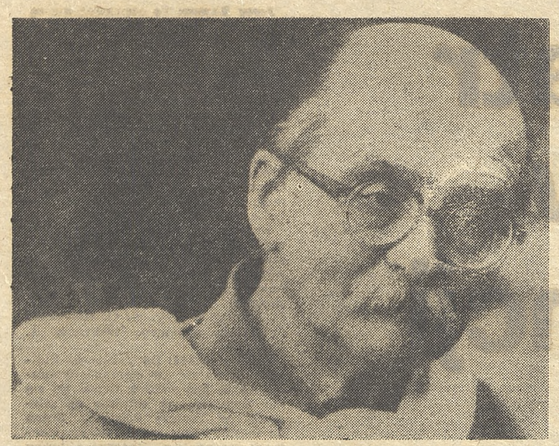
kareo

Prawdziwie elegancki wygląd
Twojego mieszkania zapewnią regularne
fałdy firanek i zasłon.
Możesz to uzyskać dzięki
nowoczesnemu systemowi KAREO.

ANNA BILSKA, FIGURYNKI KWILĄ..., "RADAR", NR 647, 25.06.1987, s. 12
RECENZJA WYSTAWY







# „FIGURYNKI KWILĄ ŻAŁOŚLIWIE"

*„Tak to grając zdążamy do*
*ostatniej mety*
*I tylko umieramy na serio,*
*niestety"*

w ten sposób, utworem zacytowanym z jednego ze swych spektakli, zespół Teatru im. St. I. Witkiewicza otworzył wieczór poświęcony pamięci Tadeusza Brzozowskiego. Zresztą — „wieczór poświęcony pamięci"... to brzmi jak dęty frazes, nekrolog wspomnień, pogrzeb emocji. „Wieczór z Tadeuszem Brzozowskim" — tak ujął to zespół Teatru i tak było prawdziwiej.

Pretekstem stała się pierwsza pośmiertnie zorganizowana wystawa rysunków artysty (około 50 prac z lat 1980—1985), ale nie tylko to miało prowokować do spełnienia życzenia wyrażonego przez Zespół: „Mamy nadzieję, że Tadeusz będzie z nami". Po muzycznej introdukcji w wykonaniu Capelli Cracoviensis, rozpoczęła się rzecz o życiu, śmierci i sztuce. Wstępem do tego przedziwnego misterium był „dramat" Brzozowskiego rozpisany na głosy i rysunki. Aktorzy „odegrali" tytuły-komentarze eksponowanych prac. Pomysł znakomity, bo cała ta kaskada eufonii, paronomazji, inwersji jest poezją samą w sobie. Aby nie pozostawać gołosłowną: **„Rajfur ryje; Prynca szezlong skrzypi; Baleryna Pas robi; Kupler nęci — Kupler nęka; pochlipuje kocmołuch; Kronprync — delicyj nie syty; kocmołuch chlipie żałośliwie; konsolacja Komiltona; Klucznica sapie i syczy; farmazon migrenę ma jednak; Klakiera woń; Zaprzaniec chrząka chyłkiem; Krotochwilnie arcyłotr charczy; parobek szczuje nieskładnie; Renegat dynda; Grymaśnica się drapie; Herszta różnie w śledzionie; renegat charczy tęgo; Charkoty Diuka milną; Kamrat się iska; W Dormitorium mlaskanie; Paniez niucha; Pakamera i swąd w niej; padół podołkami okraszony jest; Extraordynaryjne trąbki; Egzercyrki kres; Figurynki kwilą żałośliwie; trop w trop; w gondoli chłeptać nie trza; dubeltowa siesta; Ekwipaż chyżo pomyka; winda dycha nieskoro; Pukiel Mańkuta; fanfary piskają; piszczka dech; trąbek chrypka rzęzi; Respondenta uwiera; zdzierczy gardło rozdarte na pół; szlafmycy brak — czad bywa; szlafeymer i nakastlik; Banita dysgustu pełen; posoki odór; kanału fetor; pątnik; pątnica; pątnik wtóry; pątnica wtóra"**.

Nie o to wszak chodzi, aby przez to obfite przytoczenie zadomowić się w świecie żartu, ironii, groteski. Aby poczuć się w nim tylko gościem, wystarczy skonfrontować tytuły z dramatyczną ekspresją rysunków Brzozowskiego, który sam tłumaczył ten mariaż przeciwieństw; *„Ponieważ moje obrazki (mówię to po cichu) biorę serio — więc tytułami wytwarzam pewien dystans, dlatego, że są ironiczne, śmieszne. I jakoś „powagę" obrazków nieco niwelują. Może w takich dziwnych czasach żyjemy, że jeśli chcemy coś powiedzieć serio, musimy mówić ironicznie"*.

No właśnie — co jest serio? Gdy chce się odpowiedzieć na to pytanie, nie wolany zjawia się patos. Człowiek, jego podmiotowość, moralność; ślepy los, czy świadomość egzystencji? Jeśli życie jest teatrem, to teatr musi być życiem. Sztuka powinna sprostać temu równaniu, powinna być wielkim teatrem świata. Ale o tym (już w cudzysłowie), za chwilę. Na razie niech raz jeszcze zabierze głos Tadeusz Brzozowski: *„Ja stale powtarzam tę samą historię, dotyczącą jednego człowieka, którym może być każdy"*. A w innym miejscu — *„Nie jest to teatr MUNDI, bo mnie na to nie stać — ale teatr egzystencji każdego z nas, teatr typu EVERYMAN (...) Mój teatr zbliżony jest także do misteriów średniowiecznych, ale tych, które Kościół zabraniał grać — bowiem wkraczały w sferę wulgarno-groteskową. Do nich właśnie staram się zbliżyć, jeśli nawet pokazuję — i tu muszę użyć słowa brzmiącego okropnie, sprawy wzniosłe, natychmiast rozbijam je elementami groteski, by wszystko stało się bardziej ludzkie. Konieczne jest równoważenie napięć"*.

W tym teatrze sztuki znalazło się miejsce także na Teatr — przygodę rozpoczętą wcześnie — w okupacyjnym teatrze „Bratniak" T. Kantora. Nic więc dziwnego, że i zakopiańska scena zyskała w Tadeuszu Brzozowskim przyjaciela, który nim pozostanie nie tylko dlatego, że pozostawił swój artystyczny udział w jego twarzach. I zapewne świadczy o tym nie tylko „Wielki teatr świata" Calderona w reżyserii Andrzeja Dziuka, do którego scenografię i kostiumy projektował właśnie Tadeusz Brzozowski.

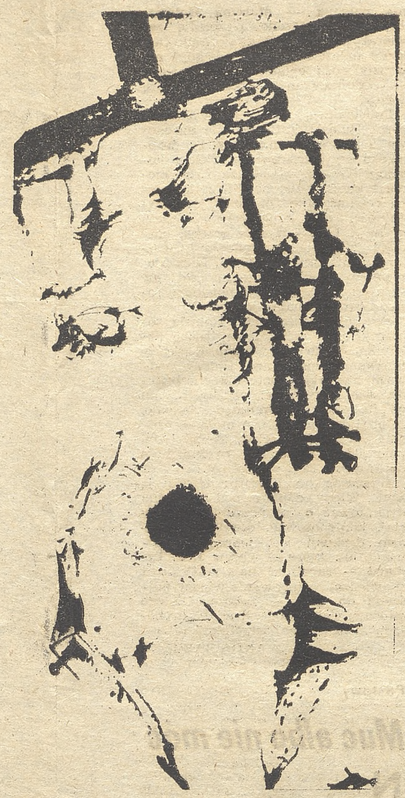
Szczęśliwie się stało, że myślenie o sztuce obu twórców — reżysera i scenografa, zetknęło się w tym spektaklu tak precyzyjnie. Alegoryczne misterium Calderona, dość nieoczekiwanie dopełnione tekstami ks. J. Baki, jest nie tylko dramatem wyborów, ale przede wszystkim refleksją o upadku i odkupieniu natury ludzkiej. Tą samą, która towarzyszyła T. Brzozowskiemu w jego malarstwie i rysunkach, gdyż — jak sam wyznał — *„jeśli już mówię o kalectwie ludzkim, o kalekiej duszy czy psychice, to mówię także i o tym, że to kalectwo można pokonać"*.

W „wieczorze z Tadeuszem Brzozowskim" nie mogło więc zabraknąć i tego znakomitego spektaklu, i filmów („Interpretacje", reż. Jarosław Brzozowski, „Brzuch" reż. Andrzej Papuziński) poświęconych artyście, i wreszcie — długo w noc ciągnącej się rozmowy o życiu i twórczości malarza.

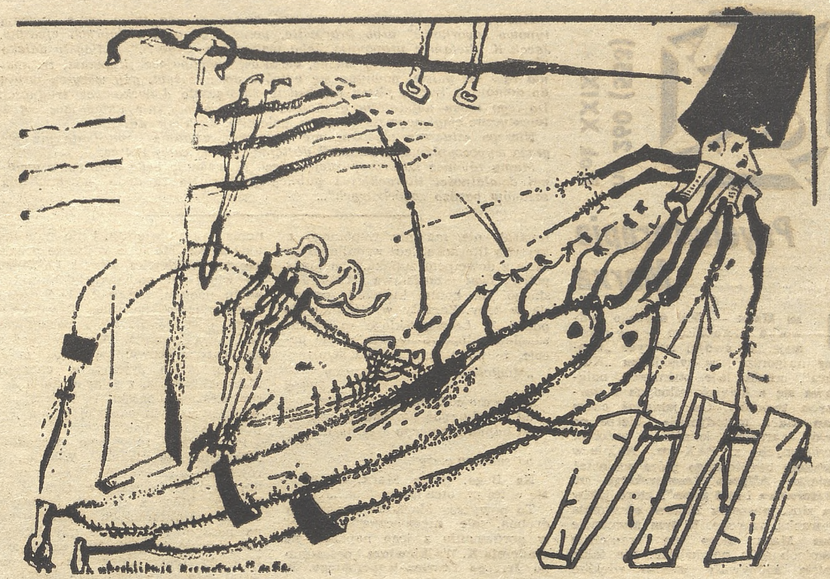
Osobowość Tadeusza Brzozowskiego zmusza jego przyjaciół do niezdawkowej pamięci; niestety, nawet najserdeczniejszy wernisaż jest „chwilką tylko". Dla innych, na szczęście, zostają rysunki i obrazy, które prowokują do czujnej uwagi i zastanowienia. Tak mieszczą, jak życzył sobie tego sam twórca: *„Nie kpcę na to — mówił — aby mój obraz został odebrany natychmiast, chciałbym bowiem, aby działał jak książka, a nie jak aforyzm"*.

**ANNA BILSKA**

Wystawa rysunków T. Brzozowskiego. Zakopane. Teatr im. St. I. Witkiewicza. Czerwiec-lipiec.



„Pątnik wtóry"



„Pochlipuje kocmołuch"



„Figurynki kwilą żałośliwie"



„W gondoli chłeptać nie trza"



„Egzercyrki kres"

STEFAN DRAJEWSKI, TEATR IM. WITKIEWICZA W ZAKOPANEM..., „KIERUNKI", NR 36, 06.09.1987, S. 14

# Teatr im. Witkiewicza w Zakopanem po dwóch latach

W czasie trwania 27 Kaliskich Spotkań Teatralnych w całym mieście można było usłyszeć młodzież skandującą głośno, na góralską nutę: „Zakopane, Zakopane..." Ba, gdyby magii tego dość nietypowego, jak na nasze warunki, teatru uległa tylko młodzież. Miniprzegląd autorskich przedstawień Andrzeja Dziuka — szefa artystycznego teatru — stał się obok przedstawienia Tadeusza Bradeckiego „Wiosna narodów", największym wydarzeniem majowego święta teatru nad Prosną. Teatr egzystujący na obrzeżach teatralnej mapy ma już swoją małą legendę.

Nie chcieli zgodzić się na normalne życie teatralne. Nie chcą być również teatralną komuną. Efektem wspólnej pracy zapaleńców z koła naukowego była najpierw premiera „Pragmatystów" w 1984 r. w Zakopanem. Tutaj więc, w tym bardzo witkacowskim mieście postanowili robić teatr. Od pierwszej premiery „Witkacy — Autoparodia" minęły dwa lata (24 luty 1985). W tym czasie teatr przedstawił dziesięć premier, czyli mniej więcej tyle — raczej więcej — co teatry profesjonalne. Mają własną salę teatralną (w Profilaktycznym Domu Zdrowia im. Tytusa Chałubińskiego), którą sami wyremontowali. Są zespołem, w którym nie ma podziału na pracowników wokół sceny i artystów. Miłe to, gdy jest się witanym prawie u przedproża przez aktora — członka zespołu. Formalnie, po wielu perypetiach, działają jako stowarzyszenie (sekcja zawodowa), przy Towarzystwie Miłośników Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Zakopanem. Mają za patronów i opiekunów takie nazwiska, jak pierwsza dama polskiego aktorstwa Helena Modrzejewska i bodaj najwybitniejszy polski dramaturg XX w. Stanisław Ignacy Witkiewicz. Młodym artystom chodzi nie tyle o odmienność formalną, ile o propozycję artystyczną.

Nie chcę w tym miejscu dokonywać obrachunku całego, w końcu nie tak małego, dorobku tego młodego teatru. Poprzestanę jedynie na impresjach, jakie wzbudziły we mnie trzy przedstawienia objerzane w sali Miejskiego Ośrodka Kultury i jednego odegranego po raz pierwszy w otwartej przestrzeni przed kaliskim ratuszem.

Jak na teatr im. Witkiewicza przystało, wizytówką zespołu jest spektakl witkacowski, ten prapremierowy w historii teatru: „Witkacy — Autoparodia. Niesmaczny góralsko-ceperski skecz. Zakopiańczykom prawdziwym (?) poświęcone". Spektak ten jest głównie ciekawą propozycją w warstwie teatralnej. Przedstawienie zbudowane w oparciu o teksty mało znane, i chyba nie najważniejsze, chwilami może nużyć. Pojawiają się i powtarzają wielokrotnie wątki, które Witkacy przekazał w o wiele ciekawszy sposób w innych utworach. Interesująco wypadają w tym spektaklu tradycje teatralne, a szczególnie witkacowskie, miasta Zakopanego i jego mieszkańców. Przedstawienie „Witkacy — Autoparodia" jest znakomitą zabawą z publicznością, chociaż nic na siłę. Dziuk bawi, ale nie unika stawiania pytań zasadniczych, jak choćby mity, jakie narosły wokół twórcy słynnej „szkoły portretowej". Jest to również wizytówka aktorskich możliwości zespołu, pełna jego prezentacja: od kabaretu po psychodramę, od skeczu do monologu lirycznego, od pantomimy i teatru ruchu do piosenki. Aktorzy z Zakopanego udowodnili w tym przedstawieniu, że jest możliwe połączenie doświadczeń i zdobyczy teatru off z tradycyjnie rozumianym teatrem i aktorstwem.

Nie ma festiwali bez skandalu (przepraszam za rym), w każdym razie rzadko zdarza się, by na występy renomowanych teatrów lub tych owianych nimbem tajemnicy mogli wszyscy wejść bez problemu. Nie wiem, ile kosztowały bilety u konika (a myślę, że były takie możliwości) na przedstawienie Starego Teatru z Krakowa czy łódzkiego Tetaru Nowego. Nie wszyscy jednak weszli na przedstawienie zakopiańczyków „Sic et non. Misterium" grane o północy.

Spektakl przewidziany jest dla dwudziestu widzów (coś chyba przesadnie kameralne przedstawienie). Kto miał wejść? Krytycy i jurorzy, zaproszeni goście festiwalowi (uczestnicy sesji dotyczącej sztuki aktorskiej), kilka osób z miejscowego teatru i limit miejsc przekroczony o trzydzieści osób. Miłośnicy Melpomeny, głównie słuchacze kaliskiego Studium Kulturalno-Oświatowego o nachyleniu teatralnym, obecni na festiwalu aktorzy i wielu innych chętnych musiało odejść. Wytrwali zostali aż do zakończenia spektaklu, by na gorąco wysłuchać refleksji.

Trudno odmówić Andrzejowi Dziukowi pomysłów, zarówno reżyserskich, jak i scenograficznych. Przy wtórze dzwoneczków widzowie są prowadzeni przez klasztornych posługaczy-obdartusów ciemnymi korytarzami do krypto-kaplicy spowitej dymem kadzideł. Kościelne ławeczki, stłoczeni w nadmiarze widzowie (nie obeszło się bez wpływu na jakość przedstawienia) stopniowo zaczęli ulegać aurze misterium, którego bohaterami byli Abelard i Heloiza, dwa wielkie symbole, znane wszystkim zakochanym. Pozostały po nich listy, pisane już w klasztorach, na podstawie których reżyser skonstruował to subtelne przedstawienie.

Rozpoczęła je scena bardzo delikatna, a zarazem kluczowa dla zrozumienia całego dramatu średniowiecznych kochanków. Sprzeciwiając się ówczesnym konwenansom, wywołali oburzenie rodziny. Ukarany pozbawieniem męskości Abelard skrywa się w klasztorze. Do życia kontemplacyjnego pociąga równie Heliozę. Ich krótkie szczęście *należy do epoki, kiedy uważano, że cechą miłości jest (...) zdolność przewyższania samej siebie, wykraczania nawet poza rozkosze, którymi uczucie się żywi, i dlatego pamięć o nich miała przetrwać wieki.* Ciekawym pomysłem inscenizacyjnym jest splecenie misterium ze śpiewanymi fragmentami Mszy (*q'capella* w przedstawieniu śpiewała Łucja Ficoń — rewelacyjna zwłaszcza w Angus Dei).

Misterium wg Rolanda Duncana jest przedstawieniem delikatnym nie tylko w materii tekstowej; więcej, kto wie czy nie bardziej misterna jest warstwa teatralna. Po znakomicie aktorsko rozegranej scenie uniesienia miłosnego przed zamknięciem w klasztorach obojga kochanków, następne sekwencje wzbudziły mój niedosyt. Sublimacja atmosfery, impulsy psychiczne nie zastąpią gry, nie zastąpią aktorstwa. Statyczność Krzysztofa Łakomika i momentami manieryczna mimika Doroty Ficoń osłabiały napięcie, które jest jądrem tego spektaklu, i na którym, jak mniemam, miało się zasadzać aktorstwo. Teatr jest sztuką integrującą różne dziedziny. W tym przedstawieniu zabrakło, a może zbyt mało było aktorstwa. W efekcie, nie wszystko, co niosą w sobie listy kochanków, zostało wygrane, a tym samym wyinterpretowane.

Inną, podwójną atrakcją było przedstawienie uliczne pt. „Wielki teatr świata" Petra Calderona de la Barci. Dlaczego podwójna atrakcja? Jest to prapremiera polska tego hiszpańskiego dramatu i jednocześnie pierwsze przedstawienie w otwartej przestrzeni nie tylko „Wielkiego teatru świata", ale w ogóle pierwszy bezpośredni kontakt aktorów z teatrem ulicznym.

„Wielki teatr świata" to rodzaj misterium zwanego *Auto Sacramental*. Grany był w okresie Bożego Ciała i miał charakter eucharystyczny. Zdaniem A. V. Paraz, *Wielki teatr świata „zamyka średniowieczną tradycję dramatu liturgicznego, uświetniając ją nowożytną koncepcją" „teatru w teatrze"*. Jak tytuł wskazuje, Calderonowski dramat należy rozpatrywać w czterech planach: *komedia o ludzkim życiu, człowiek aktorem, życie jest teatrem, a świat jest sceną. Każdy przychodzący na świat musi zagrać przeznaczoną dla niego rolę. Tym, który wyznacza te role, jest Bóg, w dramacie Autor. Bóg Calderona* — jak pisze Jarosław M. Rymkiewicz — *nie jest poza życiem: jest między ludźmi. A będąc między ludźmi, bawi się z nimi w teatr, czyli życie.* Przedstawienie to stwarza przed zespołem aktorskim szanse nowych doświadczeń, np. organizacja przestrzeni (mansjony inaczej jednak funkcjonują w sali). Szkoda, że ta bardzo piękna scenografia i kostiumy, zaprojektowane przez śp. Tadeusza Brzozowskiego, wielkiego przyjaciela artystów z Teatru Witkiewicza, nie do końca zostały przez reżysera wykorzystane. Gra na wolnej przestrzeni stawia pewne wymogi: operowanie głosem zapewniające zrozumienie, umiejętność organizowania przestrzeni scenicznej. Autor grany przez Andrzeja Dziuka w pewnym momencie stracił panowanie nad całością, co niestety zaważyło na artystycznej stronie przedstawienia. Sądzę jednak, iż dobrze się stało, że młodzi artyści wyszli z tym przedstawieniem na ulicę. Mając za sobą pierwsze kaliskie doświadczenie będą mogli skorygować nie tylko swoje umiejętności, ale przede wszystkim pewne fragmenty przereżyserować i zaadaptować do wymogów otwartej przestrzeni, która rządzi się w teatrze innymi prawami.

Spotaknie z teatrem im. Witkiewicza zakończył nocny (drugi w trakcie KST) seans dadaistyczno-surrealistyczny „Cabaret Voltaire" nawiązujący do podobnego przedsięwzięcia, które miało miejsce w zurykim kabarecie Voltaire'a w 1916 r. Wchodząc do sali kaliskiego MOK-u nie dowierzaliśmy własnym oczom. Zamieniona została na salkę kaberetową z okrągłymi stoliczkami nakrytymi estetycznymi serwetami, na każdym dzban z napojem nie wyskokowym, szklaneczki. Kelnerzy we frakach, witający gości teatru, zapraszają na spektakl. Wkrótce zaczęła się cała dadaistyczna heca, która, jak się mogło zdawać, dawno już zwietrzała. Nie, wcale nie. Reakcja publiczności potwierdziła to, do czego zaprosili gospodarze nocnego spotkania: *poddała się zupełnie pierwotnemu natchnieniu, nie kontrolowanemu przez świadomość człowieka dorosłego.*

Następnego dnia już zakopiańczyków nie było, ale dyskusje o ich propozycji teatralnej trwały do końca festiwalu. Młodzi artyści mają zapał i głowy pełne pomysłów. Przeglądając cały repertuar i analizując to, co widziałem przypuszczam, że interesują ich dwa kierunki działania: teatr misteryjny i teatr groteskowy, nazywając rzecz umownie. Interesujące są te wszystkie zabiegi wokół widza: witanie i żegnanie widzów-gości, miła atmosfera, nie spotykana gdzie indziej, organizacja przestrzeni scenicznej, a także i widownia. Zgoda, w skostniałym życiu polskiego teatru propozycja artystyczna i formalno-towarzyska Teatru im. Witkiewicza w Zakopanem jest bardzo atrakcyjna. Mam tylko jedno zastrzeżenie. Po obejrzeniu czterech bardzo różnych pod każdym względem przedstawień mam niedosyt aktorstwa. Rozmieniający się trochę na drobne aktorzy chyba za mało pracują nad swoim aktorskim warsztatem. Następną przeszkodą w realizowaniu koncepcji teatru repertuarowego są ograniczenia wiekowe aktorów. Jest to zespół młody i wyrównany. Nie ma gwiazd. Życzę teatrowi z Zakopanego, aby następne urodziny świętował w mniej napiętej atmosferze, jak to miało miejsce w tym roku, kiedy widniała groźba likwidacji.

Wydaje mi się, że w Zakopanem, mieście literackim, teatralnym, plastycznym, a dopiero potem turystycznym musi być miejsce na stały teatr. Oby to był ten, który dane mi było przez dwa dni oglądać poza jego siedzibą.

STEFAN DRAJEWSKI

W ŚWIECIE PLASTYKI

# Stój na wirchu

TATRY, Podhale, góralski, chłopski folklor Zakopanego i pobliskiego Poronina niejednokrotnie stanowiły przedmiot natchnień artystów. Zakopane, nim stało się „zimową stolicą Polski" (z jej dzisiejszym przerażającym folklorem wielkomiejskim), miało swoje lepsze dni. Jego odkrywca dr Tytus Chałubiński zaszczyt swego odkrycia dzieli niejako z paru pokoleniami artystów, literatów, muzyków, malarzy.

Idąc w Tatry nosiło się w tamtych latach tomiki wierszy Kasprowicza, Tetmajera, nieco później Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. W „Atmie" Karol Szymanowski, w willi na Koziencu „Pod Jedlami" rodzina Pawlikowskich, a na zakopiańskim deptaku spotykać się mogli byli Kornel Makuszyński, Sienkiewicz, Żeromski, Kasprowicz, Helena Modrzejewska, Witkiewiczowie ojciec i syn.

Gdyby ułożyć antologie utworów poświęconych Tatrom, Podhalu, Zakopanemu, dziwna byłaby to księga — wiersze Kasprowicza i Przerwy — Tetmajera, balet „Harnasie" Karola Szymanowskiego, obrazy wiejskich pastuszków Ślewińskiego, grafiki Skoczylasa, szokujące portrety Witkacego, surrealistyczne sny Hasiora.

W księdze takiej pomieściłby się z pewnością wszystkie kierunki i orientacje artystyczne od epoki Młodej Polski aż do dzisiaj.

Pomieścić by się w niej musiały wychowawcze teorie Witkiewicza-ojca: *przede wszystkim być absolutnie dobrym człowiekiem, a potem cokolwiek dobrego robić — malować cudowne obrazy czy rozwozić bułki po Zakopanem.* Ale równocześnie *stawiać sobie cele poza rogatkami życia. W koncepcjach umysłowych sięgać w nieskończoność, w pojęciach społecznych iść do ostatnich krańców wszechmiłości. Niech się ciebie nie czepiają żadne zacieśnienia kastowe, żadne uprzedzenia fachowe, żadne drobne egoizmy jednostkowe ani klasowe. Ustrój społeczny, na który powinno się godzić, powinien iść dalej niż marzenia socjalistów dzisiejszych. Stój ciągle na wirchu, z którego widać najdalsze horyzonty i szykuj skrzydła myśli i czynu do lotu poza nie.*

A więc czyn, przede wszystkim patriotyczny, lecz także pozytywistyczny, w ramach „pracy u podstaw" — czyn intelektualny na radykalnych oparty poglądach. Tak myślało całe pokolenie „zakopiańczyków" czasów Witkiewicza-ojca.

Młody Witkacy i artystyczne pokolenie jego czasów, to już całkowicie odmienny rozdział tej antologii. *Sądzę także, że oprócz życia społecznego człowieka ma sobie do załatwienia wiele istotnych rzeczy i artysta, który nie ma zupełnie pretensji, aby jego sztuka wpływała w bezpośredni sposób na życie społeczne, może przez to samo, stworzy siebie jedynie jako artystę, stać się elementem posiadającym w ogólnym rachunku wartość społeczną. Uważam, że poza stosunkiem swoim do społeczeństwa człowiek ma siebie samego dla siebie samego, i o te najistotniejsze wartości powinno mu przede wszystkim chodzić.* Sformułowania Witkacego wydają mi się jak napisane dzisiaj, a porównanie ich ze sposobem myślenia Witkiewicza-ojca ukazuje chyba w sposób niezwykle dobitny pewien zasadniczy przełom w rozumieniu funkcji artysty i sztuki.

Góralski, chłopski folklor Zakopanego czy Poronina, który inspirował malarstwo Władysława Ślewińskiego i rysunki Stanisława Wyspiańskiego, drzeworyty Skoczylasa, wiersze Kasprowicza i Tetmajera, kreacje sceniczne i teatralne — całkowicie należy do przeszłości. Zastąpił go specyficzny folklor zbiorowych wycieczek, autokarowego wódolejstwa i państwowej gastronomii. Niewiele jest dzisiaj tych, którzy idąc w góry zabierają do plecaka tomik wierszy.

Z dzisiejszej wakacyjnej perspektywy owe dawne fascynacje artystyczne odkrywające Tatry i Zakopane nie posłużyły ani Tatrom, ani Zakopanemu. Ale też chyba tylko w sztukach Witkacego można by odnaleźć wyobrażenie, owych kolejnych sobiepanków, różnych ojczymów miejskich i zarządców Tatr, których wieloletnie wysiłki doprowadziły do obecnego stanu. Indywidualne pięknoduchy pragnące iść w góry, to dzisiaj w Zakopanem taki sam anachronizm jak wszystko, co tutaj wypisano na początku. Indywidualny turysta to zmora, która nie wiadomo po co chce się pętać po górach i o wszystko ma pretensje. To on zadeptuje Tatry, to dla niego ustawia się setki zakazów, zamyka szlaki, zabrania wjazdu tam, gdzie codziennie wjeżdżają dziesiątki autokarów z wesołymi wycieczkami.

Autokratyczni zarządcy gór przegrywając z przemysłem, bezsilni (i zobojętniali) wobec kolejnych decyzji gminno-miejskich sobiepanków, które zagroziły całemu tatrzańskiemu środowisku, znaleźli głównego winowajcę zniszczeń w tych, którzy chcieliby jeszcze dzisiaj chodzić w góry z plecakiem. Kiedyś przepędzono z tatrzańskich hal bacowy i owce góralskie — było trochę sporów, dzisiaj niektórzy naukowcy uważają, że było to całkowitym absurdem, rzecz pozostała jak była. Przyszła natomiast pora na ludzi, należy ich wyrugować z Tatr. Przemysł, brak oczyszczalni ścieków miejskich i to wszystko, co zagraża Tatrom naprawdę zrobi z czasem swoje. Po co mają to widzieć obce oczy, po co ma się o tym mówić i pisać. Walka idzie o dobrą sprawę — o zachowanie Tatr dla nas bez nas. Jak we wszystkim. I cóż powiedziałby Witkiewicz-ojciec, „stój ciągle na wirchu?

ADAM RADAJEWSKI

Biblioteka Główna PWSSP w Łodzi

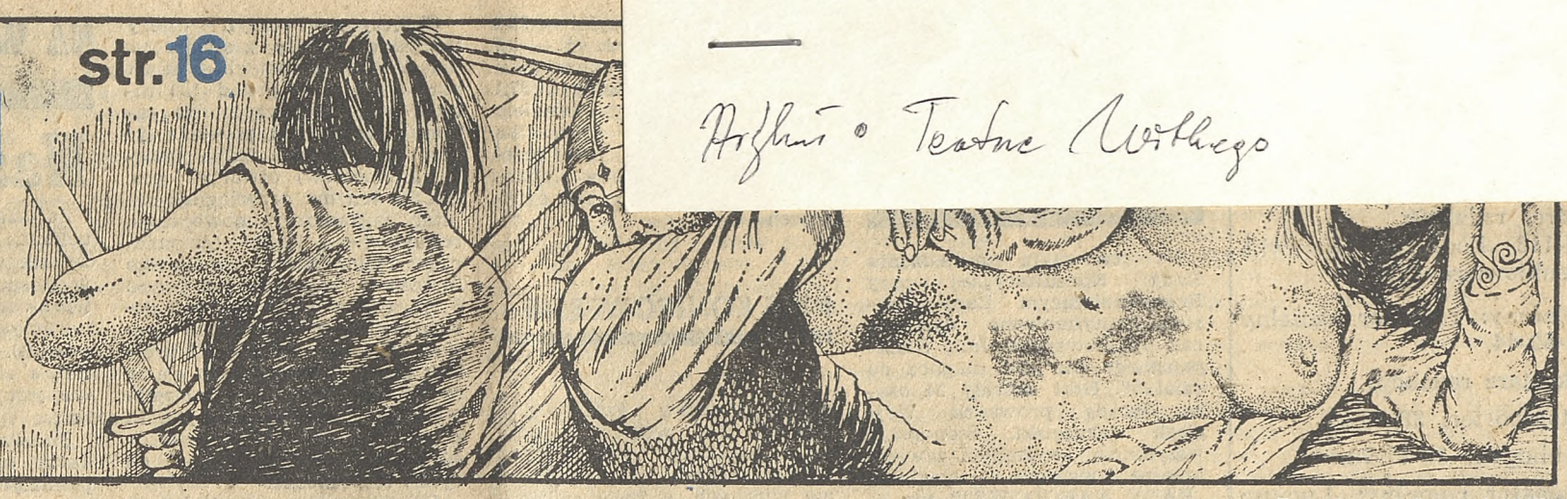
Marek Koprowski, Fenomen pod Giewontem, „Odgłosy" 1987 nr 41 s. 1, 7.

Archiwum Teatru Nowego

ZBIGNIEW NIENACKI

# Dagome iudex

str. 16



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 41 (1541) ROK XXX 10 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ


- Jak pogodzić małe z dużymi? — str. 3
- W co wierzą protestanci? — str. 4
- „Dzieci Arbatu" — str. 10
- Kobiety z emocji traciły świadomość — str. 12
- Miłość od pierwszego wejrzenia — str. 15


Tylko władze Zakopanego nie wierzą w sukces i czekają na porażkę

# Fenomen pod Giewontem

MAREK KOPROWSKI

Zakopiański Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza rozpoczął trzeci zaledwie sezon artystyczny, a już trudno wyobrazić sobie Podhale bez tej instytucji. Wypełniona została dotkliwa dziura kulturalna w byłym kurorcie, zaludniana od czasu do czasu wędrującymi po Polsce artystami estradowymi, którzy uważają, że człowiek na urlopie myśleć nie musi i potrzebuje rozrywki jak najgłupszej.

Teatr zakopiański, z propozycjami artystycznymi wysokiego lotu, traktuje widza poważnie i z szacunkiem. Efektem są nadkomplety na widowni, tłumy przed teatrem, sprzedane bilety na wiele przedstawień do przodu. Często sporo osób musi odejść z niczym, mimo iż zasadą teatru jest zapewnienie miejsca wszystkim chętnym. Pojemność widowni nie jest jednak nieograniczona. Ten oczywisty sukces jest udziałem grupy absolwentów krakowskiej Szkoły Teatralnej, którzy przed dwoma laty zjechali do Zakopanego, z precyzyjnie przemyślanym pomysłem na teatr. To cechuje zespół i dzisiaj — i — myślę, wyróżnia spośród innych, nawet tych szacownych i pewnych siebie firm teatralnych: dokładne przygotowanie i przemyślenie każdego posunięcia (nie tylko artystycznego) dotyczącego teatru.

Słyszałem niedawno od człowieka głęboko tkwiącego w branży, że

**przyczyną upadku teatrów polskich jest głupota i lenistwo aktorów, lekceważących swoją publiczność,**

a także to, że rytm premier zależy nie od wydolności i gotowości reżyserów, a od niewydolności i niesumienności krawców, szewców i innych pracowników technicznych.

— *Wszyscy o tym wiedzą, lecz nikt nie ma odwagi powiedzieć głośno, że tak jest* — nie wymienię nazwiska autora tych słów, by nie przyczynić się do rozszarpania go przez szczególnie zadufanych w sobie aktorów scen polskich.

W Teatrze im Stanisława Ignacego Witkiewicza ten problem nie występuje. Niewielki zespół liczy 18 osób (w tym 9 aktorów i tylko 2 pracowników technicznych), większość wszystkich prac wykonuje wspólnie. Aktorzy pomagają przygotowywać scenę i widownię i robią to prawie codziennie, bowiem każde przedstawienie dzieje się w innej przestrzeni scenicznej, w innej sali, w innym ustawieniu miejsc dla publiczności. Gdy aktor nie gra i „ma wolne", staje przy wejściu i wpuszcza publiczność, informuje, pełni dyżur w foyer. Po zakończeniu spektaklu kto chce zostać — zostaje i przy ogromnym stole z marmurowym blatem toczą się rozmowy o teatrze, sztuce i życiu do późnych godzin nocnych lub wczesnych rannych. Wtedy członkowie zespołu parzą herbatę dla gości, odpowiadają na ich pytania, włączają się do dyskusji, po prostu są świetnymi gospodarzami. Udział w takich posiadach wziąć może każdy widz, nie tylko *„krewni i znajomi królika"*, nie tworzy się więc zamknięta kasta herbaciarzy, teatr jest otwarty dla wszystkich i to dosłownie.

Prym wiedzie oczywiście Andrzej Dziuk, kierownik artystyczny Teatru, człowiek niezmordowany, bo pasją jego życia jest teatr, a teatr jego życiem. Przychodzi pierwszy, wychodzi ostatni, gdy świt tuż za horyzontem. A potem dzień jego (i zespołu) pracy wygląda mniej więcej tak: przed południem próba, po południu przygotowanie do wieczornego spektaklu, spektakl (w kilku Andrzej Dziuk występuje, choć, jak sam mówi, nie jest aktorem), po spektaklu znów próba, a potem rozmowy, rozmowy...

Często bierze w nich udział Julia Wernio — reżyser Teatru (jej dziełem jest m.in. znakomita „Historia" Witolda Gombrowicza), dziewczyna piękna, inteligentna, o urodzie egipskiej kapłanki. Dyskusje o sztuce, teatrze, roli artysty (odwieczne dylematy twórców) są poważne i niezwykle kulturalne, choć gorące. Nawet gdy głos wibruje z emocji, a napięcie powoduje drżenie strun, nie zostają przekroczone bariery taktu i dobrego smaku. Nie znaczy to, że unika się ostrych sformułowań i nie dochodzi do spięć i starć. I owszem, bardzo często. Wszystko jednak w granicach kultury słowa.

Cechą całego zespołu jest coraz rzadziej spotykana — niestety — kultura bycia i niezwykły takt. Dawno nie udało mi się spotkać grupy młodych przecież ludzi o tak wielkiej kulturze osobistej i, co może ważniejsze, o tak dobrym opanowaniu niełatwej przecież sztuki konwersacji, co w przypadku ludzi młodych jest czymś zupełnie niezwykłym. Jeden z uczestników nocnych rozmów powiedział: — *„jest to jedno z niewielu miejsc, gdzie chce się rozmawiać poważnie"*. Święta prawda. A nad wszystkim unosi się duch osobowości Andrzeja Dziuka. Brzmi to może patetycznie, ale co zrobić, gdy widoczne jest to i odczuwalne aż nadto wyraźnie.

**Od początku istnienia nikt zespołu nie opuścił.**

To też ma swoją wymowę. Teatr otrzymuje coraz więcej ofert od ludzi chcących z nim pracować lub współpracować. A niełatwo zostać członkiem tego zespołu, gdyż sam talent aktorski nie wystarcza. Trzeba posiadać jeszcze kilka innych cech wyróżniających ludzi z Teatru im. St.I. Witkiewicza, a także myśleć o teatrze i rozumieć go podobnie jak oni. O wszystkim decyduje Andrzej Dziuk, o którym mówi się, iż wszystko, co robi ma przemyślane do najdrobniejszego szczegółu oraz to że każdy swój zamysł potrafi konsekwentnie i uparcie realizować. Życie potwierdza prawdziwość tych opinii.

W czasie pobytu w Zakopanem obejrzałem trzy przedstawienia Teatru. Przez trzy dni z rzędu, codziennie inny spektakl. Dni tygodnia mają duże

7

# Moja szkoła

PAWEŁ TOMASZEWSKI

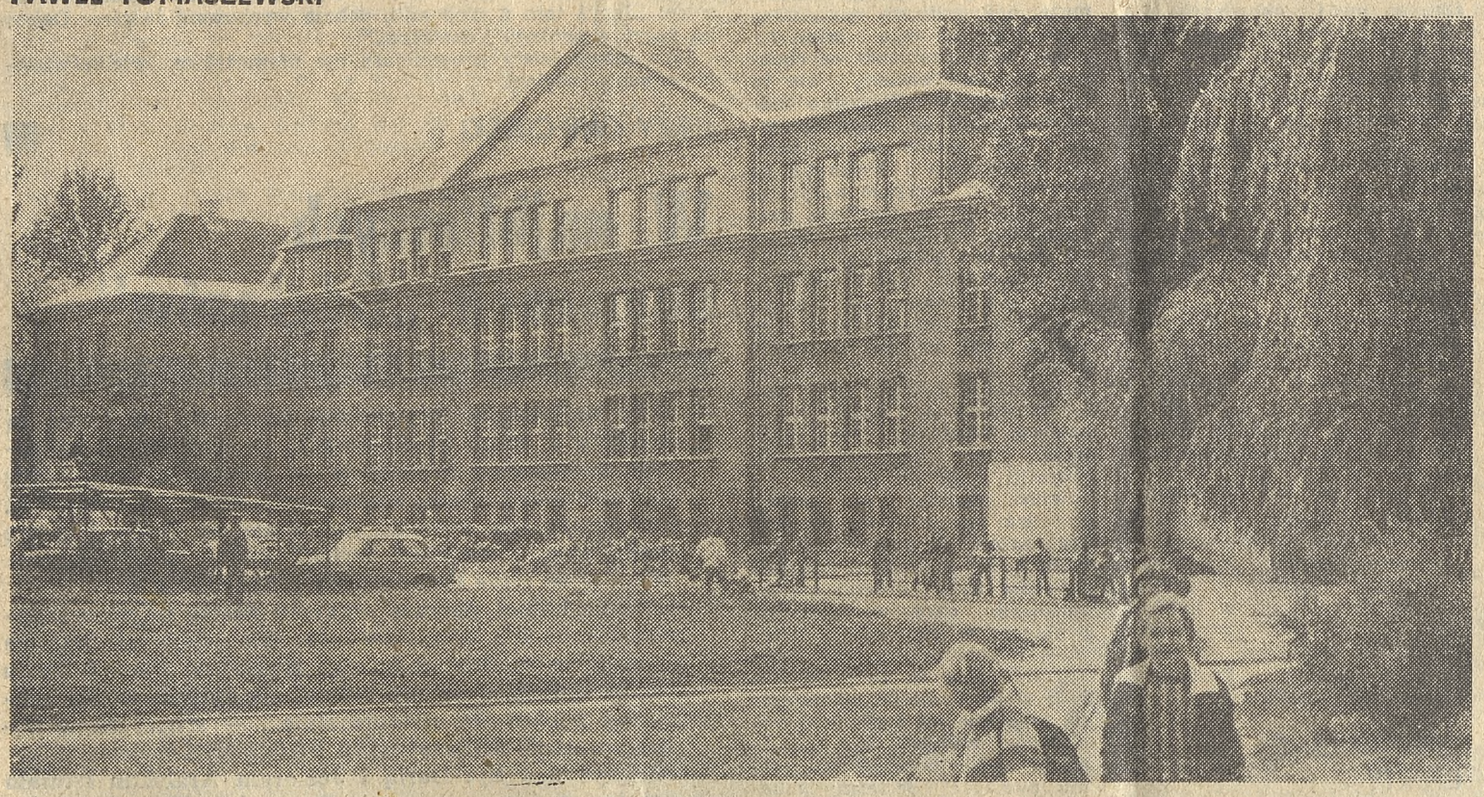


Foto: Grzegorz Gałasiński

Stoi w samym środku osiedla Nowe Rokicie. Adres: ulica Przyszkole 42. Łatwy adres, ale i bez niego trudno Czterdziestej Drugiej nie spostrzec od razu. Osiedle jest stosunkowo młode i niewielkie, ona zaś — leciwa już i duża. Swą potężną bryłą ze spadzistymi dachami rozbija monotonię pudełkowego krajobrazu. Ma też w sobie coś, powiedziałbym, staroświecko dostojnego — jak przedwojenna matrona w kapeluszu na pożółkłej fotografii.

Moja szkoła...

Opuściłem jej progi dwadzieścia lat temu. Kawał czasu. Są jednak chwile, kiedy wydaje mi się, że było to zaledwie wczoraj. Czuję nawet jeszcze tak charakterystyczny zapach pasty do podłogi, widzę naszą klasę, słyszę budzące niezmiennie lęk słowa: do tablicy!

Takie wspomnienia pozostają na zawsze. Ważne wspomnienia, bo szkoła, to przecież początek naszego dorosłego życia. Można odnaleźć w nich odpowiedzi na wiele pytań, jakie sobie zadajemy.

Przechodząc obok mojej szkoły, nieraz miałem ochotę, by nacisnąć klamkę i zajrzeć do środka, zobaczyć co się tam przez te dwadzieścia lat zmieniło, choć na moment usiąść w drugiej ławce w środkowym rzędzie i... Zawsze rezygnowałem tuż przed drzwiami. Dlaczego? Może bałem się, że i teraz ktoś wywoła mnie niespodziewanie do tablicy? Może — groźnej miny woźnego, który zapyta: a pan tu czego? A może tych spodziewanych i niespodziewanych zmian? Sam nie wiem. Ale pokusa była tak silna, że w końcu jednak musiałem jej ulec.

## 2.

Szkoła Podstawowa nr 42 jest najstarszą w dzielnicy Łódź-Górna. Powstała w sierpniu 1914 roku jako Polska Szkoła Miejska nr 42 i początkowo mieściła się przy ulicy Wiznera 25. W dwa lata później przeniesiono ją do budynku przy Szosie Pabianickiej 8, a w 1918 roku — do innego, większego przy tejże samej ulicy. Zajmowała tam 9 sal lekcyjnych, 2 kancelarie, 2 szatnie i salę gimnastyczną. Zatrudniała 12 nauczycieli, którzy uczyli ponad 800 uczniów w 18 klasach. Zajęcia odbywały się na dwie zmiany, od 8 do 18.

W czerwcu 1924 roku rozpoczęła się budowa nowego gmachu szkolnego według projektu **Wacława Kowalewskiego**, który objął też kierownictwo nad całością prac

6

# Fenomen pod Giewontem

człowiekiem co zechce, ku przestrodze i pouczeniu widza. Niby wiemy o tym wszystkim, lecz pamięć ludzka jest krótka i zawodna, przypominać więc należy od czasu do czasu elementarne prawdy o nas samych, by zmusić do krótkich choćby (lecz jednak) porozmyślań nad życiem, jego sensem, wartościami, itd. Jednym z wielu zadań sztuki jest przecież zmuszenie do myślenia, co podobno uszlachetnia i upiększa wnętrze człowieka. Przedstawienie reklamowane jest tak: *„Komedia o ludzkim życiu! Człowiek aktorem? Życie teatrem??? Musisz to przeżyć!!!"*, a fragment tekstu ks. Józefa Tischnera pt. „Szkoła człowieczeństwa" zamieszczonego w programie, mówi właściwie wszystko:

*„...Świat jest czymś niezwykłym, wielkim, tajemniczym, może nawet, jak potem powie Schelling, jest on »poezją nieuświadomioną« — ale jest to tylko scena, scena ludzkiego dramatu. Natomiast człowiek jest aktorem, a więc artystą swego losu i swej osobowości — jest twórcą. Bóg posyła ludzi na świat, aby dali popis swoich możliwości. Jakaż sztuka najbardziej powołana jest do tego, by opowiadać o prawdzie człowieka, jeśli nie sztuka teatru? Muzyka, malarstwo, rzeźba — wszystko powinno znaleźć się na scenie, gdzie jest ich miejsce. Wszyscy jesteśmy aktorami Na naszą grę kieruje się spojrzenie Wielkiego Autora. Role są wyznaczone. Czas i miejsce także. Gramy lepiej lub gorzej i na tym polega nasza wolność. Nasza wolność jest wolnością wcieloną, sytuacyjną, konkretną. Nie oznacza to jednak zniewolenia. Wybór dobra lub zła jest wciąż w naszym zasięgu".*

Przedstawienie odbywa się w największej sali, publiczność stoi, ławki przeznaczone są dla osób starszych. Widzowie również są reżyserowani, aktorzy pomocniczy nakazują zmiany miejsc, akcja przenosi się w tę część gdzieśmy przed chwilą stali lub siedzieli. Przedstawienie jest dynamiczne, prowadzone w dużym tempie, aktorzy na podłodze między stolikami, stoją pod ścianami, tak jest ponoć zawsze. Aktorów tego teatru wielka frekwencja już przestała dziwić, sprawiać im to musi natomiast ogromną przyjemność.

Rozpoznaję twarze tych, którzy byli poprzedniego dnia w Teatrze (będą oni również nazajutrz), a wśród nich młodą dziewczynę w inwalidzkim wózku, wpatrzoną jak zaczarowana w akcję sceniczną. Zabawa jest przednia, pomysły kapitalne, tempo znakomite. Nie jest to jednak, wbrew pozorom, zabawa prosta i łatwa. Trzeba porządnie wysilić wyobraźnię i rozum, by wyczuć pod- i nadteksty, rozpoznać pastisze np. z Becketta i Ionesco, wychwycić odniesienia, aluzje — przede wszystkim artystyczne, mniej — polityczne. Bo jest to kabaret artystyczny. Publiczność reaguje żywo, czasem wręcz żywiołowo, w lot odczytuje cienką kreską malowane znaczenia, absurdy, szyderstwa — słowem — wystawia sobie jak najlepszą cenzurę. Trójka aktorów dopasowała się do ogólnego poziomu (a może odwrotnie?) dając popis kunsztu scenicznego. Balansują na krawędzi kiczu (jest to zamierzone), nigdy jednak nie przechodzą w obszary jego królestwa. Znawcy twierdzą, iż prawdziwa sztuka zawsze mieszka przez ścianę z kiczem. Bardzo dobry był Andrzej Jesionek, ale i Dorota Ficoń, a także Lech Wołczyk świetnie czują się w takiej konwencji, ujawniają dużą vis comica, sprawność ruchową i świetne wyczucie niełatwego przecież tekstu. Reżyser, scenarzysta i autor scenografii, Andrzej Dziuk, włączył w widowisko teksty m.in. Tristana Tzary („Serce na gaz"), Georga Riesemont-Dessaignesa („Niemy kanarek"), wiersze Paula Eluarda oraz fragment „Pożądania schwytanego za ogon" Pabla Picassa. Muzykę skomponował Jerzy Chruściński, kierownik muzyczny Teatru im. St.I. Witkiewicza.

Niedziela jest dniem ciszy, modlitwy i nieokreślonej tęsknoty. Tego dnia oglądamy tym razem dramatycznych (Dorota Ficoń, Krzysztof Łakomik i Lech Wołczyk), zaimponował mi ten ostatni, który przez cały czas trwania spektaklu, nie biorąc zbyt często udziału bezpośredniego w akcji scenicznej, siedział na podłodze z nienaturalnym grymasem jakby sparaliżowanej twarzy i wytrzeszczonym jednym okiem — i ani na chwilę nie wypadł z roli. Dzieje dwojga tragicznych kochanków, srodze potraktowanych przez los, a raczej wymogi religii, ogląda się w skupieniu i w skupieniu wychodzi z teatru. Aby przedłużyć nastrój, przy wyjściu ustawiają się pątnicy z blaszanymi żebraczymi puszkami, zbierając datki. Żegna nas dźwięk dzwonków kościelnych.

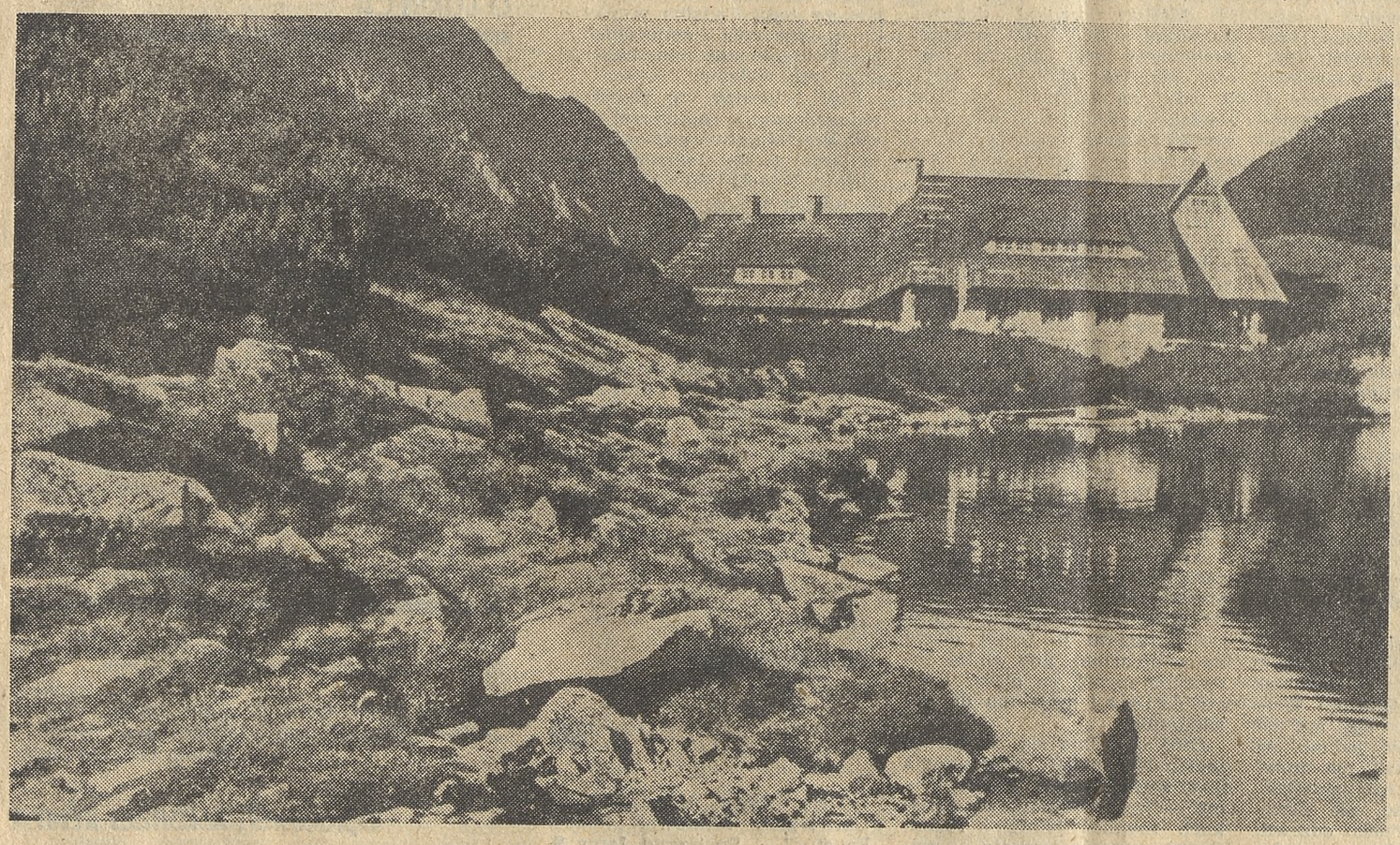
Wszystkie omawiane przedstawienia poruszają (każde z innego powodu i na inny sposób) widownię. Po wyjściu na ulicę słychać rozmowy o tym, co działo się na scenie i poza nią, szczególna atmosfera Teatru otacza nas bowiem od samego wejścia do gmachu gigantycznej willi zakopiańskiej, gdzie na parterze usytuował się opisywany przybytek sztuki. W którym teatrze można napić się przed przedstawieniem (po również) gratisowej herbaty i pogawędzić choć przez chwilę z kierownikiem artystycznym lub aktorem, nie znając go wcześniej? Dlatego po wyjściu z teatru miejskiego (jakiegokolwiek) słychać najczęściej rozmowy o pieniądzach, trudnościach, kolejkach lub innych sprawach codziennych, rzadko bowiem teatr działa na widza w sposób tak magiczny jak ten zakopiański, im. Witkiewicza.

Teatralnym autorem trzech opisywanych spektakli jest Andrzej Dziuk. Tak różne teksty, konwencje i inscenizacje umiał zabarwić swoją osobowością i oryginalnością. Dowiódł, że jest niezwykle zdolnym artystą, przy sprawdzonych już wcześniej talentach organizacyjnych i dyplomatycznych. Pokazał swoje wielkie możliwości, a także możliwości zespołu, którym kieruje. Udowodnił, że faktem: tłumy publiczności, pochlebne artykuły i recenzje we wszystkich chyba polskich tygodnikach i nie tylko, nagroda I stopnia im. Stanisława Wyspiańskiego dla zespołu. Teatr został zauważony w Polsce, przybywa dosłownie z dnia na dzień przyjaciół, sympatyków, czy wręcz entuzjastów. Wokół Teatru zaczyna tworzyć się ruch intelektualny (w znaczeniu ruchu myśli), odbudowujący powoli tradycję Zakopanego jako artystycznej stolicy Polski. I nie ma w tym, co piszę, żadnej przesady. Trzeba pojechać pod Giewont i przekonać się o tym samemu. Nie sądzę, by ktokolwiek żałował takiej decyzji. Urodziło się i trwa pewne zjawisko, już silnie oddziałujące na pokolenie młodej inteligencji. I to nie w Warszawie, Krakowie czy innym wielkim ośrodku miejskim, tylko na tak często pogardzanej przez „wielkich" — prowincji. Dziwny tylko i smutny jest fakt, że tam, na miejscu, lokalne władze w dalszym ciągu nie wierzą w sukces Teatru i czekają na jego porażkę, której są absolutnie pewni. Teatr? W Zakopanem? To się nie może udać! Jednak się udało. Oby tylko urzędnicy od kultury nie zechcieli pomóc swym czarnym oczekiwaniom i udowodnić, że nigdy się nie mylą. Znamy i takie przypadki.

Pora jednak przedstawić pozostałych twórców wspaniałego zakopiańskiego Teatru. Są to (poza wymienionymi wcześniej): aktorzy: Karina Krzywicka, Marta Szmigielska, Piotr Dąbrowski, Krzysztof Najbor, Piotr Sambor, plastyk Elżbieta Wernio, sekretariat prowadzi Brygida Jesionek, dział literacki jest w rękach Iwony Romanówny, kierownik techniczny, to Beata Wodecka i dwaj pracownicy techniczni: Maciej Bielawski i Stanisław Ziemianek. Stale z Teatrem współpracują: Ewa Dyakowska-Berbeka i Jadwiga Król. Ten mały zespół ma w tej chwili w repertuarze dziewięć przedstawień!

Przyjaciele, robicie wielką rzecz!

MAREK KOPROWSKI



*Schronisko w Dolinie Pięciu Stawów*

**— Jest pan aktorem i piosenkarzem, ale coraz rzadziej słyszę pana śpiewającego na estradzie. Co się stało?**

— Stała się rzecz następująca: jestem aktorem teatru „Syrena" od czterech sezonów i mam przeróżne zajęcia typu zawodowego właśnie na Litewskiej 3, gdzie mieści się „Syrena". Obliguje mnie to tak bardzo, że coraz mniej mam czasu, by „indywidualnie krępować publiczność moją skromną osobą". Co prawda jeżdżę na spotkania, które są bardzo kameralne i, muszę powiedzieć bez cienia megalomanii, że to co robię, ludziom się podoba.

**— Pamiętam pana z piosenek — szlagierów, że przypomnę „Charlestona" czy „Bogdan, Bogdan, trzymaj się!". Jeździł pan niegdyś po kraju z programem „Popierajmy się", był pan na ustach wszystkich, a teraz jest pana jakby mniej...**

— Powiem panu otwarcie: człowiek osiągnął już pewien wiek, zarówno zawodowy, jak i biologiczny.

**— Czyżby fotel, ciepłe pantofle i miła żonka?**

— Szukam nie wygody, broń Boże, ale stabilności w wyrażaniu czegoś, w czym mógłbym się określić precyzyjnie. Mnie już w tej chwili nie za bardzo wypada ryzykować. A pierwszy okres, o którym był pan uprzejmy wspomnieć, był bardziej emocjonalny, nieskonkretyzowany...

**— Do wieku patriarchalnego jeszcze panu daleko...**

— W moim przypadku jest to sprawa administracji swoim czasem oraz to, że już najwyższy czas, kiedy powinienem się określić jako postać na estradzie. Ostatnie moje piosenki, które jakoś długo pozostawały w obiegu, to był „Entliczek — pentliczek" i „Ananasy", które mnie prześladują.

**— Pański sposób bycia na estradzie sugeruje, że jest pan typem bon vivant'a i po trosze Casanovą...**

— Na szczęście nie jestem w tym odosobniony.

**— To nie jest odpowiedź.**

— Dobrze, powiem to inaczej. Otóż wydaje mi się, że aktor żyjący współcześnie musi być człowiekiem otwartym, tzn. doceniać to, co wokół się dzieje. Jeśli zaś chodzi o mnie, jako mężczyznę, to przecież coś we mnie musi być, skoro czwarta kobieta wychodzi za mnie za mąż. To jest stan na dzień dzisiejszy.

**— A czy jest pan koneserem piękna?**

— Ostatnio byłem jurorem konkursu „Miss Polonia", a więc widać ludzie mają do mnie w tej dziedzinie zaufanie.

**— O tym konkursie słyszałem różne opinie, nie zawsze pochlebne.**

— Podczas tego typu konkursów, gdy odbywa się głosowanie, jurorów zamyka się w osobnym pomieszczeniu. Być może niektórym to nie odpowiadało w sensie entourage, ale Opera Leśna to przecież nie Hilton. Zapewniam jednak, że oddaliśmy swoje głosy zgodnie z regulaminem.

**— Jaki był pański typ?**

— Mój typ był zupełnie inny, jednak głosy pozostałych przeważyły. Myśmy z Markiem Piwowskim i dyrektorem Pietkiewiczem mieli ten sam typ. Dobrze się złożyło, że pan reprezentuje prasę łódzką, bo chcę powiedzieć, iż moim typem była łodzianka nr 12, której twarz została uwieczniona jako symbol Matki Polki. Jest to bardzo piękna kobieta.

**— Dobrze, potraktujmy pańską skłonność ku płci pięknej jako rzecz naturalną, jako wrodzoną cechę charakteru. Wobec tego, czym się pan pasjonuje?**

— Moje hobby nie jest tyle nudne, co oryginalne i nie za bardzo pasuje do mojej sylwetki. Otóż zbieram z całego świata pocztówki z widokiem zachodzącego słońca.

**— Istotnie oryginalne zainteresowanie. Ile pan tego ma?**

— Po pewnej selekcji moja kolekcja liczy 627 kart. Mam do tego specjalne albumy, klasery...

**— W jaki sposób je pan zdobywa?**

— Od przyjaciół, przeważnie dziennikarzy jeżdżących po świecie. Mam nawet z Nowej Zelandii.

**— Inne pańskie zainteresowania?**

— Jestem zapalonym kibicem piłki nożnej i to na tyle, że mój czternastoletni syn Adam jest w tej chwili w kadrze juniorów „Legii" i przebywa aktualnie we Włoszech.

**— Więc jest pan kibicem „Legii", której ja z kolei nie lubię, bo moimi ukochanymi drużynami są „Górnik" Zabrze oraz „Widzew".**

— Jestem kibicem „Legii", bo nie mam większego wyboru. W Warszawie mamy tylko tę drużynę w pierwszej lidze. Sercem byłem z „Motorem" Lublin, ale jakoś im się nie udało w minionym sezonie i pożegnali się z ekstraklasą.

**— Co jeszcze można byłoby powiedzieć o Bogdanie Łazuce, czego inne gazety dotąd nie napisały?**

— Niezbyt skomplikowany, nieoryginalny w pojęciach, przystosowany do rzeczywistości, sentymentalny, jeśli chodzi o rodzinę...

**— A jakim jest pan kierowcą?**

— Ostrożnym. W ciągu 20 lat nie miałem jeszcze wypadku.

**— Lubi pan pitrasić?**

— Od tego jest moja wspaniała żona. Natomiast chętnie robię zakupy, a to dlatego, że mogę kupić to, co sam lubię.

**— Jeśli dobrze zrozumiałem, to pańska żona przyrządza znakomite zakąski, a pan zajmuje się alkoholami...**

— Trzy i pół roku temu alkohol wykreśliłem ze swojego jadłospisu.

**— Jak pan to znosi, tylko szczerze!**

— Szczerze: lepiej się czuję, ale nudniej.

**— Co jeszcze pan uwielbia na tym pięknym świecie?**

— Zawodowo: kiedy jestem po jakiejś premierze, a prywatnie: kiedy moja żona nie wynajduje mi żadnych zajęć.

**— Gdzie pan wypoczywa?**

— W Kazimierzu nad Wisłą. Tam się nie nudzę. Jestem jak Japończyk: wyjeżdżam do Kazimierza na tydzień i wracam całkowicie wypoczęty.

**— W Kazimierzu pan oczywiście szaleje?**

— Tylko spaceruję nad Wisłą.

**— A jak przedstawiają się pańskie lektury? Co pan ostatnio czytał?**

— Czytam, a właściwie uczę się tekstu Tuwima pt. „Karol". Jest to tak zwane znalezisko, rzecz bardzo wprost i bardzo śmieszna, ale nieznana. Przygotowuję to na występy do RFN.

**— Życzę sukcesu i dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Jacek Sieradzki, Jednak można, „POLITYKA" nr 41, 10.10.1987, s. 8

TEATR

CHAPEAU BAS PRZED TEATREM IM. WITKIEWICZA W ZAKOPANEM

# JEDNAK MOŻNA

JACEK SIERADZKI

**TEN TEATR niemal od chwili swego powstania — a powstał dwa i pół roku temu: 10 lutego 1985 — nie mógł narzekać na zią prasę. Tygodniki, zwłaszcza młodzieżowe ze śp. „Radarem" prześcigały się w reportażach o zakopiańskich artystach, wstawiały się o poprawę ich bytu do władz miejskich, wojewódzkich, ministerialnych, pisały dużo i dobrze.**

O ile się nie mylę, w archiwum Teatru im. Witkiewicza nie ma ani jednej (!) nieprzychylnej recenzji. Ale Bogiem a prawdą recenzji prawie w ogóle tam nie ma. W stosunkowo obfitym piśmiennictwie na temat tego teatru przedstawienia znalazły się na szarym końcu. Sprawozdawców znacznie bardziej interesował niezwykły status społeczny tej luźno zinstytucjowanej grupy, nie chronionej parasolem żadnego mecenasa, własnym ryzykiem i ciężką harówką dobijającej się swojej szansy tworzenia, swojego widza i jakiej takiej stabilizacji (wciąż nb. wątpliwej). Pisano o groszowych zarobkach, koczowniczych warunkach życia, pisano życzliwie i w najpoczciwszych intencjach, aliści obraz z tego rysował się oczom czytelników nieco skrzywiony. Zakopiańczycy wychodzili tu na garstkę niedojrzałych narwańców, których poniosły dziecinnie wygórowane ideały; jak im życie dokopie, prędko wrócą z ramki zetatyzowanej kultury.

**Najwyższa pora porzucić ten życzliwie-wyrozumiały ton i zacząć mówić o zakopiańskim teatrze tak, jak na to zasługuje: nie o marginalnej imprezie zbuntowanej młodzieży, lecz o bodaj najbardziej fascynującym zjawisku artystycznym,** jakie się od tej pory w teatrze lat osiemdziesiątych w Polsce narodziło. Sięgam po określenia grubego kalibru świadom kłopotów, jakie mnie czekają, gdy spróbuję Państwu te superlatywy uwierzytelnić. Rzecz w tym, iż tego teatru nie da się zamknąć w efektownej formule krytycznej, nie sposób powiedzieć hasłowo, na czym polega jego odrębność, oryginalność, nowatorstwo. Ba, trudno mówić w ogóle o nowatorstwie w przyjętym *„nowalijkowym"* sensie słowa: wszystko to, co robią Zakopiańczycy, kiedyś już było, niektóre ich założenia brzmią wręcz jak truizmy. Tyle, że nikt nigdy nie realizował ich z tak daleko idącą konsekwencją. Wartość teatru im. Witkiewicza polega nie na odkrywaniu nowych środków wyrazu czy nowych funkcji społecznych, lecz na spajaniu bardzo różnorodnych zasad i postulatów artystycznych w zachwycająco harmonijną, całościową wizję teatru. Tudzież na wcielaniu w życie tej wizji bez jakichkolwiek twórczych kompromisów.

Próbuję zinwentaryzować podstawowe cegiełki fundamentów zakopiańskiej antrepryzy. Pobieżnie, rzecz jasna, i wybiórczo.

**I. Widz musi być rozluźniony i mieć poczucie bezpieczeństwa.** A zatem stosunki z odbiorcami nie mogą mieć charakteru czysto merkantylnego (choć widz płaci za bilet i to dość słono, teatr o tym nie zapomina), ani współnotowego czy współwyznawczego, jak to bywało w grupach alternatywnych. W teatrze im. Witkiewicza od widza oczekuje się życzliwej otwartości i wzajemnie: maksimum otwartości i życzliwości jemu się ofiarowuje. Stąd słynne częstowanie herbatą przed spektaklami, darmowe i półprywatne; pisywano o tym w tonie: *„ujmujące dziwactwo"*, a to przecież integralna część programu artystycznego. Stąd obecność aktorów wśród publiczności przed i po spektaklu — witają, rozmawiają, pomagają. Stąd wymyślne wprowadzania widzów na salę, czasem żartobliwie celebrowane (w „Cabarecie Voltaire" stolik wskazuje szarmancki maître d'hôtel), czasem będące początkiem spektaklu: jeszcze na luzie, z dystansem i humorem, a już tworzące klimat i zaciekawienia (w „Doktorze Faustusie" bilety sprawdza okrutnie straszny diabeł). Stąd wiele jeszcze innych drobiazgów, sprawiających, że na czas spektaklu gość pozbywa się typowego w miejscach publicznych skrępowania, a nie nabiera głupawego tupetu, że wyzwalają się spontaniczne, nie kontrolowane reakcje, jak choćby w „Graczu", gdzie widownia w przerwie rzuca się do ruletki obejrzeć pod okiem krupiera-aktora, jak w to się gra. W tym teatrze nikt nie musi się bać wygłupienia się, ośmieszenia; nikt także nie odsiaduje spektakli z obowiązku.

**II. Nic nie usprawiedliwia nudy w teatrze.** Także wygórowane ambicje, bardzo szacowne teksty i wielka światowa klasyka — nie są to powody, by nudzić. Zakopiańczykom trudno byłoby zarzucić repertuarową łatwiznę, ale też lwia część wysiłku twórczego idzie na to, by skomplikowany zazwyczaj tekst, bez gubienia jego wartości przekuć w atrakcyjne widowisko. Do każdego spektaklu inaczej modeluje się przestrzeń, inny buduje się klimat. „Cabaret Voltaire" i „Dziurę", widowisko z tekstów Tuwima i Słonimskiego oglądamy od stolików, „Wielki teatr świata", misterium Calderona zaczyna się w wielkiej, pustej sali, do której na znak kreatora wjeżdżają mansjony z alegorycznymi postaciami; historycznie związany z tym gatunkiem teatralnym chwyt jest tu dla widza źródłem niespodzianki i napięcia. Na *„Sic et non"*, kolejne misterium, osnute wokół dziejów Heloizy i Abelarda wchodzimy długą procesją prowadzoną przez parę żebraków, do małej kaplicy: tu, w wyciętej światłem miniaturowej przestrzeni rozegra się ofiara miłości. Każde zatem teatralne zdarzenie budowane jest z całkiem nowych, odmiennych klocków inscenizacyjnych; nie ma rutynowych rozwiązań. Zakopiańscy artyści nie boją się też nagłych zmian nastroju: tanich sztuczek iluzyjnych w „Faustusie", balansowania na granicy łzawej ckliwości w „Graczu" — wiedzą, że ta uczuciowa perypetia doda tylko atrakcyjności widowisku; istotnych sensów nie zamaże.

**III. Teatr jest wspólną, inteligentną rozrywką.** Cokolwiek podszytą diabłem, jak wynika z „Doktora Faustusa" (nb. zabawne i znamienne: dwaj reżyserzy-rówieśnicy jednocześnie odkryli — Andrzej Dziuk w „Faustusie", Tadeusz Bradecki we „Wzorcu dowodów metafizycznych" — szatańską proweniencję sztuki teatru; konsekwencje wszelako wyciągnęli diametralnie odmienne). Wspólna zabawa, wspólny śmiech nie jest w tym bardzo ambitnym teatrze czymkolwiek wstydliwym, przeciwnie — jest wartością jednoczącą. Wszystkie spektakle świadomie konstruowane są wielowarstwowo; tak, aby dać widzom szansę odbioru na rozmaitych poziomach percepcji. W gruncie rzeczy są to przedstawienia dla każdego, niezadowolonych — sądząc po reakcji widowni — jest bardzo mało. „Autoparodia" zbudowana z wierszyków i scen dramatycznych Witkacego osadzona jest w nastroju inteligencko-artystowskiego Zakopanego, w atmosferze opisanej w „Zakopanoptikonie" Andrzeja Struga. Precyzyjnie i celnie pokazuje się tu, jak rozmaite Witkacowskie wątki i skojarzenia rodziły się z towarzysko-intelektualnych gier, parodii, prowokacji i błazenad, jak wypoczwarzały się w przedziwnej aurze pół-moderny, pół-góralszczyzny. Kończąca „Autoparodię" apostrofa do *„Zakopiańczyków prawdziwych"* jest aż nadto dobitnym wskazaniem tradycji, której Teatr im. Witkiewicza chciałby być wierny.

**IV. Rozmowę z widzem trzeba toczyć za pośrednictwem najlepszej literatury.** Niekoniecznie najporęczniejszej scenicznie (to już jest kłopot teatru, jak ją przyrządzić), ale takiej, w której zawiera się jasna, wyrazista i osobna wizja Świata. **W zakopiańskim teatrze grano dotychczas** Dostojewskiego („Gracz"), Marlowe'a („Dr. Faustus"), Calderona („Życie jest snem", „Wielki teatr świata"), Gombrowicza („Historia"), dadaistów („Cabaret Voltaire") Witkiewicza („Autoparodia"); wykorzystano poezję Johna Donne'a, Józefa Baki, Paula Eluarda. Dzieła, jak widać, z bardzo różnych parafii, ale przecież ważne, a przynajmniej w swej klasie gatunkowej uznane za wybitne. Zakopiańczycy posiedli umiejętność wspaniale klarownego opowiadania fabuły („Gracz"), błyskawicznego nauczania widzów nieoczywistej konwencji („Historia"). I nagle prysły niewzruszone, zdawałoby się, pewniki, że współczesny widz wzgardzi klasyką, że jest zbyt niedouczony, ogłupiały, powierzchowny, by *„kupić"* taki repertuar. Teatr zawierzył mocy spraw przez tę literaturę podnoszonych, zawierzył także czemuś, na czym rzesze teatralnych twórców łatwo położyły krzyżyk: inteligencji i wrażliwości swoich nieelitarnych widzów. I znowu wygrał.

**V. Przeżycie teatralne musi być oparte na wielkich namiętnościach.** W Teatrze im. Witkiewicza nie ma temperatury letniej, nieobecna jest też nagminna gdzie indziej, zimna, obojętna pseudoretoryka. Zakopiańscy aktorzy, wspaniale przygotowani profesjonalnie i nieludzko pracowici są w stanie błyskawicznie przechodzić z funkcji prywatnych gospodarzy teatru do roli i *„rozgrzewać"* ją tak, by była wiarygodna dla widza siedzącego o krok. Potrafią spontanicznie i naiwnie bawić się sobą i współpartnerami („Dziura", „Cabaret Voltaire"), potrafią odnaleźć się w repertuarze psychologicznym („Gracz"), potrafią doprowadzić ekstazę najintymniejszej spowiedzi do granic ekshibicjonizmu („Sic et non"). A jednocześnie imponująca samoświadomość pozwala im właśnie tych granic nie przekroczyć, asekuruje przed infantylizmem z jednej strony, histerią z drugiej, także namiętności bohaterów „Gracza" przydaje szczyptę wieloznacznej ironii. W Teatrze im. Witkiewicza nie ma miejsca na aktorskie markowanie, ani na solówki. Spektakle żyją, ewoluują, są wciąż przepracowywane, ulepszane. I rzecz jasna, ta temperatura widowisk musi udzielać się odbiorcom.

**VI. Teatr winien mówić z widzem o kwestiach uniwersalnych, pilnie studiując przy tym i rozpoznając potrzeby chwili, w której działa.** Zakopiańczycy mają gwałtowną awersję do wszelkiej doraźności, publicystyki, do śledzenia mód, do towarzyskiej giełdy. Przy całym ich szacunku wobec widza, ani im w głowie schlebianie. Przeciwnie: umieją być boleśnie złośliwi dobierając się z przyzwoleniem Gombrowicza do bardzo szacownych mitów narodowych („Historia"). Potrafią posunąć się na skraj bluźnierstwa, wpisując historię Heloizy i Abelarda w schemat stałych części mszy, tworząc misterium ofiary ludzkiej miłości („Sic et non"). Bywają okrutni, jak w swoim *„seansie nocnym"*, gdzie horyzont człowiekowi poszukującemu absolutu zakreślany jest przez szatana i przez śmierć („Dr Faustus"). A także używają niekiedy teatru do prawienia scenicznych mniej lub bardziej wymyślnych kazań. Przyznam się, iż ta kaznodziejska predylekcja, dobitne podkreślanie swoich przesłań, nieco natrętne morały, są jedną z nielicznych rzeczy, które mnie chwilami u nich ratą. Ale nie mogę z tego czynić zarzutu: takie właśnie jest ich rozpoznanie potrzeb chwili. I potwierdza się ono w odbiorze.

To jest może w tym wszystkim najważniejsze. Powyższe sześć punktów, gdyby miało być tylko teorią, byłoby warte wzruszenia ramion: mało to już górnych postulatów zgłoszono? W Zakopanem jest to jednak rzeczywistość, nie teoria; to są założenia realizowane z bezwzględną, bezkompromisową konsekwencją. I oto rezultat: w miejscu, gdzie istnienie teatru wcale nie jest takie oczywiste (od stu lat nikomu to się nie udało, choć próby bywały) i gdzie początkowy opór materii był znaczny, teraz na każdym spektaklu, sezon, nie sezon, jest nadkomplet widzów.

Zakopiańczykom grozi oczywiście poważne niebezpieczeństwo samozachwytu, zachłyśnięcia się powodzeniem. Twierdzą, że i tu umieli się zaasekurować; oby to była prawda. Najwyższa pora ich przedstawić: Teatr im. Witkiewicza prowadzi **Andrzej Dziuk**, reżyser wszystkich wspominanych przedstawień z wyjątkiem „Historii" i „Gracza"; to przygotowała **Julia Wernio**. Dziewiątka aktorów: **Dorota Ficoń, Krzysztof Najbor, Piotr Dąbrowski, Marta Szmigielska, Andrzej Jesionek, Piotr Sambor, Karina Krzywicka, Lech Wołczyk, Krzysztof Łakomik**. Plastyk: **Elżbieta Wernio**, muzyk: **Jerzy Chruściński**, kierownik techniczny: **Beata Wodecka**, jednoosobowa administracja: **Brygida Jesionek**. Jeszcze parę nazwisk, w sumie dziewiętnaście osób, które zbudowały teatr. Dziewiętnaście osób! I dotacja roczna, która żadnemu teatrowi instytucjonalnemu nie wystarczyłaby nawet na kwartał!

**Tak się szczęśliwie złożyło, że** sprawozdanie z Zakopanego otwiera mi nowy sezon teatralnych komentarzy. To dobry początek: mam głębokie przekonanie, że istnienie i sukces Teatru im. Witkiewicza bardzo głęboko rzutują (a przynajmniej powinny rzutować) na obraz całokształtu teatralnego życia Polski. W końcu Dziuk i jego grupa dają świadectwo czemuś, co można wyrazić bardzo lapidarnie: **jednak można**. Od tej chwili wszelkie wyrzekania artystów teatru, publiczne i prywatne, na widownię niewdzięczną, złą, bezmyślną, i zepsutą, na zdemoralizowanych aktorów, nieutalentowanych reżyserów, sobiepańskich dyrektorów, na podatki, koszty i ciężary administrowania — zatem wszystko to, co od lat już służy za pyszne alibi dla kompromisów i nieustannego obniżania poprzeczki — stracą część swej czarodziejsko usprawiedliwiającej mocy. Bo można. Sam bym nie uwierzył, ale jeździłem pilnie do Zakopanego i oglądałem na własne oczy.

## POZOSTAĆ BIAŁORUSINEM...

*O twórczości Sokrata Janowicza powstały już rozprawy badaczy literatury w ZSRR i w Anglii, choć przecież daleko mu jeszcze do wieku sędziwego i wiele ma przed sobą do napisania. Pisze po białorusku, lecz czytelnicy polscy znają go z przekładów. Tym razem napisał książkę w języku polskim, przede wszystkim dla polskiego odbiorcy, choć z pewnością przeczytają ją z pożytkiem także Białorusini. A choć Janowicz zawsze twierdzi, że najlepiej myśli i pisze w mowie ojczystej, to przecież dowiódł obecnie, iż potrafi być także mistrzem słowa polskiego.*

*Tym razem nie jest to ani powieść, ani kolejny tom „sokratek" — niewielkich utworów, w których autor zamyka swe refleksje oraz spostrzeżenia dotyczące ludzi i przyrody. Napisał książkę o ziemi białoruskiej, o jej przeszłości, dniu dzisiejszym, tradycjach narodowych, a także o związkach z Polską i o tym, co nasze narody podzieliło.*

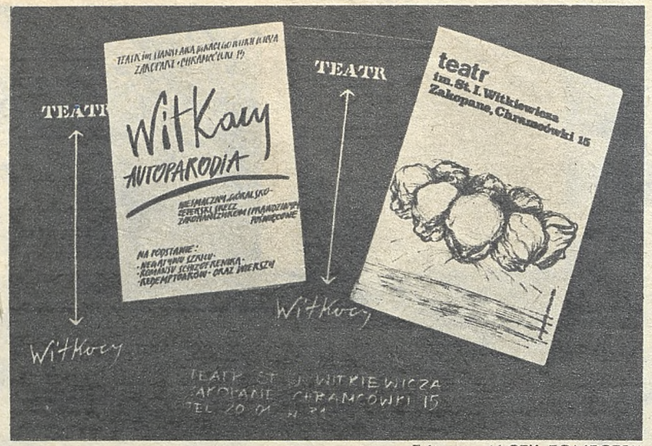
*Janowicz nie jest historykiem, choć fascynuje go przeszłość i w niej znajduje niejedną z przyczyn współczesnych problemów białoruskich. Pisze: „naród mój białoruski, żywcem pogrzebany przez macoszą mu Historię, ku zdziwieniu oświeconej i wyfrakowanej Europy powstał z grobu, tu i ówdzie powodując wśród swych nieprzyjaciół pogański wrzaski Nie wypada, panowie, dokuczać mu, że słabuje nieprzyzwoicie przewlekle."*

*Janowicz na szczęście nie jest historykiem, lecz doświadczonym pisarzem. Nie próbuje dać zarysu dziejów narodu białoruskiego, ani nawet uporządkowanego chronologicznie eseju. Przeskakuje w gawędzie od XVI-wiecznego humanisty Franciszka Skaryny, do swych wrażeń z Krakowa (gdzie Skaryna studiował), wraca następnie do Konstytucji 3 maja (jakież ciekawe to spojrzenie Białorusina na naszą świętość narodową!), by wkrótce po tym napisać o wizycie u rzeźbiarza w rodzinnych Krynkach. Splot wspomnień osobistych (nieraz bardzo osobistych) z refleksją nad dziejami ojczystymi dawnymi, nowszymi i najnowszymi jest jednym z uroków tej książki.*

*Przypomina ona fakty, czasem znane niewielu tylko specjalistom; niech nikogo nie zwiedzie pozorne ślizganie się po powierzchni stuleci: autor jest pierwszorzędnym erudytą i wnikliwym obserwatorem, który drobiazgi jakoby przypadkiem tylko dostrzeżone potrafi ukazać w rozległej historycznej perspektywie, stawiając pytania, nad którymi*

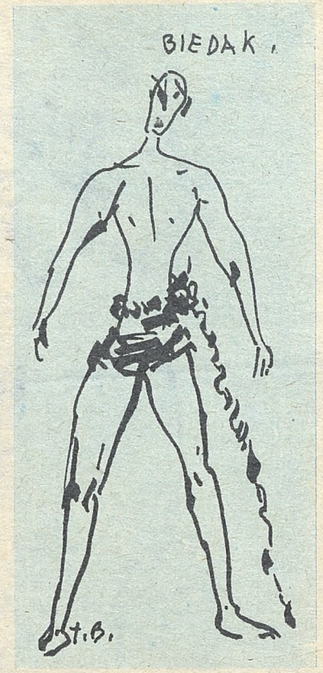
# Udało się!

**ŁUKASZ WYRZYKOWSKI**

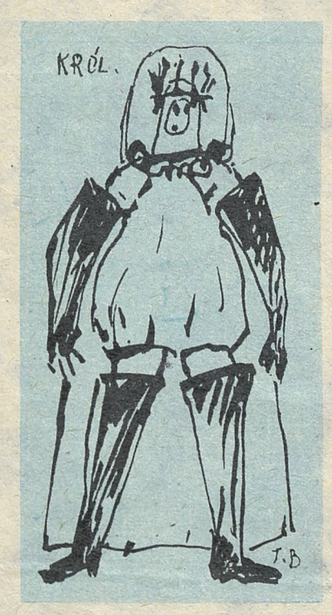



Zdjęcie: JACEK TOMECZEK

**Od sześćdziesięciu lat krąży u podnóża Tatr myśl o założeniu stałego teatru. A tu pojawia się nieznany zespół, studenci, do tego z trudnym spektaklem i... pełna widownia.**




Rysunki: TADEUSZ BRZOZOWSKI






**Cabaret Voltaire (seans dadaistyczno-surrealistyczny), którego premiera odbyła się 31 grudnia 1986 roku. Na zdjęciu: Dorota Ficoń, Andrzej Jesionek i Lech Wołczyk**

Zdjęcie: WOJCIECH PLEWIŃSKI

Andrzej będąc na czwartym roku odbył kilka rozmów z dyrektorami teatrów. Mniejsza o nazwiska, mniejsza o nazwy scen. Szczególnie jedna wydawała się atrakcyjna, nie tyle artystycznie ile w kategoriach ustawienia się, małej stabilizacji.

— Otrzymuje pan trzypokojowe mieszkanie z łazienką, osobną toaletą, nawet lodówka w nim jest.

Była to propozycja nęcąca i jak żartowali koledzy, tak kupuje się piłkarzy a nie aktorów. O sprawach artystycznych mówiono niewiele, bądź prawie wcale. „Będzie pan grał" — stanowiło jedyną rękojmię. Zrezygnował. I nie dlatego żeby nie potrzebował stabilizacji, żeby nie marzył o własnym mieszkaniu. Chciał tego wszystkiego, lecz przede wszystkim marzył o pracy w teatrze, pracy z ludźmi, dla których sztuka będzie sprawą najważniejszą, ważniejszą od wygód własnego „M", od ustawienia się w życiu. Więc wybrał pracę w teatrze tworzonym przez Andrzeja, który poza tą pracą nie obiecywał mu niczego.

Karina i Piotr już podczas studiów stanowili nierozłączną parę. Karinie, ładnej, wysokiej, długowłosej szatynce, wróżono zrobienie szybkiej kariery w filmie. Takie dziewczyny nie umykają uwadze szukającym młodych talentów reżyserom. Więc kiedy z Piotrem, o którym w szkole mówiło się, że jest bardzo zdolny, postanowili pójść za Andrzejem wiele osób głośno wyrażało zdziwienie tym, że tak łatwo i beztrosko rezygnują z kariery i idą za człowiekiem, który obiecał im jedynie dobrą pracę.

Piotr należał do prymusów i nawet oszczędni w pochwałach pedagodzy nie kryli że w przyszłości może stanowić podporę wielu scen. Głośno przy nim mówiono, iż miejsce w Starym Teatrze dla niego będzie. Grać u boku swoich nauczycieli i mistrzów — Anny Polony, Izabeli Olszewskiej, Jerzego Treli, Jerzego Stuhra, Jerzego Radziwiłowicza, czy może być bardziej wyśniona perspektywa?

Lecz kiedy miał podjąć decyzję — wybrał ofertę Andrzeja.

* * *

Teatr im. Witkacego istnieje w Zakopanem od dwóch lat. W ciągu tych dwóch lat wystawił jedenaście premier, pisano o nim że jest „największym zjawiskiem teatralnym ostatniego okresu w Polsce". Podczas XXVII Kaliskich Spotkań Teatralnych występując poza konkursem zwrócił uwagę jurorów wysokim poziomem artystycznym. Otrzymał również Nagrodę im. Stanisława Wyspiańskiego. Wszyscy zgodnie twierdzą, że wyciągnęli Zakopane z kulturalnego marazmu. Do dobrego tonu należy spędzić wieczór na Chramcówkach. Więc prawie każdego wieczoru w sezonie i poza sezonem gromadzą się na tyłach Profilaktycznego Domu Zdrowia im. dr. Tytusa Chałubińskiego tłumy. Przychodzą ci z biletami i bez biletów, wierząc, że jeszcze jedno, dwa, kilka miejsc się znajdzie. Zazwyczaj się znajdują. Gdy zabraknie dodatkowych krzeseł można siąść na ziemi, na schodach, bo w tym teatrze nie obowiązują utarte konwenanse. Obowiązują natomiast zupełnie inne, nigdzie nie spotykane i one również świadczą o odrębności, specyfice tego miejsca, tworząc już jego legendę. Ale kiedy zespół słyszy słowo legenda, jakby chciał zaprotestować, że nie legendę ale rzeczywistość teatralną pragnie tworzyć.

Więc sukces, powodzenie, legenda...

Najpierw był bunt, pomysł realizacyjny i zwykłe szkolne ćwiczenia. I trudno byłoby ustalać kolejność. Razem się to wiązało i zawiązało. Andrzej Dziuk studiował reżyserię w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Wspólnie z Julią Wernio, koleżanką z roku wcześniej przygotowywali rutynowe zajęcia z adeptami sztuki aktorskiej. Siostra Julii — Elżbieta kończyła studia plastyczne, uwieńczone dyplomową pracą scenograficzną. I już trudno powiedzieć, gdzie, w Krakowie czy we Wrocławiu, a może jeszcze gdzie indziej, a może w czasie górskiej wędrówki zrodziła się myśl zrealizowania „Don Kichota" Cervantesa. Niektórzy są skłonni dopatrywać się w tym pewnego symbolu, jakoby tytuł tej inscenizacji miał określić ich dalsze losy. Wtedy jeszcze nie zakładali iż utworzą teatr. Zwyczajnie, jak bywa w takich przypadkach, Julia z Andrzejem zaczęli rozglądać się wśród studentów wydziału aktorskiego za kandydatami do ról w tym przedstawieniu. Pragną ażeby ten moment podkreślić, bo wyjaśnia on jedną podstawową sprawę; rozbija pewien stereotyp myślenia o ich zaistnieniu. Nie stanowią, a na pewno nie stanowili grupy przyjaciół, których łączyły wcześniej więzi koleżeńskie, więzi głębszej przyjaźni. Znali się tak jak znają się wszyscy w szkole, w której spędza się czas od rana do wieczora. Dobierali aktorów z różnych lat: drugiego, trzeciego, przed dyplomem. Decydował przypadek, lecz i świadomy wybór. Andrzej Jesionek, Piotr Dąbrowski, Karina Krzywicka, Piotr Sambor, Dorota Ficoń, Krzysztof Łakomik, Krzysztof Najbor byli aktorami w „Don Kichocie". Wspólne rozmowy, próby, spektakle, — pierwszy latem 1983 roku — i dyskusje: o sztuce, o własnym i coraz częściej wspólnym widzeniu teatru. Wtedy jeszcze nie mówili o jego założeniu, bo nawet jeżeli gdzieś kiełkowała myśl, że interesującą rzeczą byłoby razem pracować, brakowało odwagi, determinacji ażeby ją wyartykułować. Postanowili wszakże, iż kolejne wakacje spędzą razem przygotowując „Pragmatystów" Witkacego.

W Małym Cichym, osadzie pomiędzy Zakopanem a Bukowiną Tatrzańską, w wynajętych u gaździ-

CIĄG DALSZY NA STR. 26



# Udało się!

CIĄG DALSZY ZE STR. 14

ny kilku pokojach powtarzali tekst, ustawiali poszczególne sceny. Bardzo szybko od chałupy do chałupy poleciała wieść, że artyści przyjechali, że będą teatr wystawiali. Przyglądali im się z ciekawością ludzie i zastanawiali: widzieli w telewizji czy też nie widzieli. Ale wyszło, że nikt nie widział.

*Ot młodzi* — miał powiedzieć któryś z urzędników miejskich, kiedy do niego przybyli... — no właśnie z czym — bo to ani nie była prośba, ani propozycja, ani petycja; przybyli ze słowami, że spróbują założyć teatr w Zakopanem. — *Ja takich ofert w roku mam kilka i to od wybitnych aktorów, reżyserów, którzy znudzeni, zmęczeni, sfrustrowani bądź pełni zapału chcieli zakładać teatr w Zakopanem. To stara myśl.* I nie musiał kontynuować, bo sami widzieli, że pomysł realizacji stałego zawodowego teatru przynajmniej od sześćdziesięciu lat krążył u podnóża Tatr. Marzył się taki przybytek Witkiewiczowi, Estreicherowi, Axentowiczowi, innym znakomitościom. Więc im miałoby się udać?! Dostali zgodę na wystawienie „Pragmatystów" w Miejskim Domu Kultury, chcieli wystąpić przez kolejnych dziesięć wieczorów, ale szefowie złapali się za głowę: *co? dziesięć razy! Tutaj znani artyści sprzedają się góra na dwa, trzy koncerty.* Uparli się jednak i zagrali dziesięciokrotnie. Za każdym razem przy wypełnionej szczelnie widowni. Nie dawano wiary. Nieznany zespół, studenci jeszcze, trudny spektakl... Cud, albo co?! A Dziuk już wiedział: Zakopanemu jest potrzebny stały teatr, a wynika to z tradycji tego miasta, a także z jego „teraz".

Przygarnął ich hotel... „Kasprowy". Znaczy na tyle przygarnął, że dyrektor placówki zgodził się wynajmować im salę konferencyjną (5 tys. zł godzina), którą opłacali z wpływów za bilety. I tak „Kasprowy" stał się jedynym w Polsce, a nie wiadomo czy nie w świecie, hotelem mającym wśród oferowanych atrakcji nie nocny kabaret, ale teatr, prawdziwy teatr.

I wtedy zjechali do Zakopanego, nie pytając Andrzeja co im obiecuje, chociaż przecież im obiecał dobrą pracę.

* * *

O Andrzeju Dziuku zmarły niedawno prof. Tadeusz Brzozowski, sympatyk teatru i współtwórca scenografii do jednej ze sztuk, miał kiedyś powiedzieć, że spotkały się w nim inteligencja, wiedza i pasja. Od siebie dodam: także odwaga. Bo miał za sobą dyplom robiony w Starym Teatrze i angaż do pracy na tej krakowskiej scenie. Więc miał to, o czym marzyć może każdy młody reżyser. Poszedł na ogromne ryzyko, tym większe, że pociągnął za sobą kilkanaście młodych osób, które mu zawierzyły.

Protestuje. Szczupły, średniego wzrostu, bez pozy człowieka nawiedzonego, niezwyczajnego. Protestuje przeciwko sformułowaniom: „pociągnął", „zawierzyli". Przecież każdy za siebie decydował!

Andrzej Dziuk: *Teraz kiedy mamy już swój teatr — swój umownie, jako że pomieszczenia stanowią własność Profilaktycznego Domu Zdrowia i są jedynie w dzierżawie, praktycznie w każdej chwili mogą zostać zabrane — ale kiedy mamy już siedzibę, kiedy wystawiliśmy jedenaście premier, kiedy zorganizowaliśmy Pierwsze Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne w setną rocznicę urodzin Witkacego, kiedy w galerii teatru odbyły się wernisaże profesorów: prof. Jonasza Sterna, prof. Tadeusza Brzozowskiego, prof. Janiny Kraupe, Andrzeja Wajdy, koncerty muzyki poważnej, jazzowej to często słyszymy, że nam się udało, że mieliśmy szczęście. Myślę, że to iż teatr zaistniał zawiera się w prostym stwierdzeniu — my sobie nic nie obiecywaliśmy, przychodząc do Zakopanego, oprócz robienia teatru. Nie było żadnego wyrachowania typu: zrobimy teatr, znajdą się mieszkania dla artystów, zbudują nam teatr, potem może dostaniemy działeczki, pobudujemy się i pod Giewontem będziemy czekać na aktorskie dożywocie. Nie!!! Nie pytaliśmy gospodarzy miasta o mieszkania, o to gdzie będziemy występować. To było naszą sprawą, konsekwencją naszego tylko wyboru.*



**Piotr Dąbrowski i Andrzej Jesionek w „Graczu" Dostojewskiego**

Zdjęcie: WOJCIECH PLEWIŃSKI

O tym jak wygląda ich pozateatralna powszedniość, o warunkach życia, mówią niechętnie. I nie dlatego, że nie ma się czym chwalić, ale właśnie dlatego, że za to niektórzy chcą ich chwalić. Sporo o nich napisano, nie ukrywają — mają niezłą prasę. Tyle że trochę czują się już znużeni tym ciągłym opisywaniem ich losów, ekscytacją tymi problemami mieszkaniowymi, finansowymi, sytuacją, że nie mają ubezpieczeń, że minione dwa lata nie są im zaliczone do ciągłości pracy, bo chociaż placówka nie jest teatrem zawodowym, nie podlega Departamentowi Teatrów MKiSz, stanowi sekcję zakopiańskiego Towarzystwa Miłośników Teatru im. Heleny Modrzejewskiej.

Więc krótko o mieszkaniach: nikt z nich go nie posiada. Koczują w wynajętych kwaterach i szczęściarzem zwą tego, kto zmienia locum cztero-, pięciokrotnie w roku. (Jeden z kolegów zmienił ich dwadzieścia). Przyzwyczaili się do tego. Zresztą przeprowadzka w ich przypadku nie stanowi wielkiego przedsięwzięcia, kilka walizek, koledzy pomogą przenieść. Zarabiają piętnaście tysięcy złotych. Tylko tyle, nic więcej. Mają propozycje udziału w zdjęciach filmowych, zawsze jakaś ekipa gości pod Giewontem, ale programowo założyli sobie, że nie będą ich przyjmować. Andrzej Jesionek zagrał rolę w którymś z seriali. Całe wspomnienie po tej przygodzie to pierwszy w życiu przelot samolotem.

Beata Wodecka, architekt z wykształcenia, miała w dużym mieście trzypokojowe mieszkanie, wygodną spokojną pracę. Zostawiła to wszystko i przyjechała do nich. Dlaczego? Bo tutaj czuje się potrzebna, współtworzy ten teatr, czuje się za niego odpowiedzialna.

Teatr jest ich domem, bo innego nie mają. Domem, w którym spędzają większość czasu. Aktorzy nie tylko zamiatają i czyszczą oddane im pomieszczenia. Teatr nie posiada żadnego zaplecza. Brak pracowni krawieckiej, szewskiej, stolarskiej, fryzjerskiej. Nie ma woźnych, biletерek czy szatniarzy. Sami w razie potrzeby stają się krawcami, szewcami. Wyznaczają sobie dyżury w kasie przy Krupówkach. Zwyczajowo już przychodząc do teatru można napić się darmowej herbaty; imbryk z esencją i czajniczki z wrzątkiem dostępne są dla każdego. Zwyczajowo też Andrzej Dziuk z zespołem wita każdego wchodzącego do teatru. Niektórzy dopatrują się w tym spekulacji, rewolucji. A oni twierdzą, że nie ma w tym nic z pierwszego, ani z drugiego. W tym swoim domu po prostu przyjmują gości, tak jak gości należy przyjmować. Wszystkich i każdego z osobna, bo dla nich spektakl nie zaczyna się z trzecim gongiem, a kończy z opadnięciem kurtyny. Więc i po spektaklu można jeszcze posiedzieć, pogadać i dopiero kiedy ostatnia osoba opuszcza miejsce przy Chramcówkach kończy się teatralny wieczór.

Julia Wernio: *Czujemy się tu potrzebni i najbardziej miarodajne potwierdzenie stanowi publiczność. A wcale nie jest łatwo ją zdobyć.*

Mają też miejscowych sprzymierzeńców, sojuszników. O władzy mówią krótko: *Nie pomaga, ale też co znacznie ważniejsze, nie przeszkadza.*

Pomagają uczniowie ze szkoły Kenara, pomagają inni jak na przykład Andrzej Krygier, zakopiański taksówkarz, który kiedyś woził Julię i zgadali się o teatrze, podzielił się swoim marzeniem o tym, że kiedyś teatr dla niego... Teraz gra w spektaklu „Gracz" Dostojewskiego niewielką rolę barona Wurmerhelm, niewielką, ale jest na scenie. I za to darmowo przywozi z Krakowa Izabelę Olszewską i Edwarda Dobrzańskiego, którzy gościnnie występują w tym przedstawieniu.

Ich spektakle... Bardzo różne. Dostojewski, Gombrowicz, Calderon, Marlowe, Słonimski, Tuwim, Witkacy. Zaskakujące inscenizacyjnie. Może brak im jeszcze rutyny, czasami „środków wyrazowych", może nie zawsze wszystko jest spójne. Ale jest gorące, autentyczne. Widać u nich radość grania, bycia na scenie, mówienia rzeczy im nieobojętnych.

Najmniej chcą mówić o przyszłości. Co będzie, ona pokaże. Nikt nie zrezygnował, nie wycofał się. Przybyło trzech nowych aktorów. Nie czują się sobą zmęczeni, bo nie czują się zmęczeni teatrem. Żyją intensywnie i w tej intensywności jest i ładunek młodości.

**ŁUKASZ WYRZYKOWSKI**

Edward Gretschel, Perła w koronie gór. Rzeczpospolita nr 273, 21-22 listopada 1987, s. 4.



Edward Gretschel, Perła w koronie gór, „Rzeczpospolita" 1987, nr 273

Artykuł o Teatrze Witkiewicza, redakcja

POLAK '87

*„To, co robimy jest ważne, jest to teatr, o jakim marzył Witkiewicz"*

# Perła w koronie gór

**Dziesięć lat trwały zabiegi o powołanie galerii Władysława Hasiora na Antałówce, w ciągu niespełna 10 miesięcy powstał teatr w Zakopanem, o jakim mógł tylko marzyć Stanisław I. Witkiewicz. Stworzył go Andrzej Dziuk i jego aktorzy, gdy niespodziewanie zjawili się w Zakopanem po to, żeby zrobić teatr, grać w nim role ambitne, na serio i do tego za darmo lub za grosze. Harują od rana do nocy, śpią byle gdzie, pracują społecznie przy instalacjach, dekoracjach i na rusztowaniach, często nie dojadają.**

Kiedyś udało się ich ulokować w „Warszawiance", lecz na niezbyt długo, bo wkrótce po ich osiedleniu dach się zapalił i jako pogorzelcy szukali schronienia w Domu Turysty, z którego po dwóch dniach zostali przegonieni i znowu znaleźli się na ulicy, kupili więc materace, zamieszkali na scenie za kulisami. Ulitował się wtedy nad nimi dyrektor „Tatr" Ryszard Sikora, wyremontował im 2 pokoje w „Warszawiance" i żeby z głodu nie poumierali przewodniczący rady narodowej Kazimierz Moździerz załatwił im zniżkowe obiady w COS.

Sami siebie skazali na poniewierkę, mieli przecież pracę, mieszkania, etaty w wałbrzyskim teatrze. Dziuk pracował jako reżyser w Starym Teatrze im. H. Modrzejewskiej w Krakowie. A mimo to nie wytrzymali, w jakimś bliżej nieokreślonym porywie młodzieńczego buntu porzucili teatry, spakowali walizki i zjawili się w Zakopanem, z zamiarem zrobienia czegoś dobrego, mimo że nikt ich tam nie zapraszał ani z otwartymi ramionami nie witał.

## Zaczęło się od deklaracji

Sale, które przejęli, niegdyś bankietowe, stanowiące ośrodek życia kulturalnego w zakładzie leczniczym dr. A. Chramca, mają swój niezwykły klimat i piękną tradycję. Tutaj koncertował Karol Szymanowski, występowała Irena Solska i uczniowski zespół teatralny Gabrieli Zapolskiej, odbywały się — urządzane przez kuracjuszy — przedstawienia amatorskie, grała Helena Modrzejewska, działał — niestety krótko — witkacowski teatr formistyczny.

Tak jak ongiś słynny „Wariat z Krupówek", tak samo Andrzej Dziuk — filolog, filozof, absolwent Wydziału Reżyserii Dramatu krakowskiej PWST — stworzył pod Tatrami teatr witkacowski, kreując jedno z najważniejszych powojennych wydarzeń kulturalnych, nie tylko zresztą w tym mieście. Dziuk wiedział jak się robi teatr. Zaskoczył wszystkich, gdy w niespełna 3 miesiące, pracując dniami i nocami, korzystając z pomocy doświadczonego inż. Józefa Pikbolca ze Starego Teatru z Krakowa — uporał się z remontem zruderowanej siedziby i zagrał zaraz potem 63 spektakle, wystawiając w ciągu dwóch lat 11 premier.

*„Teatr im. Stanisława I. Witkiewicza* — czytamy w deklaracji programowej — *chce dawać świadectwo prawdzie swego czasu... chce być miejscem sposobnym do szerszej refleksji człowieka nad samym sobą i nad oszalałym, a pędzącym ku zagładzie światem... Chce być wreszcie teatrem artystycznym, to jest chce ocalić racje teatru jako sztuki. Chce coś znaczyć służąc drugiemu żywemu, myślącemu, czującemu, przerażonemu człowiekowi".*

To, co kiedyś zapisał w deklaracji Dziuk stało się faktem. Teatr zdumiewa działaniem artystycznym, zadziwia gra aktorów, każdy spektakl jest swoistym świętem, okazją do osobistych powitań i rozmów, często nawet intymnych, o życiu, jego sensie, o sztuce i teatrze. Andrzej Dziuk czyni ten teatr i jego foyer miejscem intelektualnych doznań i przeżyć, spotkań publicznych, wernisaży Jonasza Sterna, Tadeusza Brzozowskiego, Janiny Kraupe czy Andrzeja Wajdy. Teatr pozostał wierny witkacowskiej tradycji posiadów, czyli rozmów istotnych, inspirujących do przemyśleń, zachęcających do dialogu.

Siła tego teatru nie polega na wsparciu możnych protektorów, bo ich nie potrzebuje, o nich nie zabiega, wyrasta z potrzeb służenia witkacowskiemu miastu, potrzeby istnienia w tym mieście teatru jego imienia. Dziuk nie przystaje na żadne konwenanse, nie godzi się na biurokrację, chce iść szlakiem własnym. Nie przyjmuje prezentu w postaci powielanego statusu teatru z biurokratyczną nadbudówką, wystarczy mu za całą administrację jedna Brygida Jesionek. Dziewiętnaście osób tworzy ten zespół, tyle ile potrzeba.

## Wszystko jest snem

Andrzej Dziuk obdarzony dobrym smakiem i bogatą wyobraźnią, nie chce nikogo naśladować, jest bezkompromisowy i uparty, dobitnie podkreślający witkacowskie racje światopoglądowe. Nie waha się w swojej inscenizacji poszatkować Calderona „żeniąc" go z tekstem księdza Józefa Baki i z autentyczną kapelą góralską. „Życie jest snem" zagrał na widowni, podzielonej wybiegiem na męską i damską, po którym przed i po spektaklu przechadzał się dumny kogut. Najważniejsze sceny rozgrywają się na wybiegu i w więzieniu Segismunda, dotyczą w równym stopniu widza i aktora.

Kiedy kogut wraca na wybieg, kończy się sen, spektakl, ale życie i teatr trwają dalej. „Śpij dobrze! Pamiętaj wszystko jest snem". To przebudzenie jest wstrząsem dla publiczności. Na to właśnie liczy reżyser. Dalej już toczy się dyskusja o stosunku do życia, tajemnicy teatru i sztuki. „Coś" się w człowieku staje, przekonuje, wywołuje refleksje. Widz przeżywa ten teatr w sposób szczególny.

— *„My chcemy mu dać siłę do tego poznania, argumenty i w tym sensie jest to teatr filozofujący, bazujący na sztuce i osobistym doświadczeniu widza. Gdybyśmy byli wierni wyłącznie witkacowskiej wizji, gralibyśmy Becketa"* — mówi A. Dziuk.

W tym sensie Dziuk rozbija dogmaty zmuszając widza do klasyki i do teatru, w którym nikt nie jest anonimowy, ani aktor, ani widz. Przeciwnie, pomagają sobie wzajemnie zrozumieć otaczający ich świat. Teatr Witkacego chce rozmawiać z ludźmi nie o tym co sensacyjne i stare, lecz o tym co współczesne i żywe, posiłkując się umiejętnie dobrymi, często trudnymi tekstami literackimi Witkiewicza, Calderona, Dostojewskiego, Gombrowicza...

Oto otwiera się „Kabaret Voltaire" tak samo jak przed 70 laty w Zurychu. Widz, żeby się wgłębić w nastrój tamtej epoki zajmuje miejsce przy kawiarnianym stoliku, pije trunki i herbatę, wpatruje w pędzącą ruletę. Mimo woli podmiot staje w centrum dziejącego się widowiska, doznaje dodatkowych emocji i wzruszeń. Aktor i odbiorca, w jednakowym stopniu przeżywają to, co się w teatrze dzieje, niekoniecznie na scenie, częściej tuż obok, kiedy aktora się dotyka. Nawet nagość, jeśli nawet zjawia się na scenie, nie ma nic z wulgarności, jest naturalną ilustracją malarstwa.

— *„Tu nie wolno przekraczać granicy smaku, nie popełnia się artystycznych nadużyć, nie sięga do tanich chwytów. Chcemy* — mówi A. Dziuk — *udowodnić, że sztuka to przeżywanie. Chcemy być teatrem skutecznym, artystycznym, odpowiedzialnym za poziom i widza".*

Okopali się na Chramówce tworząc wielki związek ludzi teatru, schronienie dla miłujących sztukę teatraliów, zbudowane w konwencji witkacowskiej. Tajemnica tego teatru tkwi w zespole, jego młodości, w niesamowitych pomysłach „wiedzy, inteligencji i pasji Andrzeja Dziuka" to mówi prof. T. Brzozowski. Od samego początku teatr broni się sam premierami, nadkompletami widzów, inicjatywą twórczą, pomysłami.

— *„To co tutaj robimy, jest ważne* — mówi Dziuk. — *Tu się tworzy teatr, a nie spektakle. Teatr szeroko otwarty na sztukę. Zdecydowaliśmy się kiedyś kroczyć taką drogą, więc nią idziemy. Za nami zaledwie jeden skromny etap".*

Więc żeby teatr zaistniał na dobre, przyjdzie pokonać jeszcze kilka wzniesień, bo tam gdzieś w górach wysoko majaczy ich szczyt, pod którym roztacza się Zakopane. Miasto ukochane przez muzy.



*Zespół Teatru im. St. I. Witkiewicza.*

*Fot. Stanisław Momot*

## Góral Murdala twierdzi, że Witkacy wstał z grobu

Setną rocznicę urodzin Witkacego czcili 24 lutego 1985 r. w teatrze na Chramcokach premierą „Autoparodii", w reżyserii Andrzeja Dziuka i tę podwójną datę traktuje się jako dzień narodzin teatru. „Autoparodia", ten „niesmaczny góralsko-ceperski skecz, zakopiańczykom prawdziwym poświęcony" opracowany na podstawie „Negatywu szkicu", „Redemptoarów", „Romansu schizofrenika", wierszy, ożywiony góralską kapelą „Maśniaków", tak dalece przekonał i zainteresował publiczność, że od tej pory jest już teatrowi wierna i tłumnie przychodzi na wszystkie spektakle.

To co zaproponował ponadto Dziuk i jego teatr na 100-lecie urodzin patrona, przeszło najśmielsze oczekiwania witkacologów i zakopiańczyków. Dzięki prezentacjom artystycznym, na które zjechali artyści z całej Polski, o Witkacym mówili, ale głośno i dosadnie.

Patronował imprezie Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej z Krakowa. Gazdował Andrzej Dziuk w towarzystwie Anny Micińskiej, Janusza Deglera, Lecha Sokoła i Grzegorza Dubowskiego. „Pragmatystów" wystawił Teatr Cypriana Norwida z Jeleniej Góry, „Karaluchy" Teatr Nowy z Warszawy, „Kalafara" — awangardowy łódzki Teatr Lalek. Na Krupówkach jedną ze sztuk zagrał też teatr z Nowego Sącza.

*Nie jest to przyjemność duża cały dzień malować stróża...*

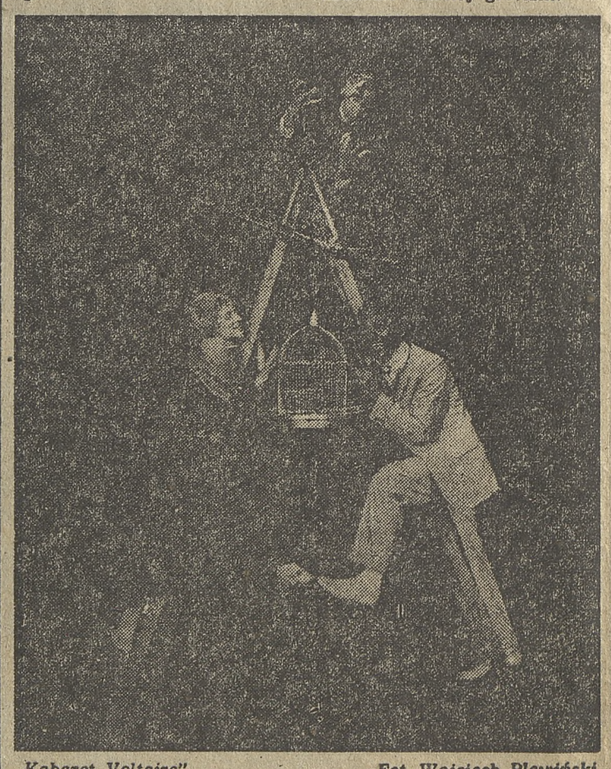
Obok tego fragmentu wiersza powieszono 81 portretów i zdjęć Witkacego w towarzystwie jego przyjaciół: J. Solskiej, H. Sienkiewicza, St. Żeromskiego, T. Mycińskiego, J. Piłsudskiego, Z. Krzeptowskiej w większości wypożyczonych z prywatnych zbiorów. Zwiedzających były tłumy, wśród nich również Jerzy Trela, rektor PWST w Krakowie. W drugiej części galerii Ewa Daykowska-Berbeka, współpracująca na co dzień z teatrem wystawiła swoje plakaty do sztuk Witkacego. W Tatry szlakami Witkacego prowadziła Monika Olszewska, Andrzej Frączasty i góralska kapela, w kawiarni hotelowej aktorzy czytali codziennie o 13 „Pożegnanie jesieni" Witkacego, pokonując po drodze dodatkowe opory ze strony stałych bywalców. Wyświetlano wszystkie polskie filmy o Witkacym i zapewne filmowy Murdala ma rację, że Witkacy jakby na tydzień wstał z grobu. Dla „Stasia" muzykowali Olga Szwajgier i Marek Grechuta w BWA na Kozińcu i w paru jeszcze innych miejscach też rządził Witkacy.

*„Tą inauguracją* — mówi Dziuk — *chcieliśmy podkreślić swoje przywiązanie do patrona i udowodnić czym powinien być nasz teatr w Zakopanem. Czy ktoś w Polsce teatralnej lepiej od nas czci swego patrona?*

## Wielki teatr świata

W zgodnej ocenie krytyków dr Faustus Christophera Marlowe dalece przerobiony przez scenografa i reżysera czyli Andrzeja Dziuka, reklamowany jako „Prawdziwe oblicze diabła"! Piękna Helena Trojańska, „Siedem grzechów głównych"! Rozgrywany był na ringu, w klimacie czarnej groteski.

**WŁADYSŁAW HASIOR:** Na miłość boską, przestańmy upominać się i róbmy coś, żeby nas również wspominano... stwórzmy fakty, które będą procentować przez następne lata. A takim faktem jest właśnie, z nieba spadający, zespół Teatru im. Stanisława I. Witkiewicza i jego twórca Andrzej Dziuk. Niesamowita sprawa...



*„Kabaret Voltaire".* *Fot. Wojciech Plewiński*

„Wielki teatr świata" Calderona, w którym Dziuk nie tylko reżyseruje, ale gra na scenie autora, wyznaczając tempo akcji i przestrzeń scenicznego świata robi tak, że w jednej niemal chwili z pustej sali tworzy się wielki teatr. Aktorzy tłoczą się przy drzwiach, w których przychodzą na świat. Dalej akcja toczy się w pięknie kolorystycznie dobranych mansjonach. Kończy, gdy w strzępach trykotów stają u drzwi śmierci.

„Skończone życie, więc i przedstawienie". W tym spektaklu autor — reżyser ma ambicję sięgnąć w ludzkie życie, w jego dramat, zgłębiając największą z ludzkich tajemnic. Dziuk ma zamiar pójść jeszcze dalej, wyjść z tym przedstawieniem poza konwencjonalną scenę, zagrać w plenerze na tle Tatr.

Teatr Witkacego jest otwarty nie tylko na okazjonalne kontakty, lecz także na co dzień dostępne są na jego scenie pożyczane gwiazdy. W ostatnim wystawieniu „Gracza" Fiodora Dostojewskiego w roli Antoniny Wasiljewnej występowała Izabela Olszewska, a w roli generała Zagoriańskiego zjawił się na zakopiańskiej scenie sam prorektor krakowskiej PWST Edward Dobrzański. W tym doborowym towarzystwie wcale nieźle radził sobie Piotr Dąbrowski, tytułowy „Gracz" Aleksy.

**JERZY TRELA:** Jeśli po spektaklu aktorzy wychodzą do publiczności po 6 razy to o czym to świadczy? Znaczy to, że ten teatr jest Zakopanemu potrzebny, mamy więc do czynienia z podwójnym sukcesem — miasta i teatralnej młodzieży.

## W Kaliszu i we Wrocławiu

W maju tego roku na XXVII Kaliskich Spotkaniach Teatralnych Dziuk wystawił cztery przedstawienia i wszystkie zostały zauważone przez krytykę, na VIII Słupskim Tygodniu Teatralnym odniósł kolejny sukces grając „Wielki teatr świata" i „Kabaret Voltaire", a w nietypowej scenerii Zamku Książąt Pomorskich — największej państwowej kolekcji dzieł Witkacego — wystawił „Autoparodię". Na VIII Międzynarodowych Spotkaniach Teatru Otwartego we Wrocławiu wśród 30 zagranicznych zespołów w szczelnie wypełnionej sali zaprezentował kilka niekonwencjonalnych przedstawień bijąc na głowę wielu potentatów. W Rzeszowie na XXVI Spotkaniach Teatralnych z dwiema inscenizacjami „Wielkiego teatru świata" i „Autoparodii" został już całkiem serio zauważony przez krytyków i publiczność.

W tym właśnie czasie jury pod przewodnictwem Jerzego Sokołowskiego przyznało mu i jego zespołowi nagrodę miesięcznika „Teatr" im. Konrada Swinarskiego.

*To wysokie uznanie* — mówi laureat — *jak również poprzednia nagroda ministra kultury i sztuki im. St. Wyspiańskiego za upowszechnianie kultury teatralnej utwierdza nas w przekonaniu, że to co robimy jest ważne, że jest to teatr o jakim właśnie marzył Witkiewicz. Cieszy mnie najbardziej, że właśnie teraz pod Tatrami ta szansa się spełniła. O wiele ważniejsze jest to, że od tych sukcesów nikomu się z tego powodu w głowie nie przewróciło.*

Zakończył się pierwszy akt. Teatr krzepnie i zdobywa uznanie.

**EDWARD GRETSCHEL**

**MAREK KOZIOŁ, I sekretarz KMG PZPR w Zakopanem:** Mnie, jako rodowitego zakopiańczyka, bardzo cieszy to wyróżnienie Teatru Witkiewicza — Nagroda im. Swinarskiego. Przed laty nazywano Zakopane duchową stolicą Polski. Myślę, że razem z teatrem jesteśmy na dobrej drodze do celu. Już w najbliższym czasie chcemy do końca załatwić większość spraw socjalnych członków zespołu. Za dwa lata, jak dobrze pójdzie, teatr otrzyma duży, samodzielny budynek w centrum, a jego członkowie dawno już wtedy zapomną o obecnych kłopotach z powodu braku dachu nad głową. Dziuk i jego teatr zasługują na dużo więcej.

# ...i rzeczywistość

**Z publikacji Krzysztofa Walczaka (m. in. „Aneksja Bieszczadów", „Życie Warszawy" nr 228 z 1.X. br.) dowiedzieć się można kto w Polsce jest największym wrogiem przyrody. Okazuje się, że są nimi rolnicy, w tym konkretnym przypadku rolnicy z dębickiego „Igloopolu", którzy przed pięciu laty — bez zbytniego entuzjazmu ze swej strony — zabrali się za rolnicze zagospodarowanie 9 tys. ha zapuszczonych użytków rolnych w Bieszczadach. Przed nimi nikomu się to nie powiodło. W rachityczne PGR na tym terenie wpakowano w okresie 40-lecia miliardy — ze skutkiem odwrotnym od zamierzonego.**

„Igloopol" płacił PRG-owskie długi, wziął na swoje barki nie spłacone kredyty, zainwestował w przejęte gospodarstwa już duże pieniądze. Tylko w 1987 r. przeznaczono na inwestycje ponad 530 milionów złotych. Dwa razy tyle stanowią nakłady produkcyjne. **Wyremontowano budynki inwentarskie, buduje się mieszkania dla pracowników, zakupiono sprzęt techniczny, utwardzono podwórza, wykonano ogrodzenia, usunięto z pól i pastwisk krzaki i samosiewy chwastu leśnego — olchy szarej. Uruchamia się też stopniowo produkcję mięsa, mleka, wełny.** Nie ma jeszcze zysków, ale nie ma też już strat. „Igloopol" wniósł w Bieszczady środki, swoją wypróbowaną organizację, również ludzi — młodych, energicznych, pełnych zapału, którzy wiedzą czego chcą, a wcale nie chcą zniszczenia bieszczadzkiej przyrody, dają dowody tego, że także i oni chcą ją chronić.

Zdołano zagospodarować dopiero 5,5 tys. ha. Resztę — 3,5 tys. ha użytków nie wiadomo jak określić. Zastępca dyrektora bieszczadzkiego „Igloopolu" z siedzibą w Smolniku — **Wiesław Słowik** mówi o tych gruntach „niby lasy"...

## Wróg czy sojusznik

K. Walczak popełnia błąd, upatrując wrogów przyrody w rolnikach. Jest to stare podejście, z czasów które minęły i nie wrócą. Świat spogląda dzisiaj właśnie na leśników i rolników jako na najlepszych strażników przyrody i krajobrazu. Anachroniczne są uszczypliwe uwagi i aluzje, że ochrona przyrody znalazła się w niewłaściwym resorcie. Pasuje jak ulał do rolnictwa i leśnictwa. **Nie ma dziś ochrony przyrody bez ludzi. Ktoś musi jej strzec przed prawdziwymi niebezpieczeństwami. Kto może to zrobić lepiej, jeśli nie uczyni tego człowiek, który jest na miejscu i żyje z przyrodą za pan brat.** Sama nieliczna służba leśna parków narodowych nie da rady.

Kolejnym wrogiem bieszczadzkiej przyrody są według K. Walczaka... owce. I to twierdzenie jest grubym nieporozumieniem, co przyznają już także niektóre autorytety z zakresu ochrony przyrody. Użytkowanie pastwiskowo-kośne polan, połonin i hal — wspomaga cenne gatunki roślinności. Gdzie nie ma owiec — połoniny i hale dziczeją. Giną bezcenne, unikalne gatunki roślin. Na ich miejsce wyrastają pospolite, dzikie psiary. **Gdy nie wyjedzone przez owce trawy zeschną — najpiękniejszy park narodowy może w parę godzin doszczętnie spłonąć od byle iskry. Słowacy i Czesi mówią dziś o takim właśnie nieocenionym pożytku z owiec na terenach chronionych.** Przypadki wielkich pożarów w parkach narodowych są znane.

Wypędzono owce z tatrzańskich hal, z bieszczadzkich połonin. Naruszona została równowaga przyrodnicza. Ponad miarę rozmnożyły się jelenie. — Wyrządzają nam duże szkody w młodnikach — mówi dyrektor Bieszczadzkiego Parku Narodowego — Zbigniew Tym. — Trzeba było rozpocząć odstrzał...! A więc bieszczadzka zwierzyna ucieka nie tylko od huku wysadzanych dynamitem drzew i krzewów, o czym pisze K. Walczak. Myśliwi nie pozostają w tyle. Porządkowanie bieszczadzkich pastwisk już się skończyło. Polowanka jeszcze nie...

Owiec w Bieszczadach jest stanowczo za mało. **Stanisław Rusin,** rolnik z Dwerniczka przytacza opinie starszych rolników, że kiedyś na bieszczadzkich połoninach pasły się tysiące wołów. Płakać się chce, gdy się patrzy dzisiaj na stan tych użytków. — Ściśle rezerwaty to zakała parków narodowych, rozsadnik szkodników leśnych — mówi leśniczy z Tatrzańskiego Parku Narodowego. Ma rację Iwona Jacyna („Rezerwaty zbyt ścisłe", „Życie Warszawy" nr 252 z 28.X.br.), postulując dopuszczenie działalności gospodarczej nawet do ścisłych rezerwatów, celem usuwania zwalonych przez wichury drzew — wylęgarni szkodników.

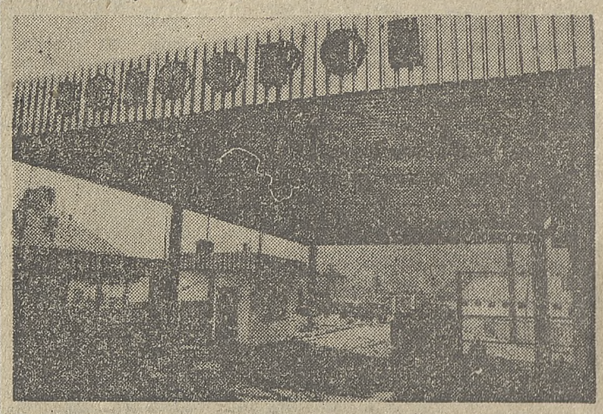
## Prawdziwi wrogowie

Chronić musimy nie tylko skrawki przyrody, lecz ją całą. Nie można postępować w myśl zasady, że ochroną obejmie się kilkaset tysięcy hektarów parków narodowych, rezerwatów przyrody i parków krajobrazowych, a z resztą niech dzieje się co chce. **Powiększanie obszarów terenów chronionych** — mówią leśnicy — **pociąga za sobą nadmierną eksploatację terenów wyłączonych spod ochrony.** Pięknie byłoby mieć jeszcze ze 100—200 tys. hektarów pod ochroną. Jeść jednak też przecież każdy chce. Czym się pożywi turysta odwiedzający Bieszczady? Czy wszystko trzeba dowozić tam z odległych stron. I te tereny mogą być bogatym źródłem żywności, o co właśnie zaczął troszczyć się „Igloopol", rozwijając nie tylko jej produkcję, lecz także myśląc o zajazdach, restauracjach itp.

Ludzie — rolnicy i utrzymywane przez nich owce to urojone zagrożenie dla przyrody. Jego wyolbrzymianie jest szkodliwe i niebezpieczne, bo przesłania wrogów prawdziwych, niezwykle obecnie groźnych, jakimi są zanieczyszczenia przemysłowe i niestety także szybko rozwijająca się turystyka. To są problemy, które publicysta „Życia Warszawy" powinien wziąć przede wszystkim na warsztat a nie **owce w dolinie Wołosatki, które — w moim przekonaniu — mają tylko ten mankament, że jest ich za mało. Co to jest 1200 owiec na 840 ha użytków zielonych?** O ścieki i gnojowice nie trzeba się przy owcach martwić. Prawie nie dają płynnych odchodów, a ewentualnym zagrożeniem dla środowiska bardzo łatwo skutecznie przeciwdziałać, co się zresztą w Wołosatem czyni.



*Wołosate, maj 1984 r.*



*Wołosate, listopad 1987 r.*

## Niechęć czy współpraca

Trzeba otwarcie powiedzieć, że nasze niektóre parki narodowe zyskały sobie złą sławę i wniosły wiele niezadowolenia, a także rzeczywistych krzywd do przyległych środowisk rolniczych. **Zamiast zająć się gospodarką w obrębie parków, która delikatnie mówiąc pozostawia najczęściej bardzo dużo do życzenia — całą energię skierowały na otaczające rolnictwo, upatrując w nim główne zagrożenie dla przyrody.** Przykładów bolesnych nabrzmiałych problemów, stale czekających na rozwiązanie — nie brakuje. Zrodziło się opaczne rozumienie roli rolnictwa i leśnictwa w ochronie przyrody, lekceważenie spraw wyżywienia kraju. Parki narodowe cierpią na „kompleks małorolnego", ciągle chciałyby powiększać swój obszar, otuliny itp., co jest nierealne i prawdę mówiąc niepotrzebne a często możne nawet szkodliwe.

Społeczność parkowo-leśna i rolnicza musi się nauczyć nie tylko koegzystencji, ale i zgodnej współpracy w rozwiązywaniu wszystkich wspólnych problemów ochrony przyrody, gospodarki rolnej i leśnej, warunków bytu ludzi żyjących o miedzę. Integracja nie może się kończyć na szczeblu resortu — przy pełnej dezintegracji w terenie. **Dojrzał chyba czas, aby w miejsce obecnych rad naukowych przy parkach narodowych zacząć powoływać rady społeczno-naukowe.** Ochrona przyrody na tym nie straci, może tylko zyskać. Nie będą wówczas potrzebne żałosne wrzawy na cały kraj, że gdzieś ktoś zamierza wypasać owce.

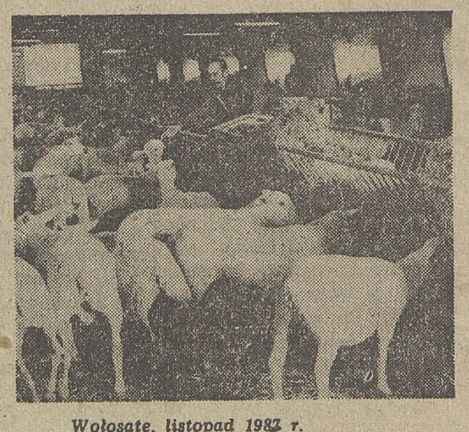
★

**Nie trzeba być zbyt wnikliwym obserwatorem, aby dojść do wniosku, że „Igloopol" w Bieszczadach spełnia dobre, społecznie użyteczne funkcje, rokujące perspektywy — w miejsce poprzedniej ciągnącej się przez dziesięciolecia beznadziei. Praca jest tam naprawdę trudna, odległości od źródeł zaopatrzenia bardzo duże, stałe zagrożenie ze strony nadmiernie rozmnażających się dzikich zwierząt, obejmujących coraz śmielej w posiadanie te pustkowia. Czy chodzi o to, aby resztę ludzi stamtąd wypłoszyć?**

**LUDWIK STASZYŃSKI**



*Wołosate, maj 1984 r.*



*Wołosate, listopad 1987 r.*
*Fot. Aleksander Jałosiński*

# Polak '87

**Jeśli z dnia na dzień porzuca się wygodne miejsce, zrywa z tym, co robiło się dotychczas i pędzi w nieznane by tworzyć, zmieniać, budować, to trzeba być prawdziwym pasjonatem. Bohater naszego kolejnego reportażu w cyklu Polak '87 zaraził także tą swoją pasją innych — grupę młodych, niespokojnych, szukających swojego miejsca w życiu.**

**Osiedli pod Giewontem i stworzyli placówkę kulturalną z prawdziwego zdarzenia, a właściwie świątynię kultury. Bo tu potrzeba przeżywania słowa, myśli, gestu jest potrzebą płynącą z najgłębszych zakamarków duszy. Wierni swojemu mistrzowi, zasłuchani w jego strofy uczą tej wrażliwości innych. I chociaż początki, jak to często bywa, nie były łatwe, chociaż jeszcze teraz każdy z nich mógłby wyliczyć czego brak i czego jeszcze trzeba, nie o to chodzi. Teatr jest, działa, proponuje kolejne premiery. A widzowie wychodzą zauroczeni...**

**Dziś na str. 4 przedstawiamy Andrzeja Dziuka w reportażu**

**PERŁA W KORONIE GÓR.**



*Teatr chce coś znaczyć, służąc drugiemu, myślącemu, czującemu człowiekowi.*

Aldona Krajewska, Recenzja ze spektaklu „Remont". Na prostej, nr 51, 20 grudnia 1987, s. 10-11

# RECENZJA ZE SPEKTAKLU »REMONT«

Dwieście metrów od dworca, gdzie kiedyś zajeżdżały powozy, prowadzą wyraźne czarno-białe strzałki. Okolica zabudowana ciasno, jak całe Zakopane. Wąska droga wije się obok kościelnych ławek i stosu świeżych cegieł, mija „murowaniec" i drewnianą willę. Tablica na bramie zakazuje obcym wstępu na teren Profilaktycznego Domu Zdrowia, ale ten żyje swoim życiem, a teatr, mieszczący się w jego części – swoim. Droga wyprowadza na podwórze, gdzie już rządzi Witkacy: malowane przez Elżbietę Wernio powiększenia jego rysunków na garażach, kolorowa alegoria sceny zajmująca całą ścianę domu.

Na sztachetach, przed głównym wejściem, dwie dziewczyny – rudowłosa w czerniach i brunetka ostrzyżona na lata dwudzieste – rozpinają czarno-białe plansze. „Prawdziwe oblicze diabła! Mrożąca krew w żyłach prawda o Fauście!!! Musisz to przeżyć!" – obwieszczają plakaty w najlepszym, handlowo-jarmarcznym stylu. Czarno-biały jest też szczupły mężczyzna z fajką – Andrzej Dziuk, kierownik artystyczny, świeżo wyróżniony przez miesięcznik „Teatr" nagrodą imienia Konrada Swinarskiego. I wejście do budynku. Czarno na białym, kartka na szybie drzwi (białych) z czarną kotarą upewnia: „To jest teatr im. Witkacego!".

## Brygada artystyczno-remontowa

Jest jesień – mówią – i bardzo dobry dla teatru miesiąc: zostali ludzie, którzy kochają góry, nie ma już rozkrzyczanych wycieczek szkolnych. Dobra publiczność. Żałują, że nie grają. Mam pecha: kasa na Krupówkach obwieszcza pauzę do grudnia. W teatrze brygada artystyczno-remontowa buduje ścianę p-poż., której zażądała straż. Reżyser przeprasza: Autor, Gracz, Abelard, Wieśniak, Król i Bogacz rozładowują dziś cegły i noszą deski.

Iwona Romanówna, brunetka spod sztachet, przejmuje honory domu. Ma wielkie oczy, dziecinną twarz i powagę, jaka przystoi teatrologowi pełniącemu w jednej osobie funkcje „działu literackiego" i „archiwum" zarazem. Czuje się zażenowana panującym dokoła bałaganem: w obszernych wnętrzach dawnego Zakładu Wodoleczniczego doktora Chramca zalegają skrzynie, tkaniny, tablice przygotowane do odnowienia, a na długim stole walają się gazety i stoi kilka szklanek z nie dopitą herbatą. To stan kompletnie nienormalny i – co też nienormalne w tym teatrze – z ociąganiem zaprasza się do środka gościa.

Rudowłosa dziewczyna siedzi teraz na stole dociskając płytę pilśniową, z którą inna walczy za pomocą piły. Zdjęcie? Za nic! Mają wiele pięknych, artystycznych zdjęć ze spektakli. Szkoda! Najbardziej rzucającą się w oczy cechą zespołu jest jego młodość i uroda i starannie dobrane stroje. Za dziewczynami wysoko portrety artystów Teatru, stylizowane na witkacowskie pastele. Na tym po prawej – dziewczyna z piłą w roli Ireny Solskiej.

## Trudne czasy są zawsze

Iwona delikatnie daje do zrozumienia, że rozmowy o Teatrze bez obejrzenia jego spektakli są bez sensu. Ale jest remont – siła wyższa. Ma chwilę czasu, aby usiąść, gdy aktorzy krążą między wnętrzem a podwórzem. W wielkiej sali za naszymi plecami, opowiada Iwona, pensjonariusze doktora Chramca grywali fragmenty „Kordiana", a w czasie wojny skubali szarpie. Różne dziwne rzeczy działy się tutaj, to miejsce pełne jest duchów i one nam powiedziały: „Warto!". Tu zjeżdżali przedstawiciele intelektualnej i artystycznej elity, tu mogli zapomnieć o zaborze, a w czasie wojny „scena była prawdziwą pocieszycielką". Ale prawdziwy, stały teatr nigdy w Zakopanem nie istniał. Wydawało się to niemożliwe. Gdy sezon mija, widzowie wyjeżdżają – przyjadą nowi, nie przyzwyczajeni, nie zainteresowani. Koniec sezonu oznacza nieobecność widowni.

Nie zrażało ich to. Julia Wernio, reżyser, dodaje: – Odrzuciliśmy od razu myślenie, że „są trudne czasy". Nie uważamy, że żyjemy w kraju lub czasie, w którym nie można tworzyć teatru.

Racje przetrwania Iwona określa, jak rodowita zakopianka: „Jeśli drzewo jest silne, to go żaden halny nie złamie". Ona jedna w zespole pochodzi z Zakopanego. Reszta to najczystsze „cepry".

To specyfika Tatr, twierdzi reżyser. Gdy żyjemy wśród górali, trzeba pracować: oni są twardzi. Obok stoją góry, które są wiecznością i dodają ducha. My w ogóle nie mamy etatów. Na początku, jak kto potrafił, tak żył – za pieniądze od rodziców, na pożyczkach, bardzo skromnie.

Nie było gdzie mieszkać, więc z początku spali na scenie. Potem dostali kilka miejsc w „Warszawiance". Hotel był już zamknięty przez Sanepid, palił się, a teraz trwa w nim remont.

– My się nie skarżymy – podkreśla Julia Wernio. – To wszystko było wliczone w koszty. Najważniejsze, że nikt nam nie powiedział „nie", że dostaliśmy nagrodę za działalność.

Odżegnują się od wszelkich posądzeń o „studenckość", „subkulturowość", nie chcą być odbierani jak „młodzieżowa komuna".

„To nie jest teatr amatorski, ale zawodowy" – wyjaśnia Iwona, „z przeproszeniem, artystyczny".

Na Chramcówkach był magazyn rzeczy przeznaczonych do kasacji: cztery sale zawalone gratami. Szczęśliwie nikt poza nimi nie interesował się tym miejscem. Graciarnia kryła ogromne, drzwi z kryształowymi szkłami i stylizowane kredensy wzdłuż ścian: odnowienie pomieszczeń wydobyło ich staroświecką urodę.

Jako Teatr imienia Witkacego zaistnieli w setne urodziny patrona. Zaczęli „Autoparodią", czyli „niesmacznym góralskoceperskim sketczem zakopiańczykom prawdziwym (?) poświęconym". Było też „Muzykowanie dla Stasia", filmy o Witkacym, wystawa jego malarstwa, gościnne występy teatrów ze sztukami Witkacego i „posiady" w towarzystwie witkacologów. Dlaczego Witkacy? Dorota Ficoń, szczupła, bardzo drobna blondyneczka, której nazwisko powtarza się na każdym afiszu, wyjaśnia: – Witkacy jest propozycją wartości. Dla nas ważny jest jego, wieczny bunt przeciw szarości, przeciętności. I przeniesienie dramatu w wymiar metafizyczny. Jego teatr jest kreacją, a nie upowszechnianiem kultury.

## Teatr – schronisko

Za bunt płaci się niepokojem: zespół nie ma stałych pensji, ubezpieczeń i nie liczy mu się staż pracy. Ciągle trochę na wariackich papierach, potrafili jednak zdobyć stałych przyjaciół. Nieżyjący już profesor Brzozowski zaprojektował scenografię do ich „Wielkiego teatru świata", lekarze dbają o nich za darmo, wspomagają artystycznie plastycy, a Klub Wysokogórski wsparł pieniężnie, gdy mieli nóż na gardle. Prawnie stanowią sekcję zakopiańskiego Towarzystwa Miłośników Teatru i co miesiąc na nowo podpisują umowy o pracę.

To nie przeszkadza, że pracują intensywniej niż jakikolwiek teatr w Polsce. W ciągu dwóch i pół lat istnienia zdążyli przygotować trzynaście premier i zagrać dla blisko siedemdziesięciu tysięcy widzów. Pod ich dachem odbyło się jedenaście wystaw, koncerty, recitale i „posiady". „Zawsze jesteśmy gotowi spotkać się i rozmawiać" – mówią. Chcą tworzyć „teatr-schronisko dla sztuk", różnych, gdzie jest miejsce na schodzenie się ludzi, którzy by „gadali ze sobą istotnie", jak pisał Witkacy.

Biletami zarabiają na kwatery, gaże, utrzymanie i remonty teatru – w pół roku spektakle przyniosły sześć milionów złotych. Całoroczna dotacja państwowa wynosi osiem.

Remont, zdaniem Iwony, stwarza bardzo niezręczną sytuację. Może tylko opowiedzieć, że dla nich żaden spektakl i spotkanie z widzem nie jest „kolejną parą butów", lecz świętem. Nic nie odbywa się bez aranżacji, celebrowania (czyli tak, jak dzisiaj).

Na „Gracza" Dostojewskiego, w adaptacji i reżyserii Julii Wernio, starszych państwa z domów wczasowych i turystów z plecakami prosto z gór, osoby w wieczorowych strojach i góralki w chustach wprowadza krupier anonsując u progu sali gry po nazwisku. W przerwie publiczność gra ostro w ruletkę na ruble. Granica między spektaklem a zabawą, między odbiorem tylko a aktorstwem, staje się płynna.

– Tu co dwa tygodnie przychodzi nowy człowiek – mówi Julia Wernio – nie ma widowni oklejonej. Czego byśmy nie wyczyniali, każdy spektakl musi walczyć o ten teatr.

Za „pomysłami" musi stać jednak wysokiej klasy aktorstwo. Bardzo dużo pracują. „Nam nie grozi możliwość rozleniwienia. Tutaj nikt nie przywiezie wojska ani szkoły", dodaje reżyser, z refleksją, że gdyby wszędzie aktorzy stanęli przed ryzykiem pustej sali – a tym samym braku gaży – myśleliby inaczej...

Podawanie herbaty („wszyscy o tym piszą, ty też napiszesz") istnieje trochę w ramach inscenizacji – opowiada Iwona – ale nie do końca. Tak jak w domu. Przychodzą ludzie zziębnięci, więc pytam, czy się nie napiją. Nam na tym, co robimy, w gruncie rzeczy po prostu bardzo zależy.

I dodaje: „Ale mówić o tym trochę wstyd. Tajemnica, która nas tutaj trzyma, przenika każdy nasz spektakl".

## Nie ma prawa być nudno

Teatr ma podstawową zasadę: spektakl musi być atrakcyjny. Grają Marlowe'a, Duncana, Calderona, Witkiewicza, Dostojewskiego, dadaistów, Gombrowicza – rzeczy potocznie uważane za literaturę trudną, tylko dla wyrobionego widza. Nie zakładają jednak z góry, że współczesny odbiorca to tępak i wtórny analfabeta. Widz odbiera teatr na wielu płaszczyznach. Wtedy „bariera intelektualna" nie istnieje. Atakowane są jego zmysły, wyobraźnia, poczucie humoru, wrażliwość.

Jednego wieczoru zastanie na Chramcówkach kabaret z doskonałymi tekstami i piosenką, maitre d'hotel wyznaczy mu stolik, a aktorka poda szklankę soku. Drugiego – żebracy poprowadzą go do kruchty, gdzie w kwadracie światła rozegra się dramat Abelarda i Heloizy. Kiedy indziej trafi na mieszczańskie salony albo – do piekła... Widzowie wybierają sobie spektakle.

Iwona Romanówna zobaczyła kiedyś „Wielki teatr świata" (prapremiera polska: Teatr im. S.I. Witkiewicza, 1986 rok, inscenizacja i reżyseria: Andrzej Dziuk) i „już została". Obejrzała od tamtej pory Calderona dwadzieścia razy. Za każdym razem z uczuciem: było, nie dostrzegłam, minęło. Zmienia się przedstawienie, ale nie intensywność gry aktorskiej. To jest jasne również dla widzów. Dlatego zawsze mają komplet.

## Stabilizacja?

Stabilizacja, to może ściana p-poż. – żartuje Julia Wernio – przybyła nam nieruchomość. Nie ma jednak mowy o stabilizacji artystycznej. I niech nikt się nie łudzi, że minie nam zapał i energia, bo pojawią się rodziny, dzieci... Są już rodziny i dzieci, są nawet psy.

Pod stołem kręci się jamnik Bungo, który niedługo złowi w „Warszawiance" sześćsetdwudziestądrugą mysz, i wyżlica Rolka. Sześcioletnia Alicja, odebrana wcześnie z przedszkola, zagląda przez szybę do sali prób i woła ojca. Za drzwiami brygada remontowa zmienia właśnie charakter zajęć.

Andrzej Dziuk znika za kotarą zostawiając w powietrzu śliwkowy zapach „Captaine'a". – Uwaga! Zaczynamy próbę. Gotowi? RAZ!!!

Odpowiada mu zwarty chór głosów. „Ojej, to będzie to, czego się boję" – mówi Alicja i odsuwa się od drzwi.

– „Duch się wytęża, ach! Kłębią się myśli od grozy i trwogi!" – bucha za drzwiami pieśń.

Próba trwa do drugiej w nocy. Siedzą na Chramcówkach, dopóki jest coś do zrobienia, wychodzą na obiad, wracają. Ich właściwy dom jest tutaj.

– Strasznie trudno takie proste rzeczy wyjaśniać – mówi Iwona. – „Mam poważny stosunek do pracy" należałoby powiedzieć. Kto w to uwierzy?

Dorota Ficoń, w trykocie i treningowej bluzie, przestępując z nogi na nogę czeka na swoją kolej, popija kawę: – Kiedyś pewnie zechcę coś mieć jakiś dom. Na razie są dwie szklanki na kwaterze, dwa talerze. To wszystko mieści się w sferze „niezwarzone". Ważne są stałe punkty odniesienia – dwa, trzy obrazy, z którymi się przeprowadzam, ważne, że wszyscy bardzo dużo gramy.

Przerywa. – Mam teraz trudne zadanie aktorskie, bardzo dynamiczne... Odstawia szklankę, skupia się.

Wyrzuca w górę ręce, woła, cała w świetle bijącym od drzwi: – „To ja! Prawo Łaski!!" – i wpada do sali. Zza kotary słychać teraz niejasne, pomieszane głosy. Po chwili scena się powtarza jak na ofiarowanym filmie. Do wieczora, jeszcze wiele razy.

* * *

– Jestem pełen podziwu dla zespołu – mówi Stanisław Kałamacki z Komitetu Miejskiego w Zakopanem. – Mianowicie, grają ambitnie. Nasza sympatia jest po ich stronie. Pokazali, co potrafią, a dopiero potem nieśmiało zauważyli: „nie mamy gdzie mieszkać". Optymistycznie chciałem powiadomić, jest biała decyzja wojewody o zatwierdzeniu statusu zawodowego teatru.

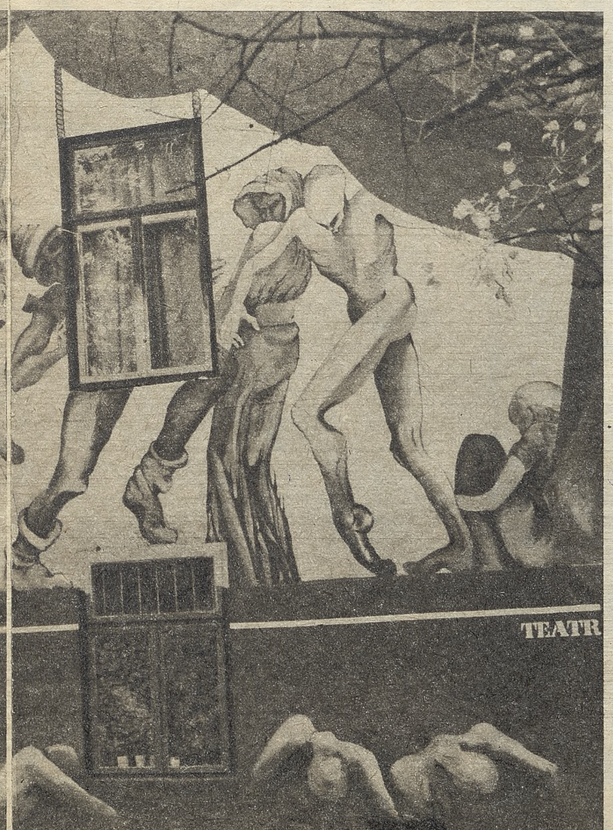
Wniosek złożony został dawno, dawno temu. Ale to trudna decyzja. Za nią idą finanse.

**Tekst i fot.**
**ALDONA KRAJEWSKA**

**Teatr im. S. I. Witkiewicza w Zakopanem tworzą Andrzej Dziuk, Julia Wernio (reżyserzy), Dorota Ficoń, Karina Krzywicka, Marta Szmigielska, Piotr Dąbrowski, Andrzej Jesionek, Krzysztof Łakomik, Krzysztof Najbor, Piotr Sambor, Lech Wołczyk (aktorzy) oraz Beata Wodecka, Jerzy Chruściński, Brygida Jesionek, Iwona Romanówna, Maciej Bielawski, Stanisław Ziemianek.**








NR. 301, NKA, 24, 25, 26, 27. 12. 1987, s. 3



# SKORO ŻYCIE MOŻE BYĆ TEATREM...

**Żyją szybko, spieszą się. Pracują, wydaje się, ponad siły. To musi powodować zmęczenie. Po nich tego nie widać, w dodatku wyglądają na... usatysfakcjonowanych. Powinni być w ciągłym stresie. Tego się nie odczuwa. Tyle, że po powrocie do hotelowego pokoju, już po przedstawieniu czy próbie, wiele czasu mija nim „odtają", nim wreszcie zasną.**

## AFISZ

Teatr im. St. Witkiewicza w Zakopanem uznaje się dziś za najbardziej fascynujące zjawisko artystyczne w teatrze polskim lat osiemdziesiątych. Tworzy go grupa 19 osób: 2 reżyserów, 9 aktorów, kierownik muzyczny, 4 pracowników technicznych i 3 administracyjnych. Adres: Profilaktyczny Dom Zdrowia im. T. Chałubińskiego, ul. Chramcówki 15; ilość miejsc na widowni od 40 do 150; cena biletów od 350 zł w górę. Grają codziennie (prócz poniedziałków) w sezonie letnim (lipiec — październik) i zimowym (grudzień — maj), w przerwach koncentrując się nad nowymi spektaklami. W ciągu niespełna trzech lat istnienia zaproponowali 12 premier. W sezonie odwiedza ich ok. 5,5 tys. widzów. Zawsze mają nadkomplety.

Są laureatami nagrody Wydziału Kultury Urzędu Miasta i Gminy Tatrzańskiej (1986), Nagrody Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego (1986), nagrody wojewody nowosądeckiego (1987) oraz tegorocznej ogólnopolskiej nagrody miesięcznika „Teatr" im. Konrada Swinarskiego.

W ostatnim czasie brali udział w Kaliskich Spotkaniach Teatralnych, w Międzynarodowych Spotkaniach Teatru Otwartego we Wrocławiu, w Konfrontacjach Młodych w Rzeszowie oraz w Słupskich Spotkaniach Teatralnych. Wszędzie witani z zaciekawieniem, przyjmowani z niedowierzaniem, żegnani porywającymi brawami.

## MIEJSCE AKCJI

Zakopane nigdy nie miało zawodowego teatru. Profesjonalni artyści ściągali pod Giewont już przed ponad stu laty. Ale zawsze były to występy gościnne. Od 1904 roku zaglądał tu często Teatr Miejski z Krakowa prezentując ambitny, romantyczny repertuar. W międzywojniu gościli w Zakopanem Juliusz Osterwa z „Redutą", Stefan Jaracz z „Ateneum" i kabarety z „Qui pro Quo" na czele.

Od lat działał także teatr amatorski, którego jeden nurt tworzyli górale, drugi — inteligencja. Teatr Formistyczny, założony przez Witkacego, choć przetrwał zaledwie kilka lat, bulwersował publiczność eksperymentem, dzielił na obozy, gdzie jedni wołali „autor", drudzy „hańba" i „precz". Zawsze pełna widownia „Morskiego Oka", gorące reakcje na każdą teatralną propozycję, recenzje i polemiki dowodziły potrzeby istnienia teatru w mieście.

Tradycje przedwojennego teatru inteligencji zakopiańskiej przejęło Towarzystwo Miłośników Teatru im. H. Modrzejewskiej. Scena o aspiracjach wysokich choć amatorska. Tworzyli ją m. in. Roman Brandstaetter i Ludwik Hieronim Morstin. Aktorzy byli zawsze nieprofesjonalni, ale reżyserią i scenografią zajmowali się już zawodowcy. Lecz od czasu, kiedy halny rozprawił się z salą w „Morskim Oku", towarzystwo jest bezdomne. Walczą o odbudowę, lecz zbywani są czczymi obietnicami. Nestor teatru i obecny prezes towarzystwa Bronisław Stefanik bezradnie rozkłada ręce. Projekt odbudowy od lat trzyma w szufladzie (z zawodu jest architektem) i raczej dziwić się należy, że jeszcze chce mu się nadstawiać głowę.

Przyjeżdżali do Zakopanego z myślą utworzenia teatru artyści z różnych stron kraju. Próbowali uczynić to członkowie Studia Teatralnego „Puławy", teatralna fuzja Tarnowa i Zakopanego marzyła się Ryszardowi Smożewskiemu, plany stworzenia sceny mieli reżyser Andrzej Maj i animatorka „Rabcia" Ewa Marcinkówna. Lecz dopiero Andrzejowi Dziukowi i jego grupie, wykształconych w szkołach teatralnych artystów, udało się po raz pierwszy w historii Zakopanego zapuścić tu korzenie. Teatr im. St. I. Witkiewicza jest pierwszą zawodową sceną pod Giewontem.

## SCENOGRAFIA

W górach zawsze było trudniej żyć. Ziemi niewiele. Każdy kęs pożywienia trzeba było wyrywać skalistej glebie. I może dlatego na wichrze i mrozie wyrośli ludzie tak śmiali i twardzi, a przy tym wrażliwi na surową pogodę, jak górale. O pięknie hal i turni śpiewali, o nim „krzyczeli". Nawet góralski taniec podobny stał się do orlego lotu. Drobny i krzesany najlepiej oddają radość z tego, iż potrafią się mierzyć z okrutną przyrodą.

Dla zakopiańczyków ta jedyna w swoim rodzaju dekoracja z gór groźnych i potężnych była zawsze urojoną i rzeczywistą zarazem przyjemnością przeżywania siebie w uniezależnieniu od wszelkich norm, zapadania się i... zakopywania. Szatańską przyjemnością — podkreśliłby Witkacy.

Dla grupy z Chramcówek góry są metafizycznym zapleczem. Teatru może nie być, ale góry będą zawsze. Mieli tego świadomość, gdy stanęli u stóp Tatr. One dają właściwą skalę porównania. Nie zmieni się nawet, jeśli wdrapią się na szczyty. Są tylko odniesieniem. Przywołują do porządku. Uczą pokory.

W pierwszych dwóch latach obecności w Zakopanem dużo chodzili po Tatrach, poznali prawie wszystkie ich zakątki. Dzisiaj czasu na to coraz mniej.

## PROGRAM

Wszystkie wyznaczniki programu artystycznego zbiegają się w jednym punkcie. Jest nim widz. Banalna to prawda, bo przecież teatr nie może bez niego istnieć. A jednak. Widza traktuje się tu z pełną powagą i należytym szacunkiem. Nie obraża się, nie okazuje wyniosłości, nie mówi się rzeczy trudnych i bez związku. Nie obniża się poprzeczki i nie daje taniej rozrywki. Przeciwnie. Teatr ten mówi o rzeczach istotnych i ostatecznych — życiu, śmierci, miłości. Z powagą, ale bez nadęcia, z dystansem i z humorem, i zawsze namiętnie i atrakcyjnie. Artyści tego teatru prowadzą spór ze światem, spór wyczulony na potrzebę chwili. Przedstawienia świadczą o świadomym i bardzo starannym doborze literatury, konwencji, poetyki, środków teatralnych. Jest przecież Calderon *(Życie snem, Wielki teatr świata)*, Marlowe *(Doktor Faustus)*, Dostojewski *(Gracz)*, Gombrowicz *(Historia)*, Witkacy *(Autoparodia)*, Tuwim i Słonimski *(Dziura)*, dadaiści i surrealiści *(Cabaret Voltaire)*. A przed kilkoma dniami dali według Sofoklesa *Np. Edyp*.

Jest więc kabaret i misterium, śmiech i poważna rozmowa, zabawa i gorzka ironia, dowcip i morał. Wielowarstwowa konstrukcja przedstawień daje szansę odbioru na różnych poziomach percepcji. Teatr ten ufa inteligencji widza, pomaga w odzyskaniu wrażliwości.

Decyzja wyjazdu na prowincję, bo tym w rzeczywistości jest Zakopane, była wyrazem buntu. Niegodzenia się na teatr, albo raczej to, co pod nazwą teatru funkcjonuje na większości polskich scen. W trakcie nocnych rozmów Polaków postawili swoją, młodzieńczą diagnozę — ten teatr jest martwy, ten teatr przestał stawiać sobie pytanie o własny sens, o cel swojego działania. Teatr przestał być traktowany w kategoriach sztuki. Są tylko realizacje, produkcje, programy, statystyka — teatr zatraca swoją godność i skuteczność. Ciemność i kurtyna stały się barierą lęku między scena a widownią. Postanowili udowodnić sobie i innym, że jest inaczej.

Nie chcieli dopraszać się o etaty, czekać na role, podporządkowywać się cudzym koncepcjom. Postawili na własną. Jednocześnie ich wolą nie było pokazywanie tylko własnego „ja". „Główna rola artysty — mówią — polega na służeniu, na tym polega jego wolność". I taką zawarli między sobą umowę — każdy odpowiedzialny jest za siebie, za swój artystyczny rozwój i każdy jest odpowiedzialny za teatr, który razem tworzą.

Wielu zastanawia się, jak długo Dziuk ze swoją grupą będą tworzyć w tak wysokiej temperaturze. Czy nie obniżą nigdy poziomu? A czy oni nie mają takich obaw? Na pewno, obawiają się stabilizacji i wszystkiego, co kryje się za tym słowem. Choć na razie nic na to nie wskazuje. Są tu z rodzinami, jest w teatrze sześcioro dzieci, nawet 3 psy i wiele zwykłych codziennych problemów.

Teatr jest dla nich miejscem świętym. W ich teatrze nigdy nie będzie maszynistów i sprzątaczek — wolą sami ustawiać dekoracje i zamiatać. Nie chcą przestawać z ludźmi, którym obca jest materia teatru, dla których nie ma znaczenia, co dzieje się na scenie. To by ich rozpraszało. Idealizm? Może, ale jakie piękne wydał efekty. Dzięki tej dodatkowej „nieartystycznej" pracy, teatr stał im się bliższy, bardziej własny. Na wszystko tu zapracowali, wszystko poświadczyli własnym trudem. I nie ma w tym nic z bufonady — tak wybrali. Uprzątnęli teren wokół teatru, szare ściany sanatorium pokryli malowidłami w szalonej witkacowskiej konwencji. Już trzykrotnie remontowali scenę i foyer. Zasiali trawę, posadzili kwiaty. Sąsiedzi zza płotu wzruszają ramionami, nawet czasem szydzą, ale u nich trawy jakoś nie ma.

A są przy tym dla samych siebie ciągle „nowi". Potrafią się cieszyć wzajemnym obcowaniem. Odkrywać siebie ciągle na nowo. Nawet grają dla siebie — przygotowują w tajemnicy przed kolegami drobne etiudy, chcąc zrobić niespodziankę a jednocześnie poddać je ocenie.

Jeśli nawet niektórzy z nich w przedstawieniu nie występują, są zawsze na widowni. Na widowni jest też zawsze Andrzej Dziuk. Nie ma dla nich przedstawienia ukończonego i tylko odgrywanego na użytek widzów. Każdy spektakl jest ryzykiem. Nie premiera, lecz właśnie każde powielenie. I okazuje się, że powielenia wcale nie ma. Widz, choćby to samo przedstawienie oglądał kilkakroć, zawsze znajdzie je innym.

## WIDOWNIA

Co roku w Zakopanem bywa parę milionów turystów. Ma Zakopane swoją liczną inteligencję. A jakie jest zapotrzebowanie na kulturę? Większość, co widać, zadowala się programem artystycznym podrzędnych dancingów. Nieliczni szukają po Zakopanem „ducha" Zaglądna do „Atmy", do Hasiora, BWA i nieśmiertelnego kina „Giewont". Ale jakie jest faktyczne zapotrzebowanie na sztukę? Tego nikt nie wie. Bo jak policzyć?

W Teatrze im. S. Witkiewicza postanowili zaryzykować — żadnych grup zorganizowanych. Jeden kupujący nie dostanie więcej niż 10 biletów. A jednak ciągle mają komplety widzów, a wielu zawiedzionych odchodzi od kasy. Lecz ilu potencjalnych chętnych istnieje? Oczywiście, na Droździe czy Pietrzaku też nadkomplety, w „monopolowym" również, więc żaden to wskaźnik.

Może właśnie dlatego im się udało, że zaczęli od pytania — czy są naprawdę potrzebni, podczas gdy inni skupiali uwagę na zabiegach formalno-instytucjonalnych? Po raz pierwszy przyjechali do Zakopanego z *Pragmatystami*, przedstawieniem, którego zamysł rodził się jeszcze w kole naukowym krakowskiej PWST. Tam poznawali się i dobierali zafascynowani artystyczną ekspansją i tajemniczym magnetyzmem Andrzeja Dziuka. On o teatrze mówił najpiękniej. Nie tylko zresztą o nim. O sztuce, filozofii, życiu i szukaniu w nim sensu. W jego słowach odnajdywali własne pragnienia.

Zamieszkali w Małem Cichem, próby odbywali w sali Miejskiego Domu Kultury, wracając na wieś, niejednokrotnie późno w noc. Było upalne lato 1984 roku, tłumy turystów przewalały się przez Krupówki, hotele i domy wczasowe tętniły gwarem i dancingową muzyką. Pierwsze dziesięć przedstawień zagrali w salach MDK, hotelu „Kasprowy" i na Chramcówkach. Trzy różne miejsca, prawdopodobnie więc różna widownia. Pytanie — kto przyjdzie? *Pragmatyści* byli sondą, która miała potwierdzić wybór Zakopanego, brali bowiem za przestrogę losy innych grup teatralnych. Z własnych kieszeni opłacali wynajmowane sale, stawiając tym samym na jedną kartę. Test wypadł pomyślnie, widownię mieli wszędzie. Wcześniej założyli, że ich istnienie zależy nie od akceptacji wewnętrznej, ale od akceptacji publiczności.

— Jej obecność była dla mnie wielką zagadką, teatr był przecież anonimowy, nasze nazwiska nikomu nic nie mówiły, i mimo że nie było strzałek, wskazujących drogę — wspomina Andrzej Dziuk — ludzie przychodzili. Przychodzili, a ja zadawałem sobie pytanie, czego oni chcą ode mnie, od nas, od naszego teatru. Musieliśmy więc określić, na jaki temat chcemy z nimi rozmawiać.

Wtedy także wybrali miejsce dla swojego teatru.



Fot. STANISŁAW MOMOT

## SCENA

Dom na Chramcówkach — jak się okazało, miał swoją bogatą tradycję spotkań, koncertów, biesiad i towarzyskich herbatek. Dziś mieści się tu Profilaktyczny Dom Zdrowia im. Tytusa Chałubińskiego. Do niedawna scenę i niewielką widownię wykorzystywały sporadycznie miejscowe organizacje społeczne dla odbycia konferencji czy posiedzeń, czasem próbowali krzesanego członkowie „Halnego", częściej panowała tu cisza, a pomieszczenia obok, z pięknym secesyjnym entouragem oszklonych drzwi, gdzie dziś goście teatru piją herbatę i które zamieniają się podczas widowisk w miejsce scenicznego „dziania się", były składowiskiem rupieci.

Ale wcześniej, po 1912 roku, kiedy doktor Chramiec wybudował zakład wodoleczniczy, zbierała się tutaj śmietanka towarzyska Zakopanego. Oni tworzyli atmosferę miasta. Później uczestniczyli w balach „futurystyczno-kostiumowo-maskowo-magicznych", nadawali ton działalności towarzystw kulturalnych, często nieformalnych jak np. „Pogotowie Ratunkowe Kultury Góralskiej" Karola Szymanowskiego.

Więc dziś koegzystencja Teatru im. St. I. Witkiewicza z Profilaktycznym Domem Zdrowia wydaje się wcale nieprzypadkowa. A Witkacy? Czy bywał tutaj, czy krążył po tej scenie? Na to pytanie odpowiedzieć mogą chyba tylko „witkacolodzy", ale to przecież nie jest najważniejsze.

## PATRON

Że Witkacy — teatr obrał go za patrona — to zrozumiałe. Życie — jak mówią — na nim zawiesili. Witkacy to dla nich nie błazenada, degeneracja, nie bebechy i maniakalność, nie striptiz i aluzja polityczna. Zajął ich swoją filozofią, teorią rozwoju społecznego, teorią kultury, historiozofią. Czy dochowują wierności jego rozumieniu sztuki? Sztuki jako absolutu? Nie. Nie są nabożni. Jest dla nich partnerem do rozmowy, partnerem do myślenia. Inspiruje artystycznie, jest wyzwaniem. Tutaj się z nim identyfikują, ale o ile na poziomie pytania identyfikacja się zaczyna, to zarazem i kończy. Odpowiedzi są już całkowicie ich własne. Wierni zresztą nie mogą być, skoro kwestionują jego katastroficzne pojmowanie sensu istnienia.

Jeśli więc cytują Witkacego, to takiego: *Dzieło sztuki powinno być tak tajemnicze w swojej prostocie czy komplikacji, jak tajemniczym jest każde żywe stworzenie, takie właśnie, a nie inne. Jak kwiat wyrasta z danej roślin, tak naturalnie powinno powstawać dzieło sztuki z człowieka.* Jeśli zawieszają jego portret, to nie „Wujcia z Kalifornii", nie „Profesora Pulwerstona" nie „Przerażenie wariata", lecz przedstawiający Witkacego głęboko zamyślonego.

Premierę przedstawienia *Witkacy — Autoparodia* dali 24 lutego 1985 roku, w stulecie urodzin Witkacego. To są też oficjalne narodziny teatru, inauguracja sceny na Chramcówkach. W czerwcu, podczas zorganizowanych przez teatr Zakopiańskich Prezentacji Artystycznych, głównej części obchodów Roku Witkacego odbyły się również osobliwe chrzciny sceny. Rodzicami chrzestnymi byli Anna Micińska i Janusz Degler.

## KASA

To diabelne ryzyko wziąć rodzinę, walizki i wyjechać dla marzeń w nieznane. I niezwykła odwaga, skupić wokół tej idei talenty, bez nadziei na hojność mecenasa. To szaleństwo wzięli do plecaków wspólnie. Teatr powstał twórczą wolą zespołu, bez decyzji administracyjnej. Jest dziełem ducha — nie urzędu.

Niestety urząd też ma swoje prawa. Musiał więc teatr zadbać o swój formalny status. I... jak dotąd ciągle funkcjonują na wariackich papierach. Wariackich, biorąc pod uwagę, że teatr to zawodowy, a więc między innymi mający dać pracownikom utrzymanie. Jedyną możliwością przycupnięcia pod Giewontem było wyszukanie instytucji, która swą osobowością prawną chroniłaby ich od częstych w tych rejonach wichrów i zamieci. Przygarnęło ich Towarzystwo Miłośników Teatru im. H. Modrzejewskiej. Z prawnego punktu widzenia wygląda to karkołomnie — stowarzyszenie stricte społeczne wzięło pod skrzydła „zawodowców". Teatr jest obecnie... działalnością gospodarczą (sic!) towarzystwa, tak to nazwano w oficjalnych dokumentach, zezwoleniach, księgowości. Czyli są czymś w rodzaju budki z prażoną kukurydzą.

Co dwa, trzy miesiące podpisują z towarzystwem umowę-zlecenie na odegranie konkretnej ilości przedstawień. Na tej podstawie z kasy towarzystwa wypłacane są im pieniądze, które zresztą pochodzą z dotacji „na teatr" UMiG, województwa a gdzieś tam u źródeł — Ministerstwa Kultury i Sztuki. Te znowóż pieniądze księgowane są w postaci osobogodzin. W zależności od tego, ile kto w tym czasie zagrał. Łatwo domyślić się, że to też fikcja. W teatrze nie kryją, że te „podzielone" pieniądze i tak trafiają do wspólnego garnka i jeszcze raz są dzielone, ale tym razem przez zespół. I według ustalonych przez nich zasad czyli.... po równo.

Oprócz sum pochodzących z dotacji (kilkanaście milionów) zespół też wnosi swoją działkę do kasy towarzystwa, na biletach zarobili w tym roku ok. 6 mln. Te pieniądze też, rzecz jasna, podlegają gimnastyce księgowej. Stąd ciągłe spory i nieporozumienia — kto ile dał, kto ile zarobił, kto za co zapłacił. Efekt tego taki, że w UMiG można usłyszeć, że ten zapłacił za hotele dla zespołu ponad 3 mln. W księgowości towarzystwa, że ono właśnie wyłożyło za hotele 3,5 mln. A w teatrze powiedzą, że na mieszkania odłożyli z biletów... 3 mln. I nikt tutaj — o dziwo — nie kłamie. Zabawne tylko, że za każdym razem chodzi o te same 3 miliony złotych.

Nawet osobista, wyrażana często wzajemna sympatia tych kilku kontrahentów nie zmieni faktu, że taki galimatias musi być też powodem konfliktów.

— Młodzi weszli tu przebojem — mówi Bronisław Stefanik — zdaniem niektórych nawet nachalnie, ale uczynili to rzetelną pracą. Zawsze będą budzili mój podziw. Cóż, skoro kłopotów też trochę z nimi mamy. Minister kultury może ich nagradzać, ale minister finansów może mieć zastrzeżenia do tej ciągłej improwizacji.

Jeśli nawet ktoś nie wie, co to teatr, i tak dostrzeże tu tylko jedno rozwiązanie — całkowite usamodzielnienie i uzawodowienie grupy.

## KLAKIERZY

Miasto od początku przyglądało się im podejrzliwie. W Zakopanem zawsze tak się traktuje nowych. Pokaż wpierw co potrafisz, o pomocy pogadamy później. Za darmo, na kredyt nie dadzą nic. Pół biedy jeśli tylko się przyglądają.

Jest zresztą Zakopane i tak dwoiste. Z jednej strony górale, z drugiej sporo napływowej inteligencji, lekarzy, literatów, architektów, plastyków. Oni też nie od razu zostali przez mieścinę przyjęci. A teraz bronią swojej odrębności, bronią swojej z górami wygranej. Nowych nie chcą. Im ich więcej, tym mniejszy sukces poprzedników.

Z czasem można wrosnąć w ten przedziwny ludzki zlepek, ale bywa, i dwadzieścia lat nie wystarczy. Wielu takich — obcych, starych zakopiańczyków. I każdemu nowemu powiedzą: spróbuj, powalcz, zobacz jaki to łatwy chleb.

Można wychwalać tych, których się zastało i liczyć na to, że wtedy pomogą. Można prowokować otoczenie, nie kryć się ze swymi myślami, obalać mity o prężności kulturalnej zakopiańczyków. Śmiać się w głos.

Zapytany przez nas o Teatr im. St. Witkiewicza Maciej Pinkwart, dziennikarz, kustosz „Atmy" powie: „W pojedynkę niewiele się zdziała, potrzebna jest grupa. I musi być cholernie wytrzymała. Tylko wtedy można wygrać z miastem. Bo Zakopane chce zjeść wszystkich nowych. Wcale też nie trzeba być silnym, nie w tym rzecz — trzeba być bardzo dobrym! Kultura upadła tutaj i wszędzie i tylko tacy ludzie jak oni są w stanie coś ruszyć. Jestem ich wielkim zwolennikiem".

Wszędzie stwierdzenie to samo — konfliktu żadnego nie ma. „Wszyscy ich podziwiamy, chętnie pomożemy". Tak, to prawda, na noże nikt nie walczy, ale czuje się wysokie ciśnienie. Bo to konflikt... pokoleń. Nikt nie lubi być spychany w cień. A teatr wstrząsnął miastem i jego inteligencją. Teatr jest głośny. Kto przyjeżdża do Zakopanego, chce widzieć Giewont, Krupówki i teatr. I może wcale nie w tej kolejności.

Trzy lata wystarczyły by zakwestionować kulturalny ruch w mieście. Zdeprecjonować kilkudziesięcioletnią pracę innych.

Ale od tego właśnie są młodzi.

Przygląda im się nie tylko Zakopane. Patrzy cała teatralna Polska. Pewnie zafascynowani są tym „tworem" wyniesionym ostatnio przez krytyków na szczyty. Oczywiście, na początku przyglądali się z niedowierzaniem, podśmiewali się z małolatów. Teraz też niemało plotkują, próbują ośmieszać, dyskredytować niewątpliwy sukces. Po prostu zazdroszczą. Czego? Pewnie odwagi.

Teatr Dziuka parę razy wyruszał w Polskę. Tam mieli okazję spotkać się z konkurencją. I co? Ano... konkurencja milczała. Podobno było to milczenie życzliwe.

## KULUARY

Dzisiaj przyjaciół mają wielu. Ale pierwszą osobą w Zakopanem, która im zaufała była pani Zofia Romanowa. Matkowała im, podtykając coś do zjedzenia w chwilach biedy, gdy nie mieli gdzie się podziać przygarniała do „Halnego". Pokochała ich też dr Danuta Haczewska, pediatra, która na swoją głowę wzięła ich zdrowie. Tym to cenniejsze, że teatr nie zasłużył, jak się okazuje, na ubezpieczalnię.

Tadeusz Brzozowski... Jak go wspominać — jak o nim pisać? „Moją wielką miłością jest Teatr im. Witkiewicza — napisał kilka miesięcy przed śmiercią. Oby trwał jak najdłużej! Oby był coraz doskonalszy! Życzę teatrowi, który kocham, dużo, dużo dobrej roboty". Przychodził na Chramcówki jako widz, miłośnik sztuki teatralnej, artysta, partner, później już jako przyjaciel zespołu. Kiedy wchodził, robiło się jaśniej — wspominają. Był autentycznie zafascynowany ich pracą. — Chciałbym, abyście zaśpiewali na moim pogrzebie — powiedział kiedyś żartem. Życie niedługo potem miało spełnić to życzenie.

Wystawą rysunków Tadeusza Brzozowskiego z lat 1980—85 zatytułowaną „Figurynki k... i żałośliwie" upamiętnili jego obecność w teatrze. Spotkali się tu przyjaciele artysty — Urszula Czartoryska, Maciej Gutowski, Jan Józef Szczepański, Stanisław Rodziński, Władysław Stróżewski, Jacek Woźniakowski, Janusz Zagrodzki, wystąpili Antoni Pilch z Capellą Cracoviensis pod dyr. Stanisława Gałońskiego. Sprowadzili także dwa filmy z udziałem artysty, w końcu pokazali jego ostatnia scenografię w „Wielkim Teatrze Świata".

Teatr realizuje swój program artystyczny nie tylko poprzez spektakle. Ma swoją galerię, gdzie prócz Brzozowskiego prezentowali swoje prace artyści tej miary co Jonasz Stern, Janina Kraupe, Stanisław Rodziński, Andrzej Wajda, Zbigniew Karpiński. Muzykowali: Tomasz Stańko, Krystyna Prońko, Marek Grechuta i Olga Szwajgier, „Muzykowanie dla Stasia" w setną rocznicę urodzin patrona, zespoły muzyki orientalnej — „Atman" i „Raga Sangit". Koncerty i wernisaże są tu zawsze pretekstem do spotkań z artystą, zamieniają się w posiady, rozmowy istotne, wywodzące się z tradycji góralskiej i witkacowskiej.

## DIDASKALIA

Chcą, aby ich teatr był... schroniskiem. Żeby było się gdzie schować przed deszczem i wichurą. Wichurą naszych czasów. Ma być schroniskiem dla ludzi, którzy odczuwają potrzebę myślenia, którzy zdają sobie sprawę z własnej niewiedzy. Którzy chcą tę niewiedzę pokonać. Którzy potrafią rozmawiać i pytać innych. Którzy rozumieją, że odpowiedź łatwiej znaleźć wspólnie.

To ma być schronisko dla wszelkich teatrałów, dla człowieka. Ale też ma być schroniskiem dla... sztuki. Tej uniwersalnej, będącej dialogiem między człowiekiem i światem. Sztuki, która pomoże umiejscowić człowieka w tym świecie. Sztuki, która pozwoli ze światem się komunikować.

Schronienie daje się więc ludziom i teatrowi.

## KULISY

Jacy Wy wszyscy ładni — mówił Brzozowski. W ich oczach jest szczęście. Radość tworzenia. Radość istnienia. W ich oczach jest spokój i satysfakcja. Świadomość właściwie obranej drogi. Ten spokój emanuje na gości teatru. A gościnność nie wynika tylko z teoretycznego założenia. Oni mają ją w sobie.

Andrzej Dziuk jest inny. Sprawia wrażenie wiecznie skoncentrowanego. Tak jakby bez przerwy rozważał czy przyjęta przez nich forma „bycia" jest właściwa. Gdy porusza się wśród nich, odnosi się wrażenie, że jest czemiś przy ich bieli, chłodem przy ich cieple, napięciem przy ich spokoju.

Oni to napięcie szanują do granic możliwości. Jest ich bezapelacyjnym liderem.

**Mówi się często, że sztuka nie znosi demokracji, że musi być jakiś dyktat. Teatr im. St. Witkiewicza jest właśnie tego przykładem. Zespół określa to trochę inaczej. Mówią: „Ten teatr to nasze gospodarstwo, tu wszyscy pracujemy, z niego się utrzymujemy, ale w naszym gospodarstwie gazduje Andrzej".**

ELŻBIETA TOSZA
PRZEMYSŁAW OSUCHOWSKI

Ewa Gałązka, Stateczni i zbuntowani. Tyg. Nie, str. 4



Dorota Ficoń, Lech Wołczyk i Andrzej Jesionek w „Kabarecie Woltera" Zdjęcie: Wojciech Plewiński

XVIII Warszawskie Spotkania Teatralne

# Stateczni i zbuntowani

Czy młodość, zapał, upór i talent wystarczą, by stworzyć teatr? Teatr do którego publiczność idzie z wewnętrznym przekonaniem, że będzie świadkiem niecodziennego zdarzenia, chociaż nie, że będzie uczestniczyć w niecodziennych zdarzeniach. Teatr, do którego publiczność wraca i chce wracać? Okazało się, że wszelkie instytucjonalne deklaracje głoszące chęć „naprawy" teatru, narzekania, apele ludzi ze środowiska: aktorów, reżyserów, krytyków pozostają tylko na papierze. Tymczasem młodzi ludzie, absolwenci Wydziału Aktorskiego i Wydziału Reżyserii Dramatu krakowskiej PWST bez wielkiego zadęcia i wielkiej pompy udowodnili swoją pracą, poważnym podejściem do życia i sztuki, że taki teatr jest możliwy. Oni — grupa urzeczywistnili to co czują także inni, tyle że w pojedynkę... bezsilni: stworzyli teatr!

Za swoją twórczość Andrzej Dziuk i jego zespół, Teatr im. St. Witkiewicza z Zakopanego, otrzymali w ubiegłym roku nagrodę im. Konrada Swinarskiego przyznawaną co roku przez miesięcznik „Teatr". Dla porównania przypomnijmy, że laureatami tej nagrody w kolejnych sezonach byli: Janusz Wiśniewski, Krzysztof Babicki, Janusz Nyczak, Tadeusz Bradecki. Trzy spektakle nagrodzonego zespołu znalazły się w programie tegorocznych Warszawskich Spotkań Teatralnych, prezentujących najciekawsze dokonania teatrów pozawarszawskich, zaś coraz głośniejszy zespół z Zakopanego wzbudził szczególne zainteresowanie.

Tegoroczne spotkania przebiegały pod znakiem klasyki polskiej i obcej, a jedynym reprezentantem współczesnej dramaturgii był „Scenariusz dla trzech aktorów" Bogusława Schaeffera w reż. Mikołaja Grabowskiego. Mecenasem tego spektaklu jest krakowska Galeria STU. Zarówno ten spektakl jak i „Sztukmistrz z Lublina" z wrocławskiego Teatru Współczesnego były już omawiane na łamach „Tak i Nie", a recenzja „Wesela" St. Wyspiańskiego z poznańskiego Teatru Nowego w reż. Izabelli Cywińskiej również się ukazała; tak więc jedynie sygnalizuję obecność tych przedstawień na XVIII WST.

### KLASYKA

Inscenizacje tegoroczne pozwalają wyrazić opinię, iż współczesny reżyser teatralny stara się odczytać i zinterpretować dzieła z minionych epok tak, by wydobyć uniwersalne treści utworu w kontekście doświadczeń naszych czasów. Najmniej udaną próbą zmierzenia się z klasyką był „Tytus Andronicus" Szekspira w wykonaniu zespołu Teatru im. S. Jaracza z Łodzi. Spektakl w reż. Macieja Prusa był polską prapremierą tego utworu. Sam zamysł rozegrania krwawej tragedii (zaledwie jeden bohater spośród kilkunastu uchodzi z życiem) w przestrzeni sceny obitej czarnym suknem, rozgraniczanej metalicznymi płaszczyznami, połyskującymi zimnym blaskiem (scenografia Doroty Banasik-Bielskiej) sugerował beznamiętność relacji, odrealnienie krwawej opowieści i zredukowanie jej do metafory odwiecznej walki dobra i zła w scenerii zimnego, obojętnego świata. Temu zdawały się służyć kostiumy i zakomponowanie ruchu scenicznego: kolorystyczne przeciwstawienie grupy Tamory — czerń, grupie Tytusa — biel, a także patetyczna muzyka Janusza Stokłosy. Jednak już w połowie I aktu umowność pryska i przechodzi w jakiś groteskowy (?) pseudorealizm, tak że zbrodnie „popełniane" na scenie miast budzić grozę — śmieszą.

Spośród 10 spektakli WST aż trzy przedstawiały świat, który jest już pewną zamkniętą epoką, świat, który już nigdy nie powróci — świat żydowski z jego specyficzną kulturą, obyczajami, tradycją. Poza wspomnianym „Sztukmistrzem z Lublina" oglądaliśmy „Zmierzch" Izaaka Babla w wykonaniu zespołu Teatru im. W. Horzycy z Torunia i „Republikę marzeń" wg prozy Brunona Schulza ze Starego Teatru z Krakowa. W spektaklu wyreżyserowanym przez Krystynę Meissner wyrównana gra zespołowa pozwoliła wydobyć różnorodność postaci Bablowskiego „Zmierzchu", przedstawić fragmenty tętniącego życiem, choć przemijającego świata. Bardzo ciekawym zabiegiem formalnym było „dopisanie" psalmów i fragmentów „Pieśni nad pieśniami". Intonowane w charakterystycznym, żydowskim zaśpiewie puentowały kolejne sceny I aktu. Śpiewające postacie pojawiały się w błękitnej poświacie, na wysoko umieszczonych podestach. Zabieg ten pozwolił na wyraźniejsze zderzenie świata, który odchodził, świata niewzruszonych, odwiecznych prawd i wartości ze światem, który miał nadejść: chaosu, anarchii i zagłady.

Ambitnego, lecz nieomal niemożliwego przedsięwzięcia podjął się natomiast Rudolf Zioło, chcąc na podstawie kilku wątków opowiadań Brunona Schulza przywołać w teatrze wyobrażenia niezwykłej prozy tego pisarza. Przebogata, piętrząca się i rozlewająca w labirynty znaczeń materia słowa Schulza, inspirująca i zapładniająca wyobraźnię jest niemożliwa do przeniesienia na scenę. Jedyne co można zrobić, to uchwycić aurę, nastrój. Właściwie najbliższym tej prozie byłby spektakl wizji i ruchu, w którym ogromne pole do popisu miałby operator światła, to gubiąc, to kąpiąc w blasku działania postaci z opowiadań Schulza, tworząc niepokojące oniryczne sceny, które nagle wynurzają się z niebytu i równie nagle są pochłaniane przez ciemność. Jest w tym spektaklu próba ukazania takich światów, niektóre sceny są bardzo poetyckie, wręcz malarskie, ale w żaden sposób nie mogą dobić się metafory świata ukazanego przez Schulza. Spektakl, który zobaczyliśmy, był jakby odwróceniem porządku — powrotem do punktu wyjścia prozy autora „Sklepów cynamonowych": zdarzenia, sytuacje i obrazy oglądane oczami małego Józia i dorosłego mężczyzny (Jacek Romanowski) sugerowały to co było i mogło stać się tworzywem zachłannej wyobraźni pisarza, jednak nie tworzą zwartego scenicznego fresku, pomimo scenicznej wirtuozerii poszczególnych obrazów.

Stary Teatr przywiózł także inny wspaniale zagrany spektakl: „Wiosnę Narodów w Cichym Zakątku" Adolfa Nowaczyńskiego w reż. Tadeusza Bradeckiego. Przedstawienie na pograniczu komedii i farsy, wytykające narodowe przywary (aktualne do dziś niestety) jest rozprawą z patosem narodowych, romantycznych mitów. Bradecki sekunduje celnie satyrycznej pasji Nowaczyńskiego, ale zarazem pilnie przestrzega, by spektakl był nie tylko szyderczo-pamfletowy. Z nutą ciepła i sympatii przedstawia bohaterów narodowościowego „zrywu". Z ich słabostkami, ambicjami, małością, narodowym zadęciem: są śmieszni, ale czy godni pogardy? Ten rys pochylenia się nad człowiekiem zanurzonym w społecznych i politycznych uwarunkowaniach jest dla tego reżysera bardzo charakterystyczny. I jeszcze jedno. Widać, że w tym zespole aktorzy lubią grać, niosą ich wspólne emocje. Komediowo-wodewilowa konwencja w połączeniu z doskonałym aktorstwem zespołu, na którego znakomitym tle błyszczą Anna Polony, Jerzy Grałek i Tadeusz Huk oraz dojrzała reżyseria Tadeusza Bradeckiego, rozgryzającego gorzką pigułkę narodowego patosu, daje efekt znakomity.

### ZAKOPIAŃCZYCY

Osobnym, odrębnym rozdziałem WST były występy wymienionego już Teatru im. St. I. Witkiewicza z Zakopanego. Ten odważny, poszukujący zespół zaistniał poprzez bunt, powstał z niezgody na teatr martwy, formalny. A kiedy jest się zbuntowanym, to można dużo wytrzymać (nie chcę zatrzymywać się przy kłopotach i problemach zespołu natury administracyjnej, finansowej i mieszkaniowej, ponieważ opisywane były już niejednokrotnie).

Bunt nie może jednak być celem samym w sobie. Musi tworzyć nowe wartości. I ten teatr je tworzy. Oczywiście wartości są odwieczne, „stare", tylko że oni je stwarzają „na nowo". A odpowiedź lidera zespołu, kierownika artystycznego teatru, Andrzeja Dziuka, na zarzut, że wszystko co robią już było jest prosta: „Tak, to prawda. Ale mnie nie było. Nas nie było". No i są, zaistnieli, spełniają się w tworzeniu nowej wartości, nie tylko teatralnej. W ciągu 3 lat dali aż 14 premier, spektakli charakteryzujących się starannym doborem tworzywa literackiego. Zorganizowali 11 ciekawych wystaw (m.in. Jonasza Sterna, Tadeusza Brzotowskiego, Janiny Kraupe, Andrzeja Wajdy), zapraszają muzyków, organizują recitale fortepianowe i wokalne, koncerty połączone z improwizacjami teatralnymi. W setną rocznicę urodzin patrona swojego teatru zorganizowali Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne, z bogatym blokiem imprez towarzyszących. Teraz marzy im się zorganizowanie czytelni z kompletem dzieł Witkiewicza, klubu dobrego filmu, a może nawet Muzeum St. I. Witkiewicza w „Witkiewiczówce" na Antałówce. Teatr chce być schroniskiem dla ludzi związanych z teatrem, chce stworzyć w Zakopanem Centrum Sztuki i trzeba przyznać, że dąży do tego konsekwentnie.

Skuteczność teatru, czy w tym wypadku zespołu, polega między innymi na uporczywych poszukiwaniach, zmaganiu się z materią teatralną w nieustannej ewolucji przedstawień, które ciągle są udoskonalane, żyją wraz z zespołem i zmieniają się pod wpływem ich doświadczeń. Wszystko to wzmacnia siłę kreacyjną tego teatru i wiąże z sobą jego członków. Ten zespół nie tylko razem pracuje nad kształtem spektaklu, ale dyskutuje nad kolejną propozycją, wykonuje elementy scenografii i kostiumów, nawet sprząta oraz częstuje widzów „czym chata bogata". I nie wynika to z niedostatków natury finansowej. Jest to świadome założenie wspólnej odpowiedzialności za kształt i funkcjonowanie teatru. Częste spotkania z widzami nie są tylko kokieterią: wszystko co zakopiańczycy robią ma jeden cel: uzyskać akceptację publiczności. Dlatego słuchają uwag, chcą dyskutować, a przede wszystkim doskonalić swój teatr, który jest dla nich formą istnienia. Takie myślenie o teatrze daje oczywiście efekty, toteż spektakle, które prezentują, mają ogromną, wyczuwalną siłę kreacyjną i prowokują do myślenia.

Zespół na spotkania teatralne do Warszawy przywiózł 3 spektakle: „Witkacy-autoparodia", „Np. Edyp" i „Cabaret Voltaire"; każdy wart obejrzenia. Dla wartości, które niesie, dla ciekawej formy, dla tematów, które podejmuje. Jest w tych spektaklach humor i powaga, ironia skłaniająca do refleksji ale i mądra zaduma. Naturalną konsekwencją tak pojmowanego teatru jest obecność nurtu misteryjno-moralitetowego. Misterium proponuje określony porządek świata, ładu moralnego i etycznego, stawia człowieka wobec spraw ostatecznych — miłości i śmierci. Misterium „Np. Edyp" nawiązuje do tradycji greckiego teatru. Maska, koturn, widownia usytuowana jak w amfiteatrze. Głównym bohaterem uczynił Andrzej Dziuk chór, który usytuowany na kręgu ofiarnym komentuje oraz reaguje gwałtownie gestem, tańcem, krzykiem i lamentem na wydarzenia. Wokół kręgu pełzną żywe węże, które wprowadzają grozę i są zapowiedzią tragedii, ale symbolizują także greckich bogów, którzy się w węże przemieniali. Finalne zrzucenie kostiumów i taniec aktorów wokół ofiarnego kręgu, który spłynął krwią, ma się oczyszczenia, katharsis. Oglądany spektakl był przywieziony tuż po premierze i raził jeszcze pewnymi niedopracowaniami. Rosnące napięcie rozładowała — niestety w negatywnym sensie — scena samobójstwa Jokasty, która leżała ociekając krwią, a nad nią niewyraźnie zawodził Edyp obficie przyciskając sobie do oczu czerwoną maź.

Nie miałam natomiast najmniejszych oporów oglądając znakomity „Cabaret Voltaire", w którym trójka aktorów: Dorota Ficoń, Lech Wołczyk i Andrzej Jesionek perfekcyjnie interpretowali dadaistycznych poetów. Zachwyt widowni był ogromny. Pod koniec piosenkę P. Eluarda „Kobieta z którą żyję" wraz z Andrzejem Jesionkiem śpiewała cała widownia. Także „Witkacy-autoparodia", mimo że oglądany przeze mnie po raz trzeci, z niezmienną świeżością bawił, zaskakiwał, zastanawiał, uwodził.

Tegoroczne spotkania udowodniły starą prawdę, że teatr wymaga odczuwania wspólnych emocji, tu nie da się ukryć fałszywego gestu i nieprawdziwych wzruszeń. Stary Teatr i Teatr z Zakopanego są tego żywym przykładem.

**EWA GAŁĄZKA**

## Z cudzych szpalt

*Badania przeprowadzone na przełomie lat 50. i 60. przez E. F. Denisona nad czynnikami rozwoju gospodarki amerykańskiej wykazały, że do najważniejszych należą: wykształcenie i postęp w zakresie wiedzy ludzkiej. Te dwa elementy dawały aż 43 proc. wzrostu realnego dochodu narodowego w okresie 1929—1957.*

*Z innych badań tego autora wynikało, że ten sam czynnik doprowadził w ciągu trzech zaledwie lat (1950—1952) do zwiększenia się dochodu narodowego: Belgii o 15 proc., Francji o 6 proc., Norwegii o 7 proc., Wielkiej Brytanii o 12 proc., Włoch o 7 proc., USA o 15 proc. Te i inne obserwacje badawcze oraz doświadczenia i praktyki doprowadziły w latach sześćdziesiątych do kilku ważnych ustaleń, dotyczących skuteczności zarządzania różnego typu organizacjami, w tym przede wszystkim przedsiębiorstwami. Te ustalenia obowiązują do dzisiaj. Przez prawie trzydzieści lat były one rozwijane i nic obecnie nie wskazuje na ich zmianę.*

*Najpoważniejszym z owych ustaleń było uznanie wiedzy ludzkiej jako czynnika produkcji w wielu przypadkach ważniejszego niż surowce, materiały, kapitał. Ta konstatacja znalazła swój praktyczny wyraz szczególnie po kryzysie naftowym lat 1973/74, kiedy to kraje gospodarczo wysoko rozwinięte uczyniły ten czynnik kluczem do reorientacji strategicznej gospodarek. Reorientacja ta polegała na gwałtownym wycofywaniu się z przemysłów „kominowych" na rzecz przemysłów, gdzie wkład wiedzy ludzkiej jest istotny w 80 i więcej procentach. Polegała także na zastosowaniu tej wiedzy w walce o oszczędność wszystkich czynników produkcji.*

**Bogdan Wawrzyniak**
**„PRZEGLĄD TYGODNIOWY"**

*Rozchodziły się drogi kolegów z październikowych wieców studenckich. Jedni przechodzili od partyjnej krytyki do opozycji, inni zaangażowali się w politykę partii — w uczelniach, prasie, w aparacie władzy. Wśród tych drugich także narastała niecierpliwość. Napotykali na bariery w działaniu i w awansie. Nie chcieli dłużej czekać na przeciągającą się pokoleniową zmianę warty. Chętnie więc wiązali się z tym programem, który obiecywał im jakiś ruch. Podatni byli na jego uzasadnienia, przejmowali jego hasła — niektórzy z przekonania, niektórzy z wyrachowania.*

*Swą wiosnę — nie tylko w Polsce — miało pierwsze powojenne pokolenie, nie obciążone doświadczeniami poprzedników, myślące ideami, uwrażliwione na każdy fałsz, buntujące się przeciw zastanej rzeczywistości.*

*W marcu połączył się i pomieszał autentyczny protest społeczny przeciwko metodom rządzenia wyrażany przez studentów i środowiska inteligenckie z grą polityczną; poszukiwanie dróg wyjścia z kryzysu z manipulacją; dążenie do reform socjalizmu z tendencjami antysocjalistycznymi; rewaloryzacja narodowych tradycji z nacjonalizmem.*

*Rok 1968 nie spełnił wszystkich oczekiwań sił sprawczych tamtych wydarzeń — ani opozycjonistów, ani arywistów.*

*Jeszcze tym razem Gomułka zdołał wyjść z konfliktu obronną ręką. Zostały mu dwa lata.*

*Została spuścizna Marca: niesława hecy antysemickiej, pogrzebana na lata reforma socjalizmu w Polsce, skłócenie inteligencji z klasą robotniczą, ludzka krzywda.*

**Zbysław Rykowski, Wiesław Władyka**
**„POLITYKA"**

*Kiedy ruszyło laboratorium przy Instytucie Sportu, raptem wyszła na jaw prawda zatrważająca: jeśli załamujemy dziś ręce nad polskim sportem, pamiętajmy, że w dużej mierze wyjałowił go doping. Niektóre dyscypliny nieomal doszczętnie. Weźmy podnoszenie ciężarów. Po zakończeniu ligi badaliśmy wszystkich sztangistów. Byłem przygotowany, że wielu z nich ma nieczyste sumienie, ale takiej ilości pozytywnych próbek nie przewidziałbym w najczarniejszej prognozie. A przecież było już po zakończeniu ligi więc wyobraźmy sobie, co działo się wcześniej. Efekt? Przed piętnastu laty średnia wyników osiąganych w tej dyscyplinie była wyższa niż dziś. Padło, co prawda, parę indywidualnych rekordów, ale kosztem potwornej krzywdy dla zdrowia.*

*Zresztą korzenie zła sięgają o wiele głębiej. Od lat trenuje się naszą młodzież w systemie spartakiadowym. Posiada on tę kardynalną wadę, że zmusza trenerów do rozliczania się z wyników na krótką metę. Wyciskają więc z juniorów, ile się da, przekraczają nierzadko wszelkie granice. Na porządku dziennym jest podawanie podopiecznym rozmaitych niebezpiecznych środków farmakologicznych, nie bacząc na ryzykowne skutki organiczne i sferę psychiczną młodych zawodników. W rezultacie, zanim junior osiągnie wiek dojrzały bywa doszczętnie wyeksploatowany bezmyślnie intensywnym treningiem. (...)*

*— Jeśli idzie o doping klasyczny, krótkotrwały, to nie ma sposobu, by się wykpić. Zaaplikowanie środka pobudzającego ma sens jedynie tuż przed zawodami, a ponieważ na każdej większej imprezie zawodników się kontroluje, każdy spektakularny sukces kończy się również spektakularną klapą.*

*Trochę inaczej rzecz się ma ze sterydami anabolicznymi, dającymi przedłużony efekt dopingowy. Można je wykryć w moczu w zasadzie tylko w ciągu kilku tygodni, najwyżej dwóch miesięcy. Bywa, że już po kilku dniach nie ma po nich śladu. Teoretycznie, wystarczy więc odstawić je w porę i nic nie robić sobie z kontroli. Pozornie, bo owe związki równie dobrze potrafią tkwić długie miesiące w tkance tłuszczowej i wątrobie, przy czym w każdej chwili może nastąpić raptowny ich wyrzut pod wpływem jakiegoś niewinnego leku — na przykład po połknięciu pigułki nasennej. Niejeden zawodnik wpadł w taki sposób.*

**Z dr. Markiem Daniewskim, kierownikiem Laboratorium Kontroli Dopingu w Instytucie Sportu w Warszawie rozmawia Dariusz Liwanowski**
**„PERSPEKTYWY"**

# NA ULICY CHRAMCÓWKI



**Panowie artyści nie mierzcie w sztukę, lecz w ludzi – wtedy zrobicie sztukę – Witold Gombrowicz**

W Zakopanem drogę na ulicę Chramcówki wyznaczają bezbłędnie różnego formatu strzałki z napisem „Teatr", albo „Teatr im. St.I. Witkiewicza", i „Zapraszamy", „Serdecznie zapraszamy". Im bliżej siedziby tym wyraźniej widać, że teatr tuż, tuż.

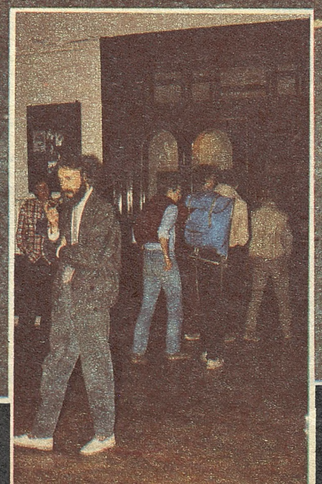
Ściany starych budynków gospodarczych, płoty wyglądają jak plansze reklamowe efektownie zamalowane, zdobne w wielkie kompozycje malarskie. Trzeba jeszcze przejść przez wielką, drewnianą werandę i już jest się we wspaniałym przestronnym hallu starego sanatorium doktora Chramca, w którym bawili i Tetmajer i Zapolska, i oczywiście, Witkacy. Hall powiększają wieloskrzydłowe z kryształowym szkłem drzwi. Prowadzą one do następnych pomieszczeń, które wedle potrzeby bywają – poczekalnią, salami recepcyjnymi i miejscem działań aktorskich. Z głównego hallu jest również wejście do właściwej sali widowiskowo-koncertowej, która wiele, wiele lat temu służyła pacjentom-gościom doktora Chramca, a dziś służy widzom-gościom teatru.

*

O tym teatrze już głośno w całym kraju, chociaż placówka młoda, mająca za sobą niewiele ponad dwa lata pracy. Głośno, bo młodzi artyści zaczynali wprawdzie bez pieniędzy, dotacji, siedziby, poparcia – ale za to od razu z ogromnym rozmachem. Postanowili, że stworzą w Zakopanem centrum sztuki, czyli teatr-schronisko dla bardzo różnej działalności artystycznej. Miał być teatr i galeria; teatr i gościnne występy innych zespołów; teatr i koncerty; teatr i „posiady" czyli odczyty, dyskusje, spotkania. Miało być i jest. Stulecie urodzin patrona teatru fetowano w gronie wybitnych witkacologów. Z tej okazji zorganizowano pierwsze Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne, w których wzięły udział teatry z Warszawy, Łodzi, Krakowa. Pokazywano filmy o Witkacym, malarstwo Witkacego, projekty plakatów do sztuk Witkacego. A wszystko to działo się zaledwie w cztery miesiące po pierwszej inaugurującej działalność zakopiańskiego teatru premierze.

Teatr powstał 24 lutego 1985 roku – dokładnie w setną rocznicę urodzin Stanisława Ignacego Witkiewicza. Tego dnia zagrano po raz pierwszy „Autoportret". Ten „niesmaczny skecz góralsko-ceperski Zakopiańczykom (prawdziwym?) poświęcony", rozgrywano w trzech pierwszych pomieszczeniach – hallu-foyer. Ubrani w kostiumy aktorzy witali widzów-gości u progu swej siedziby. Częstowano przybyłych herbatą, ciasteczkami. Sadowiono ich wielkim kotem na krzesłach, a jak krzeseł zabrakło, na podłodze i rozbawiano prześmiesznym tekstem, świetnie podawanym, z werwą, ogniem granym, zyskując pełny aplauz widowni.

Tak to się oficjalnie zaczęło. Chociaż właściwym początkiem całego przedsięwzięcia było przedstawienie „Pragmatystów" Witkacego. Wówczas jeszcze studenci krakowskiej szkoły teatralnej przygotowali ten spektakl z zamiarem zagrania go i poza murami uczelni. Działo się to w 1984 roku, latem. To wtedy cała grupa przyjechała do Zakopanego i ku uciesze miejscowych, turystów, wczasowiczów grała aż trzynaście razy. Podobali się. A im Zakopane – pozbawione stałego, profesjonalnego, prawdziwego teatru – wydało się idealnym miejscem dla realizacji własnych, wielkich planów artystycznych.





Kiedy przyjechali w rok później, już z dyplomami i planem pracy – właściwie nikt tu na nich nie czekał. Więc sami, własnym sumptem, za własne pieniądze przygotowali pierwsze przedstawienia. Trochę dobrzy ludzie pomogli. Ktoś wynajął tanie pokoje, aby artyści mieli gdzie spać. Udostępniono im w starym sanatorium (obecnie Profilaktycznym Domu Zdrowia im. dra Tytusa Chałubińskiego) pomieszczenia, które przez lata były magazynem rzeczy zniszczonych. Pozwolono je wysprzątać, odmalować i urządzić wedle gustu i potrzeby – by artyści mieli gdzie pracować. Ktoś załatwił niedrogie obiady – żeby nie pomarli z głodu. No i to było wspaniałe, chociaż nie było stałych gaż, oficjalnych angaży, żadnego właściwie sponsora, nie mówiąc już o tak zwanej osobowości prawnej. Natomiast były przedstawienia. W 1985 roku aż trzy premiery – „Historia" Witolda Gombrowicza, kabaret literacki „Dziura" z tekstami Tuwima i Słonimskiego i wspomniany już „Autoportret".

Z przedstawienia na przedstawienie rosło zainteresowanie tym dziwnym teatrem, który, oficjalnie jakby jeszcze nie istniał, a przecież działał, tworzył, bawił, wzruszał i zadziwiał – ciekawą oryginalną, artystyczną formą.

*Co zaś do wyskoczenia ponad siebie, to kiep jest ten, co do tego nie dąży, i gdyby nikt ponad siebie nie wyskakiwał, nie byłoby rozwoju i postępu na świecie. Chodzi o to, co i w jaki sposób się robi. A ponieważ ja tym wyskakiwaniem tylko sobie psuję życie... To chyba dowodzi, że nie robię tego dla głupiej sławy i pieniędzy, tylko z wewnętrznej potrzeby* – twierdził Witkacy i te słowa swego patrona przyjęli za własne pasjonaci z zakopiańskiego teatru.

Dziś, w trzecim roku swojej działalności ma zakopiański teatr już dziewięć premier w repertuarze. Każda następna wynika w pewien sposób z poprzedniej. Każda bo-

na str. 15